

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 6 (297) • ROK XXVI • CZERWIEC 2020



LATO
DZIWNYCH DNI





Kolejka linowa na Szyndzielnię to znany symbol Beskidu Śląskiego, a nawet całego regionu. Od dekad korzysta ją z niej turyści, pasjonaci gór czy po prostu ludzie spragnieni pięknych widoków ze szczytu Szyndzielni. Kolejka przeszła wiele modernizacji, a przez dekady narosło wokół niej sporo ciekawych opowieści.

Szczegóły str. 32



Opera Śląska w Bytomiu hucznie obchodziła swoją okrągłą rocznicę. Data 14 czerwca, to 75 rocznica narodzin pierwszego po wojnie teatru operowego w Polsce, wówczas jeszcze z siedzibą w Katowicach. Obchody skomplikowały realia pandemii, lecz pomimo przeciwności losu, całość wypadła imponująco.

Szczegóły str. 34



Arystokratyczna rezydencja w Wiśniowej powstała w XVI wieku, ostateczny wygląd zyskała po wielkiej przebudowie w drugiej połowie XIX stulecia. Pałac uzyskał wówczas wygląd przypominający zamki z ilustracji do dziecięcych bajek, a ponieważ szczęśliwie przetrwał zarówno lata wojny, okres PRL, a także zabójczą dla tego typu obiektów dekadę lat 90, można wciąż podziwiać ten niesamowity obiekt.

Szczegóły str. 80

Szanowni Czytelnicy!

W imieniu Redakcji miesięcznika społeczno kulturalnego „Śląsk” uprzejmie informuję, że od czerwca bieżącego roku kolejne numery naszego czasopisma będzie można nabywać bezpośrednio w salonie wydawniczym

Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, przy ulicy Teatralnej 4 w Katowicach (parter obiektu)

Miesięcznik „Śląsk” będzie tam w ciągłej sprzedaży.

Osoby zainteresowane książkowymi publikacjami o tematyce śląskiej lub literaturą piękną powstającą w województwie śląskim, zapraszamy także do salonu przy ul. Teatralnej 4, w którym będzie można zapoznać się z ofertą Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”, zakupić wybrane publikacje tego wydawnictwa, a także złożyć zamówienie na inne publikacje Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”.

Miesięcznik i książki będą również dostępne w sklepie internetowym Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego:

<https://instytutkorfantego.pl/sklep/>

Tadeusz Sierny
Redaktor Naczelny miesięcznika „Śląsk”

Nr 6(297). Rok XXVI. CZERWIEC 2020

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Maciej Melecki* JAK CIĘ WIDZĄ, TAK SIĘ MYŁĄ
8 *Tomasz Bienek* PARK Z POTENCJAŁEM. ROZMOWA Z AGNIESZKĄ BOŻEK
10 *Sylvia Bielecka* ZIELONA CZĘSTOCHOWA
12 *Małgorzata Lichecka* LAS MIEJSKI W GLIWICACH I JEGO IKONA – ZAMECZEK LEŚNY
16 *Marian Kisiel* ADAM WŁADYSŁAW JAROSZ 25 MAJA 1928 – 6 CZERWCA 2020
18 *Ks. Henryk Pyka* MOJA MAŁA OJCZYZNA
26 *Julia Słomska* CIEMNA STRONA WĘGLA
28 *Dariusz Nowacki* PO ŚMIERCI JERZĘGO PILCHA
31 *Wojciech Lipowski* SUMA PRZYPADKÓW
32 *Zbigniew Lubowski* GONDOLĄ NA SZYNDZIELNIE
34 *Wiesława Konopelska* WIDOWISKO BEZ GRANIC
40 *Izabela Tumas-Matuszewska* NIEZWYKŁY PRZYPADEK DORY REYM
48 *Marek Lyszczyna* POCIĄG JECHAŁ DWA RAZY SZYBCIEJ I MIAŁ SKRZYDŁA. ROZMOWA Z Cezarym Grzesiukiem
50 *Ewa Chudyba* ŻYĆ ZE SZTUKĄ. PORCELANA ROSENTHAL
52 *Tadeusz Loster, Aleksander Bąba* KAPLICZKI „CZERWONEGO” ZAGŁĘBIA
56 *Agnieszka Zielińska* MŁODA SCENA DZIENNIKARSKA
58 *BIAŁE KRUKI Jan Malicki* KSIĄŻKA DZIWNIE RZADKA. „CATALOGUS DUCUM...” TEODORA ZAWACKIEGO
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PUSTELNIA PARMEŃSKA STENDHALA
74 *Stefan Gierlotka* ŚLĄSKA STYGMATYCZKA KATARZYNA SZYMON
80 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W WIŚNIOWEJ

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 *Tadeusz Sierny* HENRYK BZDOK: GRAFIK I FOTOGRAFIK
69 GALERIA: HENRYK BZDOK – WIOSNA – 2020 – CORONAVIRUS; FOTOGRAFIA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Arkadiusz Kremza* KŁAMSTWO
14 *Arkadiusz Kremza* WIERSZE
22 *Jefim Zozula* KAIN I ABEL, ŻYWE MEBLE *Przełożył Marian Kisiel*
44 *Michał Paweł Urbaniak* SZYPUŁKI
47 *Lucyna Leśniowska* ZARAŻA I INNE CZASY

FELIETONY

- 20 BŁYSKI i ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* VIRGILIA SAPIEHA, „AMERYKAŃSKA KSIĘŻNA. Z NOWEGO JORKU DO SIEDLISK”
30 *Karol Makles* OD WIEKÓW ZWIĄZANI Z KSIĄŻKĄ, CZYLI O TRADYCJACH CZYTELNICZYCH NA GÓRNYM ŚLĄSKU
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŃNA. *Jan Miodek* OD CIESZYNA DO BOGUMIŃNA, CZYLI OPUS VITAE PROF. DANIELA KADŁUBCA
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* ERWIN SÓWKA – POTRZEBA NOWEGO SPOJRZENIA
38 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* TEATR IMIENIA KIEPURY I GRAŻYNA BRODZIŃSKA
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* KOMPOZYTOR, EKSPERYMENTATOR, PEDAGOG

KSIĄŻKI

- 63 *Piotr Skowronek* TO JEDNO CO ZOSTANIE, PODBITE NICZYM SŁOWA
64 *Piotr Mosak* TO NIE KRES LITERATURY, TO KRES CZCIONEK
65 *Paweł Majerski* ETYKA PAMIĘCI I KULTURY
66 *Andrzej Juchniewicz* POSKŁADANE ŻYCIORYSY
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

76 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Janusz Kokot, Courntyside 2. Pastel olejna, wymiary: 45 x 45 cm, rok powstania 2020.

Od Redaktora

Śląsk, a właściwie mieszkańcy uprzemysłowanej części Górnego Śląska znaleźli się ostatnio w Polsce na cenzurowanym. Potwierdzone badaniami przesiewowymi liczne przypadki występowania tutaj zakażeń koronawirusem – szczególnie w dużych skupiskach górniczych – wzbudzały zbyt często manifestowane w pozostałych częściach Polski uprzedzenia, strach, ostracyzm, czy zwyczajną ludzką złośliwość i ledwie tłumioną niechęć do tych z „śląskiego”. Odmowy kwaterowania, sąsiedztwa lub ujawniane w licznych hejtach pokłady wrogości tylko do pewnego stopnia zostały zniwelowane stanowczymi deklaracjami polityków, niektórych ludzi kultury, hierarchów kościoła, wypowiedziami i apelami przedstawicieli administracji państwowej i regionalnej.

Dr F. Giedrońc w swej cennej pracy *Mór w Polsce z 1899 roku* powiada, iż dawni XVI i XVII wieczni lekarze zalecali, by w okresie epidemii *od przyjezdnych do miasta wymagano świadectw, iż przybywają z okolic wolnych od zarazy, podejrzanych „wietrzyć” przez 6 tygodni, a w miejscu zarazy mieć dostateczną liczbę lekarzów, cyrulików, osobnych posługaczy dla chorych, tragarzów i grabarzy, a wszystkich mających styczność z chorymi zaopatrzyć w oznaki np. krzyże białe na piersiach i plecach, mieć zapas pieniędzy na żywność i lekarstwa, zbudować za miastem dla chorych i podejrzanych sporo małych oddzielnych domków z desek itp.*, itd.

Ci dawni lekarze nie wiedzieli wówczas jeszcze nic o wirusach, więc nie zalecali masowego stosowania wymazów, ale poza tą fundamentalną dziś diagnostyczną techniką medyczną, w potocznym rozumieniu metod zwalczania epidemii – niewiele się w XXI wieku zmieniło.

Dlaczegoż więc, mimo wielowiekowej tradycji utrwalonych dawnymi zwyczajami metod postępowania wobec „zapowietrzonych”, tak mało brakowało byśmy stali się – tu na Śląsku – tak zwanym „koźmem ofiarnym”, czy może Jonaszem poświęcanym w imię ratowania dobrobytu jednych i pozytywnego samopoczucia innych.

Pojawić się mogło tak niebezpieczne, lecz

wielokrotnie zbawienne w naszej historii poważne zagrożenie (czyli ludzie z katowickiego przeciw wszystkim innym w Polsce), skutecznie integrujące niemalże wszystkich, niezależnie od ich przekonań politycznych, historycznych, regionalnych – nie za czymś, lecz tradycyjnie przeciwko komuś. Wreszcie cały naród, zorganizowany w iluś przeciwnych obozach, mógłby się nareszcie zjednoczyć.

Ta ponętna, ponura pokusa, na szczęście została dzięki zgodnej postawie wielu rozsądnych ludzi oddalona, lecz w pamięci ludzi obrażanych lub dotkniętych owymi wrednymi insynuacjami – nawet o wielodusznych, wybaczących sercach – epizod ten, pozostanie na dłużej.

Ten przypadek pokazuje, jak szlachetnie i ze wszech miar słuszne oraz skuteczne procedury lecznicze – ale ukazane wyłącznie technokratycznie, prezentujące wyizolowane dane statystyczne, w perspektywach tylko ilościowych, zdehumanizowanych, mogą mimo godnych zamiarów ich nadawców zostać wykorzystane lub wręcz obrócić się przeciw poszkodowanym, najślabszym: chorym lub najbardziej narażonym na niebezpieczeństwo (Ślązakom i paradosalnie... np. medykom, seniorom i in.).

Walcząc z klęską, jaką jest pandemia i każde inne nieszczęście, należy uruchomić nie tylko medyczne i administracyjne procedury demonstrowane w mediach, ale konstruować trzeba – obojętnie jaka przypadłość społeczna nas dotknie – wszelkie mechanizmy budujące wielką społeczną empatię, zrozumienie przede wszystkim dla dotkniętych nieszczęściem, pobudzające ludzką wrażliwość na niedolę i chorobę. Z nieodległej historii czas najwyższy wyciągnąć wnioski, iż, społecznie nie są skutecznie pseudo mądrości w stylu: „trzeba było się ubezpieczyć” (powódź), albo „taki mamy klimat” (mroźna zima) i wiele innych „uniwersalnych” politycznych recept społecznych.

Słuszne i należne pochwały heroizmu przedstawicieli służb medycznych, przy jawnej, długotrwałej i dolegliwej dla społeczeństwa niewydolności całego systemu

społecznej służby zdrowia nie zrównoważą braku koniecznej, na co dzień okazywanej i tak potrzebnej społecznej troski o los chorych i umierających.

Dehumanizacja prezentowanych danych i informacji, siłą rzeczy prowadzi do odruchowych zachowań bagatelizujących grożące nam niebezpieczeństwa, to przecież nie konkretni ludzie chorują i umierają. W społecznej świadomości utrwala się cyferki informujące tylko o pozytywnych tendencjach, malejących ilościach osób zainfekowanych.

Odruchowo egoistycznie, dla dobrego własnego samopoczucia, podświadomie oddalamy realne wizje grożącego nam niebezpieczeństwa, tłumimy emocje, wypieramy posiadaną wiedzę, cyfry i liczby same w sobie nie są przecież groźne, możemy je ignorować i bagatelizować, zapominać o koniecznych dystansach społecznych, środkach ochrony itp.

Nie należy także niepokoić społeczeństwa przypisywaniem negatywnych ról specyficznym grupom np. ludzi starszych lub... Ślązaków i odwrotnie – pomniejszać skalę zagrożeń wobec innych np. dzieci, bo ponoć są bardziej odporne niż pozostała większość naszego społeczeństwa, nawet gdyby to z medycznego punktu widzenia była prawda.

Wystarczy, że starca, sąsiada, pielęgniarkę, ratownika medycznego, rodaka nazwiemy lub określimy mianem niebezpiecznego, z tych samych egoistycznych powodów dla własnego dobrego samopoczucia i bezpieczeństwa będziemy go w najlepszym przypadku ignorować, a w skrajnym przypadku – zmierzając do jego separacji i eliminacji z naszego otoczenia.

W naszej polskiej tradycji kulturowej los jednostki, jej heroiczne zwycięstwa i tragiczne porażki, w tym także jej ewentualna śmierć zawsze w sposób dobitny demonstrowały postulowane, wymagane i organizujące naszą społeczność humanistyczne hierarchie wartości. Mimo pandemii musimy je przypominać i o nich pamiętać.

Tadeusz Sierny

Kłamstwo

Twoja kukła pękła jak dojrzały granat.
Noc zaczęła podjeżdżać skodą.
Butelkowa zieleń.

Garaż jest zagadką.
Dźwięk pełny to spokój.
Głuchy to paranoja.

Paranoja odebrała z urzędu dokumenty
w które wklejono moje zdjęcie.
Mimo wszystko dobrze na nim wyglądam.

Nici którymi mam zamiar to wszystko pozszywać
są lepkie jak niesmak którym wypełniałaś mój pępek.

Nigdy nie byłem kontrolerem jakości.

Ta zwyczajna próba spaceru.
To zwykłe splecenie palców.
Ta kukła która pęka co rusz.
To gdzie ją posadzę.

To kiedy przemówi.

Moją prawdą.

*And some
other dream
were coming
'no my hand!*

rys. Bogna Skwara



Arkadiusz Kremza (24 września 1975 - 24 kwietnia 2020) – poeta związany z Instytutem Mikołowskim im. Rafała Wojaczka oraz z założoną w 1994 roku grupą poetycką Na Dziko. Wydał zbiory poezji *Bloki* (1997), *Hocki-klocki* (2000), *Brania* (2003), *Pukanie ziemi* (2006), *Wiersze z wody i żelaza* (2012), *Sterownia* (2015), *Stacje* (2017) a także poemat *Ludzie wewnętrzni* (2009). Laureat Nagrody „Otoczaka” za zbiór *Wiersze z wody i żelaza*. Zajmował się także twórczością teatralną jako autor scenariuszy oraz prowadząc działalność dydaktyczną w Teatrze Małym w Tychach. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym wraz ze swoją partnerką w Oświęcimiu.



Jak cię widzą, tak się myślą

O poezji ARKADIUSZA KREMZY

MACIEJ MELECKI

Każdy z nas ma swoją historię o kimś, z kim przyszło mu żyć w intensywnych relacjach, choć w różnych fazach – raz bliższych, raz dalszych. Każda opowieść o kimś takim będzie zabarwiona bardzo subiektywnymi wrażeniami i dość jednostronnymi opisami. Dopiero po złożeniu szeregu opowieści, pochodzących z różnych źródeł, w jedną wielką mozaikę, będzie możliwe zbliżenie się do prawdy o danym człowieku, której w dłuższej perspektywie i tak się nie posiadzie. Szczególnie kiedy jest mowa o człowieku tak wielostronnym i różnorodnym, jakim był Arkadiusz Kremza – jako kompan, ojciec i poeta.

Jak mało który człowiek, Arkadiusz Kremza jaskrawie żył po swojemu, na własnych zasadach wobec bezwzględnie dyktującego warunki świata, nie mając w sobie cienia wątpliwości, że pójście z nim na kompromis, grozi utratą własności. Nie chciał i nie mógł zarazem czynić ze swego życia podległego tępym i bezwzględnym mechanizmom, które czynią z jednostki szary kaftan bezpieczeństwa – fałszywego, rozdwojonego stanu, w którym życie i twórczość nie zlewałyby się w jeden twór. Buntował się przez całe swe dorosłe życie przeciwko wtłaczaniu w ciasne, kanciaste ramy nie

tylko swego istnienia, ale istnienia każdego – do czego namawiał, co podpowiadał, i co, niekiedy gwałtownie, manifestował w rozmaitych odsłonach, czy też danych momentach. To właśnie on jest autorem fenomenalnej parafrazy, w której zawarł kwintesencję małostkowości i głupoty ludzkiego postrzegania Innego, umieszczonej w tytułowym wierszu swojego trzeciego tomu pt. „Brania”: *Jak cię widzą, tak się myślą*. Sądzę, że – w jakiejś mierze – ową gorzką konstatację niezwykle twórczo rozwijał w swej poezji. Przechodziła ona – jak każda znakomita poezja – różne okresy i fazy, promieniając z tomu na tom treściami wypływającymi z bezpośrednich doznań, intelektualnych, ostrych i nierzadko wielce kąśliwych oznajmień odnoszących się do turbulencji życiowych, jakie wywołuje w człowieku ślepy los – determinujący go niekiedy bardzo dotkliwie – stających się częstokroć poetyckim zarzewiem oraz tematycznym wektorem intelektualnych eksploracji. W jego wielopasmowej poezji, opartej często na tematycznej koncepcji, w starannie zakomponowanych tomach czy poematach, rozgrywa się nieustanny dramat wywołany konfliktowością natury świata i skazane-

go nań człowieka. Przebogata wyobraźnia poetyczna Kremzy owocowała, ukazywanym z tomu na tom, jego własnym idiomem – rozpoznawalnym językiem, opartym na silnie wyczuwalnym kodzie, złożonym z różnorodnych dopustów semantycznych, niekiedy sprzecznych lub pozornie wykluczających się, w którym wielce sugestywnie przemycił swoje doświadczenia życiowe z wielorodnych pól, poddając je wnikliwym, niekiedy cierpkim lub krytycznym, ujęciom, dzięki czemu stwarzał szeroki wachlarz wzajem oddziałujących na siebie estetycznych napięć.

Od debiutanckiego tomu *Bloki* (1997) dał się poznać jako poeta całkowicie integralny, uformowany i dysponujący pełnym, charakterystycznym wachlarzem językowego kodu. Dykcja wierszy z tego tomu była wyraziście zakotwiczona w sensualnym odbiorze świata, wywiedziona z konfrontacyjnego nastawienia podmiotu wobec ciasnej, determinującej przestrzeni współczesnego miasta, które swym opresyjnym uwarunkowaniem, narzuca jednostce podporządkowujący się zbiorowemu tempu rytm funkcjonowania. Miasto jest dla poety czymś na kształt mrowiska – rozbudowanego, kłaczastego kopca – stanowiącego bezpośredni kontekst dla *przygód* meandrującego w jego przestrzeni podmiotu. Większość z nich nosi znamiona inicjalnych doznań, generujących potrzeby coraz bardziej głębszych wejrzeń pod podszewkę atrakcyjnej dookolności – stanowiącej dotkliwy w swej ograniczonej wymiar, w którym powszedniość spotyka się fascynacją, a kontemplacja z koniecznością dokonania wyboru:

(...)

Dzień jak poprzedni. Nieprzechodzone sprawy.
Naciągane uśmiechy. U krwawiących kobiet, niekrwawe myśli.
Wszystko dokładnie gdzie wczoraj.
Kościoły i burdele. Ból głowy i kilka opróżnionych butelek.
Onaniści i Mormoni. prostytutki i młodzi chłopcy
stojący na palcach przed kioskiem, gdzie
wystawiono właśnie najnowszy numer Playboya.

Otwieram okno. Brzuch nieba jest już bardziej dojrzały.
Naprzężona, gorąco pulsująca pierś słońca drży nad miastem.
Nie wiem, na co się zdecydować.
Przeczekiwać ciągle te same niezmiennające się poranki,
czy posłuchać syjamsko wrośniętego we mnie diabła i skoczyć
z okna mojego pokoju na trzecim piętrze wstawionego
we wschodnią ścianę bloku. Waham się.

(Zawahanie)

Fluktuacja wynikająca z obserwacji połączonej z namysłem nad narastającym poczuciem traconego sensu staje się osmotycznym kręgiem dla wizji dążącej do odsłonięcia – kamuflowanych potrzebami powszechnej użyteczności i funkcjonalności – tropów prowadzących do nabrania niezbywalnej pewności, że rządzi nami sztuczność, konwenans i wymuszane pozowanie, i że w swej niezmienności nie może przynieść to namiastki wyzwolenia, albowiem wszystko oparte jest na skutkach pozbawionych głębszych przyczyn:

Gdy miałem napisać
zwierzę na J,
napisałem Jutro.

(Państwa Miasta)

Raptowna zmiana językowego kursu w stronę parodii lub wysoko oktanowej ironii jawiła się w drugim tomie *Hockiklocki* (2000) jako swobodna reakcja na opresję rzeczywistości odmalowywanej sensualnym językiem w tomie pierwszym. Większy dopust namysłu nad oddziałującą coraz bardziej groteskową sferą międzyludzkich relacji, powodował potrzebę portretowania konkretnych ludzi lub kierujących

nimi określonych mechanizmów, w ofensywnie tworzonej gamie różnych zachowań i reakcji, nierazdo przypisanych do kulturotwórczych klisz. Poeci zachowują się nadmiarowo, kobiety pogłębiają swym seksapilem jedynie schemat ich mieszczańskiego odbioru, stereotypowe rozmowy są przedłużeniem sztywnych konwencji, a wszystko to grzęźnię w środowiskowych schematach i składa się na rodzaj twardego podłoża dla rodzących się i konsekwentnie odgrywanych potem społecznych ról:

Była kolorowa jak seksshop albo plażowa
piłka. Nawet czeszki mogą się iść uczyć.
Przy takiej człowiek czuje się jak sterowiec.
Nic tylko od razu przejść do lotu bez
zbędnych dogrzewań albo szkolnych
zwrotów. Dobrze czasami ot tak sypnąć
coś a taka ot tak robi tak że ała. Czy świat
nie byłby piękniejszy albo co najmniej lżejszy.
Czyż w gruncie czaszki wszyscy nie mamy
w sobie czegoś na wzór odpustowego
diabełka który uderzony w główkę wysuwa
czerwony gumowy język. I czy aby
właśnie nie to wychodzi z nas jakichś kilka
razy dziennie i kopuluje z atrakcyjnym
przedstawicielem płci przeciwnej. Albo
zresztą niekoniecznie przeciwnej. Ile
niepotrzebnie zmarnowanej energii na
te kolacje i ciuciubabki. Po prostu.
Podchodzisz. Podchodzi. Idziesz? Idę.
I tyle. Nic więcej. Nic prostszego.

(Minuta ciszy)

Ewolucje poetyckiego języka były dla Kremzy rzeczą absolutnie konieczną, dającą możliwość dokonywania nowych odsłon jego wielopoziomowego świata w – odmiennych od wcześniejszych – konfiguracjach napięć i płaszczyzn. Zmiana osi językowego kompasu była pochodną płynnie zmieniających się, absorbujących umiejscowień w procesie eksploracji wzajemnego przenikania się świata zewnętrznego z wewnętrzną dynamiką odbioru. Opublikowany w 2003 tom *Brania* przyniósł wiersze będące emanacją skondensowanego, gnomicznego w swej formie, ujmowania spraw najbliższych, bezpośrednio oddziałujących na postawę wycofania się podmiotu z bieżących, zjawiskowo złudnych, pokrytych tężejącym blichtrzem, przejawów świata realnego. Kilkudzaniowe wiersze, niekiedy wręcz oparte na parosłownych układach znaczeń, przedstawiały intymistyczny świat przeżyć, wynikających z odseparowania znikomości pól realistycznego oddziaływania od istotnej relacji z najbliższym kręgiem wartości:

No dobrze mój drogi. Siądźmy
i przesympy te wydmy. Ja będę
a ty będziesz. Wyciągać wnioski?

Moja skóra tak samo boli jak i
twoja. Nadludzie nie istnieją a
to co przemycił tamten nie jest
tym co tobie akurat jest niezbędne.

Oddechu się nie uczysz. A serce
prócz tego że bije potrafi przejść
po linie. Widzisz gdzie ona jest
zaczepiona? Przejdź do niej.

(cyrk)

Kwestie zaplatających się relacji z *drugim*, kreowanie własnych, przechodnich sfer uobecniania się w życiu *innego*, stanowiło dla autora *Bloków* coraz bardziej istotową przestrzeń

postrzegania złożoności pochodzącej z odłamków czy fragmentów osadzonych na stykach jawy i senny powidoków, rojnie zaludniających teraźniejszą wydarzeniowość. Emocje zmieszane z chłodnym oglądem, myślowość uwyraźniana skrótem języka, kontrastowość obrazowania jako dynamizujący napęd wypowiedzi – elementy te przybierały na rosnącym znaczeniu w dalszych już tomach.

Tom *Pukanie ziemi* (2016), ujmował w swych rygorystycznych niekiedy formach poetyckich (sekstyna, sekstyna połączona z akrostykiem, pantum) życie jako wielościowy, coraz silniej krytycznie odbierany agon nieustannych zmagania się z antynomicznymi środkami przymusu, modelującymi stopniowo narzucane racje użytecznych wymagań wobec współczesnego człowieka. Szansą na uchylenie spod opresyjnego dyktatu jest samoobrona w postaci wytworzenia poetyckich przeciwciał – odrysowanych stanów wewnętrznego zanurzenia w magmie impresji, pamięci, napięcia i oporu:

(...)

Czyż nie czujemy się tak jakby w nas pojękiwało martwe dziecko którego pępowina zwinęła się w siny stryczek?

Teraz dopiero udawać możemy głupich. Stanąć naprzeciw siebie z wycelowanymi w serca kopiami i czekać aż na arenę opadnie chustka która będzie sygnałem naszych wzajemnych wykrętów i zwalniania winy?

Bo przecież komuś wypada klęknąć a komuś innemu pisze się niewinność. Wykluczony jest remis. Wykluczona wymiana proporców i słów. Coś musi pęknąć. Komuś trzeba wypić ten niedojrzały zacier.

(zacier, *Pukanie ziemi*)

Źródła tej – niekiedy zaskakująco witalistycznej w swym rodowodzie – poezji należałoby szukać, szczególnie w tym tomie, w kontrolowanych rozprzężeniach językowych asocjacji, stanowiących emblematyczne zakwestionowanie celowości poetyckich wypowiedzi, będących zarazem przejawem woli doszukiwania się alternatywnych wymiarów nie tylko ziemskiego, obarczonego mechanicznymi prawidłami, życia. Chodziłoby też o dopatrywanie się za pomocą własnego idiolektu poetyckiego w nachodzących na siebie wersjach różnych prawd oraz kotwiczących w nich wszelkich złożoności – komplikowanych w odbiorze poprzez postaci swej znikliwości – które stają się faktyczną próbą odpowiedzi na pytania fundamentalnie metafizyczne: Kim jestem w tym nieustannie ścierającym mnie tyglu wydarzeniowości? Do czego to wszystko, co mnie wiezie, zmierza i gdzie pełnia tych zjawisk przechodzi w nicość? Próby te zyskują na jakości właśnie przez dalekosiężny zakres dobowanego języka.

Poddanie analizie przeżyć stygmatyzowanych dotkliwą tresurą było głównym wektorem tematycznym poematu *Lu-dzie wewnątrzni* (2009) Prasownice poleceń, żarna schematów, wnetki społecznych ról, w które od zarania jest się wtłaczanym, pasma przenoszące w poszczególne sekwencje naszych życiowych faz, uświadamiające coraz bardziej podległość bądź zależność względem losowych rozstrzygnięć, za którymi częstokroć stoją orędownicy i wyraziciele jedynych słusznych treści – stanowią główne przedmioty poetyckiej wiwisekcji dokonanej w tym poemacie z oszałamiającym rozmachem:

(...)

Odchylenie i odliczanie. Hej ty!
Wewnętrzny sekundancie.
Kto cię kupi? Diabełek? Aniołek? Stój i waż.
Waż i licz. Licz i bierz. Bierz i gromadź. Jęki
Jęczki litery i stęki. Szumy i krzyki. Kropki
I krzyżyki. Podbicia i gole. Bramki i auty.

Nocne zmazy i chłopiące wzwoły. Przychody
I rozstępy. Rozchody i pudry. Gromadź wszystko.
Wewnętrzny skarbniku z trzeciej klasy.

Czas się wygina jak gęsia szyja. Ty ciągle tam bądź i gromadź.
Skarbniku z klasy czwartej. Zuchu. Piłkarzu. Odchylenia
I przeliczania. Policjonalne wstydy i niepolicjonalne próby
Przełamań. Fraktale. Ławice. Ptasie wesela prób.
Zaplanowane przez wiatr i kolor nieba.

(...)

Wewnętrzny choleryku. Módl się do chleba
Gdy trzeba. Podkradaj czekoladki wewnętrzny
Złodziejaszku z klasy piątej. I marcepanowe kulki.
Nawoź chwilki a zbierzesz otchłanie. Zaszewaj
Uklucia lekkie jak sekundnik a wyhodujesz
Gwoździe. Stalowe. Ze zdobionymi łebkami.
Ich melodię usłyszysz od środka. Od zewnątrz.
Spod chmur. Gdy ocierać się będziesz o odloty
Ptasich figur. Ptasich rysunków. Błyszczących
Mozajek. Fraktale odchyliń.

Hej ty! Wewnętrzny ryzykancie.
Rzucaj celniej kapslem z saletrą.
Ubieraj rękawicę na prawą dłoń gdy celujesz
W okna nieznanomych. I wyobrażaj sobie co
Teraz właśnie mogą robić. Bo przecież pudłowałeś
Celowo. By jednak nie naruszać. A jednak
Ślad nad dachem. Drzazga dymu na niebie.
Dziel przestrzeń warkoczem komety.
Porządkuj nieboskłon. Ściel ścieżkę. Poleruj
Schody. Nośne. Pewne. Pewne że są.

W czasie lektury tego ponad 20 stronicowego poematu stajemy się polami szachownicy, po której przesuwane są nieustannie figury autorskich wcieleń z różnych okresów jego życia, akomodowanych potrzebami przyjmowania gardy lub maski wobec niechybnie wymierzanych przez los kar, czy też spadających skądkolwiek ciosów lub razów.

Życie wygnańca, losowo zbiegłe w punkt ciężkości, jakim jest emigracja, rodziło w poezji Kremzy pałaca potrzebę nadania mu autonomicznego wymiaru, mogącego odpowiedzieć przede wszystkim jemu samemu na dławiące pytania o zdwojoną – egzystencjalnie i emigracyjnie – obcość. Tom *Wiersze z wody i żelaza* (2012) jest dramatycznym, choć wypełnionym enigmatycznością i nienachlaną egzotyką, głosem człowieka skonfrontowanego z rodzącą osamotnienie alienacją. Dotkliwość takiego odczuwania była niezwykle sugestywnie transponowana na serie niepochwytnych obrazów, uniwersalizujących zarazem przypadkowość umiejscowienia, objawiających konsekwencje wyborów w postaci rosnącego zawieszania w próżni braku stabilnych odniesień:

Niebo moczy genitalia w wodzie a woda laskocząc
zarywa brzegi. Bezpłciowa jest jednak ta układanka.

Chociaż kamieni jest tutaj więcej niż gwiazd a gwiazd
więcej niż spekulacji. Wszystko to podrzutki.

Gdzie mnie wklejono? Patrzę na to z góry.
Dzielię globus jak tort. W boskim rzucie. Wzdłuż południków.

I zasiądziemy przy stole by zjeść cały świat.
Z całym najmniejszym robactwem.

Siądźmy parami, bo wszystko podzielne jest przez dwa.
Niebo, kamienie, genitalia i ja.

(Tutaj życie motyla kończy się na zgrzycie przegrzyanej
gąsienicy)

Adaptowanie się do nowych warunków życiowego spleenu odbywa się również po wieloletnim powrocie do opuszczonych, acz doskonale znanych, ram swej wcześniejszej egzystencji. Powne zakorzenianie się w doskonale zaznajomionej przestrzeni, obciążone balastem niedawnej emigracji, wciąż utrzymującej podskórnie ogrom powidoków z przeżytych poza macierzystym miejscem lat, było niewątpliwie dla poety procesem żmudnym i nastęrczącym szereg problemów. Efektem tych perturbacji były kolejne książki poetyckie – opublikowany w 2015 tom *Sterownia* oraz dwa lata później tom *Stacje*. Tytułowa *Sterownia* posłużyła poecie do stworzenia metafory technologicznie zawiądanego współczesnego człowieka, który jest niejako skazany na regulatywne prawidła zarządzania zasobami ludzkimi przez globalistyczny świat kapitału, w przestrzeni wyrobniczo – produkcyjnej. Jest ona zarazem metaforą współczesnego upostacowienia Boga – sterującego, a nie kreującego, każdym przejawem ludzkiej aktywności. Wkomponowany w tkankę narracyjną podmiot znowu przybiera postać outsiderską, dążącą do zachowania swojej autonomiczności w jak największych – z możliwych do zachowania – przebiegach. Dobitnie unaocznia to wiersz *Brama*, prezentowany w tym numerze *Śląska*.

Skutkiem wszechogarniającej reifikacji człowieka, wydanego na pastwę bezwzględnej traktowania przez nakładane nań chomąta współczesnej przydatności, owocującej jednocześnie utratą kontaktu z transcendentem, okazały się wiersze z tomu *Stacje*. Został on pomyślany jako uwspółcześniony i maksymalnie poszerzony indeks skłębionych stanów dramatycznych – wywiedzionych z biblijnych opisów pasyjnych – rozpisanych na czternaście stacji męki człowieczej, wpisanej w odhumanizowane konteksty, nadmiernie przepelnione pojęciowym oraz przedmiotowym chłamek pospolitego świata. Tom ten przybiera językową formę poetyckich anonsów, nierzadko zaplecionych w postać rzutkich wizji, skupionych w wielce czepliwych zbitkach słów, które – jak ma to miejsce w przeważającej mierze w wierszach okalających środkową część poematu *Stacje* – ewokują surrealistyczne, poharatane mocno obrazy zatracenia i skrywanego bólu, ale i też lęku wywoływanego przeczuwaniem zbliżającego się końca czegoś. Rodzaj takiego skoncentrowania okazuje się dla autora tych wierszy wyzwaniem do podjęcia próby kolejnych

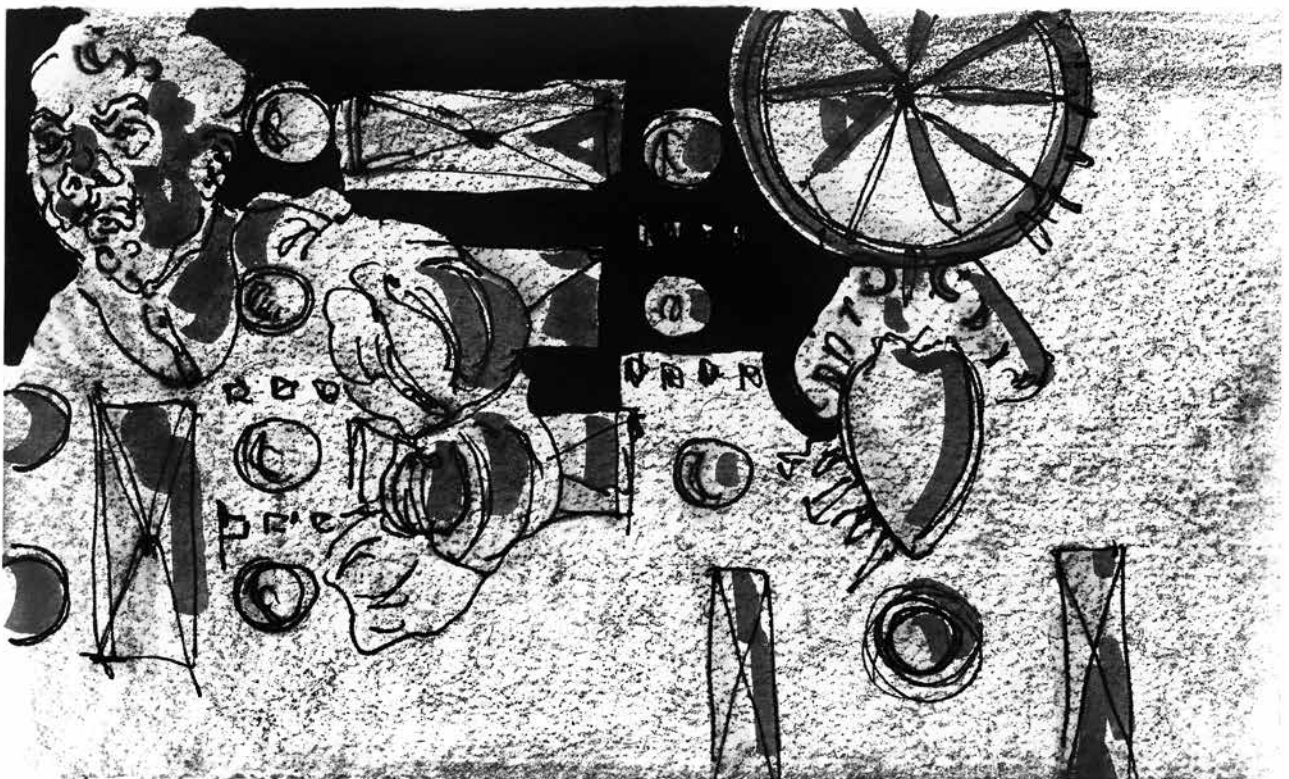
przekroczeń i nieuniknionych naruszeń. Wystarczy zanurzyć się w rozwibrowany świat wierszy *Logorea. Hostia czy Ludzie*, aby się o tym znamienne przekonano.

Niespodziewaną odą okazał się tom poetyckich próz *Człowiek O*. Opublikowany niespełna dwa miesiące przed śmiercią autora, stanowi swoiste horrendum – przesywający na wskroś zbiór surrealistycznych opowieści o przypadkach i ich odmianach *Niepotrzebny człowiek*. Fraza ta inauguruje kolejną opowieść lub pojawia się w każdej innej w środku treści. Skondensowanie ewokowana wydarzeniowość eksponuje zbłąkane losy Owego człowieka – jego nieustanne potyczki ze światem przedmiotów, konwencjonalnych norm i cudzych zachowań, składających się na rozgałęziające narracyjne wątki, uruchamiane dalekosiędnymi skojarzeniami, dalece wykraczającymi poza opisowy realizm:

Niepotrzebny człowiek uwielbiał palić papierosy podczas pogrzebowych konduktów. Myślał wtedy o niepotrzebnym. Myślał o pewnym. Myślał o gniciu, o popiele, o tym z czego być może jest i dokąd z trudną świadomością niepotrzebnie się kieruje. Myślał jakby nie myślał. Ale palił. W dymie szukał twarzy. W twarzach szukał dymu. Popiół zawsze potrzebnie gdzieś milkł, zabrany przez wiatr albo drogę. Dziura w ziemi śpiewała niepotrzebnie smutne piosenki. Trębacz był sztuczny jak pielgrzymkowy głośnik, a smutek na twarzach żałobników mruczał już o stypie. (...)

(*Papierosy*)

Tom ten niewątpliwie można rozczytywać na wielu płaszczyznach, do czego niewątpliwie prowokuje niejednorodna natura obranych kierunków opowiadania o wiecznie zaskakującej przygodności, jaką funduje głównemu bohaterowi niedocieczona płynność uprzestrzennionej materii i chrome weń pobywanie – migotliwe w swych sekwencjach, skokowe i zanikowe, zmierzające, jak w puencie tej książki, do zamilknięcia. Potencjalnie zakodowana mnogość możliwych ujęć odbioru ostatniego zbioru poetyckiego Kremzy, nieuchronnie będzie potęgowana śmiercią autora, jako odautorskim *memento*, którym niewątpliwie była każda z jego wcześniejszych książek. ■



rys. Bogna Skwara

TB: Rząd już przed majowym długim weekendem zdjął zakaz wstępu do parków. Co mieszkańcy regionu będą mogli zobaczyć nowego w Parku Śląskim, czy ta wiosna przyniosła jakieś znaczące zmiany?

AB: Park Śląski to niezwykle miejsce, urokliwe, różnorodne i z ogromnym potencjałem. W tym roku obchodzimy 70 urodziny Parku, chcieliśmy je świętować ze wszystkim naszymi sympatykami, mieliśmy zaplanowany szereg różnych wydarzeń, tym bardziej obecna sytuacja i zakaz wstępu do parków był dla nas dotkliwy. Park to przede wszystkim ludzie, którzy go odwiedzają, tworzą i w pełni potrafią korzystać z jego uroków, dlatego też informacja o ponownym otwarciu tak bardzo nas ucieszyła. Oczywiście przez okres zamknięcia Parku my nadal prężnie pracowaliśmy, udało nam się wiele zrobić. Jesteśmy w trakcie realizacji kluczowych inwestycji. W decydującą fazę wchodzi prace koncepcyjne dotyczące modernizacji kąpieliska „Fala” oraz zabytkowej Hali Wystaw „Kapelusza”. Z mniejszych inwestycji, ale równie ważnych, należy wymienić oświetlenie najdłuższej alei spacerowej – Alei Leśnej, udało nam się odtworzyć niezwykłą rzeźbę „Dziewczyna z Dzbanem”, wyremontowaliśmy skwer naprzeciwko ZOO, który teraz nosi nazwę „100-lecia Powstań Śląskich”, renowacji i pracą konserwatorskim poddana została nasza unikatowa kolej linowa „Elka”, no i oczywiście w tym czasie toczyło się wiele prac porządkowych i związanych z pielęgnacją zieleni.

Ten właśnie wątek z pewnością interesuje mieszkańców całej aglomeracji. Jak widzi Pani przyszłość Parku, jakie Pani zdaniem powinny być kierunki dalszych inwestycji w Parku Śląskim?

Dążę do tego, aby nasz Park rozwijał się i zmieniał dla ludzi, zachowując swój unikatowy charakter, a określenie „zielone płuca Śląska” wybrzmiewało jeszcze bardziej. Chcemy aby nasz Park był jak najbardziej eko. Tworzymy dwie rozbudowane strefy: aktywną, która będzie zlokalizowana w południowej części Parku i zieloną strefę ciszy w centralnych i północnych obszarach. Wszystko po to, by każdy zwiedzający znalazł coś dla siebie. Jeśli ktoś chce spędzić dzień na rowerze, rolkach, posłuchać muzyki w plenerze, wybierze się na południe Parku, a kto ma ochotę na wyciszenie i bliższy kontakt z naturą, skorzysta z drugiej ze stref.

Nasze działania opieramy na realizacji programu JESSICA, w ramach tego programu prowadzonych jest wiele inwestycji przede wszystkim polegających na przywróceniu dawnym obiektom ich funkcji i blasku. Jedną z kluczowych inwestycji jest modernizacja Kanału Regatowego, w połączeniu z nową przy-



Park z potencjałem

Z AGNIESZKĄ BOŻEK, Prezes Parku Śląskiego,

rozmawia TOMASZ BIENEK

stanią i rewitalizacją tego obszaru uzyskamy niezwykle efekt, a inwestycja ta z pewnością ucieszy wielu gości. Będzie to miejsce nawiązujące wyglądem do czasów swojej świetności, a jednocześnie innowacyjne i z wieloma nowymi funkcjonalnościami. Również Ogród Japoński poddany zostanie „liftingowi”. Jego obszar zostanie powiększony niemal dwukrotnie. Planujemy wiele zmian od budowy tarasu widokowego ze szklaną balustradą, poprzez wodospad, taras, altanę, nowe oświetlenie, wprowadzenie elementów granitowych, a kończąc na niezwyklej japońskiej roślinności, nie zapominając oczywiście o pięknej kwitnącej japońskiej wiśni.

Konieczne jest także uregulowanie gospodarki wodnej i utworzenie zbiorników retencyjnych. Czekają nas również modernizacja Kręgów Tanecznych i zagospodarowanie Rosarium. W ramach Marszałkowskiego Budżetu Obywatelskiego powstanie Park Wielu Pokoleń. Na chwilę obecną wyremontowano kilka kilometrów dróg i alejek.

Jakie były Pani zdaniem najważniejsze inwestycje w parkową infrastrukturę na przestrzeni ostatnich lat? Co uznaliby Pani za najważniejsze osiągnięcia w tej materii?

Jestem prezesem Parku Śląskiego od końca lutego 2020 r. Niemal od pierwszego dnia spotykałam się z działacza-

mi społecznymi, dla których Park Śląski jest niezwykle ważny. Usłyszałam głosy, że w ostatnich latach zabrakło większych inwestycji. Teraz z pewnością to się zmieni. Dążymy do tego, aby zrealizować wszystkie zaplanowane inwestycje. Oczywiście to wszystko wymaga ogromnych nakładów pracy i czasu, widzę jak wiele już udało nam się w tym krótkim czasie zrobić i jestem przekonana, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Wielomilionowy program JESSICA to gwarancja, że zmiany w Parku Śląskim będą postępować na bieżąco.

Na przestrzeni dekad Park Śląski zmienił nie tylko swoją nazwę; także wiele unikatowych – ze względów chociażby technicznych – obiektów przestało już istnieć i odeszło już w zapomnienie. Mam na myśli choćby słynną swego czasu szklarnię wieżową czy pływającą restaurację. Czy mogłaby Pani przypomnieć, zwłaszcza naszym młodszym czytelnikom, takie objekty?

Park jest dla mnie wielką paletą kolorowych wspomnień. Najpierw, gdy jako dziecko chodziłam tam na spacer z rodzicami, by później spotykać się tam towarzysko z rówieśnikami. Pamiętam „Kapelusz” pachnący kwiatami podczas wystaw, a lwią część wakacji spędzałam na „Fali”, na którą przyjeżdżały tłumy z całego regionu. Traktuję Park bardzo sentymentalnie. Jestem jednocześnie świadom-

ma ogromu pracy, jaki nas czeka, by dać mu nowe życie. W Parku Śląskim było kiedyś miasteczko rowerowe – kapitałne, służące jako stuprocentowy instruktaż nie tylko do nauki jazdy na rowerze, ale przy okazji można było poznać tam znaki drogowe. Bardzo bym chciała, aby takie właśnie miasteczko ponownie znalazło się na mapie atrakcji Parku Śląskiego. Moje skojarzenie z dawnym parkiem to także szachiści. Wczesną jesienią chciałabym zorganizować turniej szachowy dla seniorów.

Jeśli chodzi o historię to zawsze warto o niej pamiętać i ją pielęgnować. Zapraszam i na stronę Parku i na Facebooka, możecie Państwo dowiedzieć się wielu interesujących rzeczy z cyklu „70 ciekawostek na 70-lecie Parku”, szczerze pole-

cam, tam również pojawi się informacja o niezwyklej szklarniowej wieży zwanej także ogrodem szalonego wynalazcy, czy też pływającej restauracji, w której to odbywały się dancingi i prywatki.

Zespół parkowy jest założeniem w pewien sposób unikatowym, czy może Pani przybliżyć, co dokładnie wyróżnia Park Śląski na tle kraju, a nawet Europy?

Park Śląski – zielony, pachnący kwiatami – obejmuje obszar ponad 600 hektarów i jest największym tego typu terenem w Polsce. Znajduje się w samym sercu Śląska – wciąż kojarzonego z przemysłem ciężkim – jest zielonymi płucami Śląska. A czymś, co zdecydowanie wyróżnia nasz Park to niezwykła i unikatowa na skalę europejską nizinna kolejka

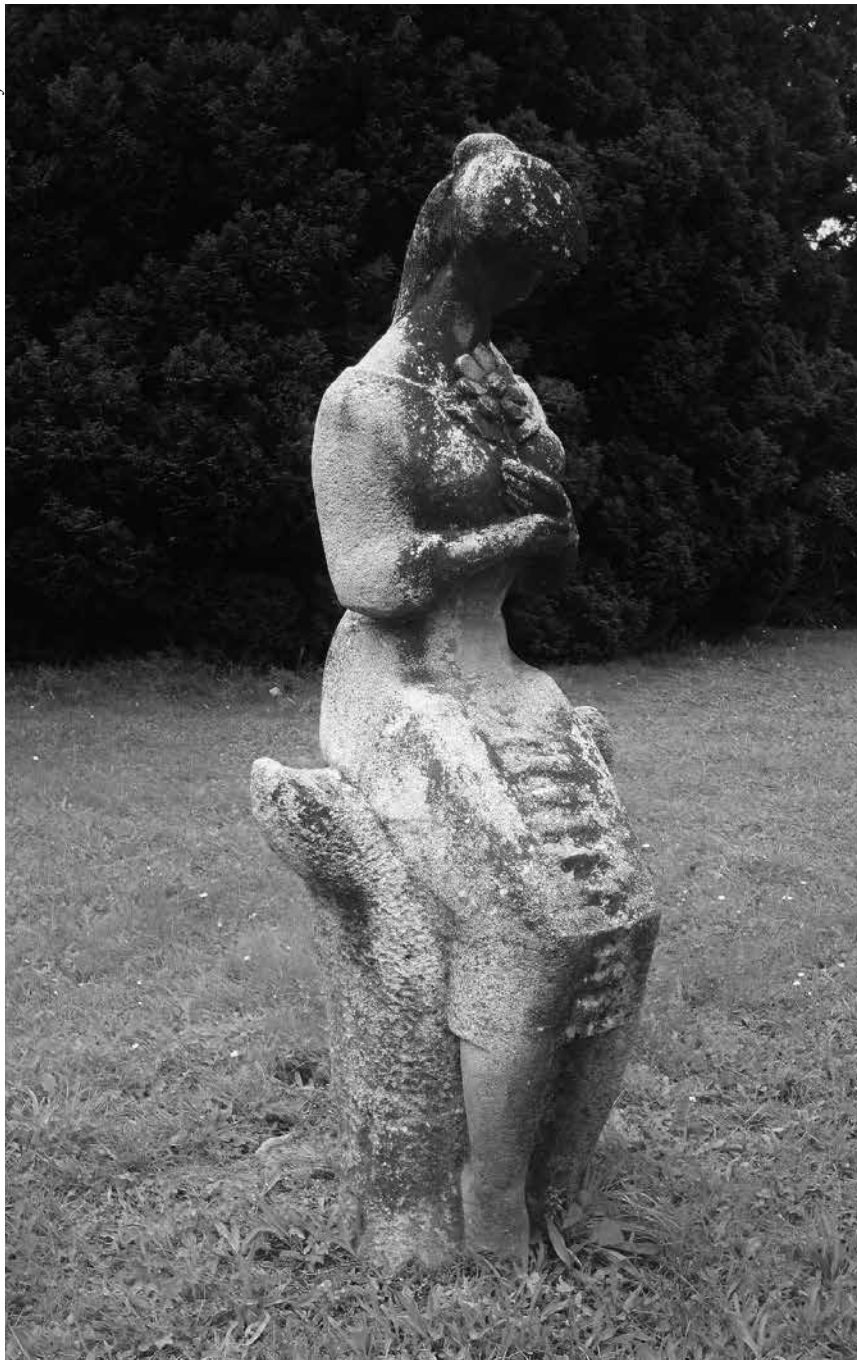
linowa „Elka”. Dla naszej „Elki” również mamy przygotowany program rozbudowy. Chcemy odtworzyć dwa odcinki kolejki. Obecnie pracujemy nad linią od Stadionu do Wesołego Miasteczka. Póki co zapraszam na istniejący odcinek, naprawdę warto zobaczyć Park z „lotu ptaka”. Cały Park Śląski to również wiele niezwykłych instytucji znajdujących się na jego terenie, mam na myśli m.in. Stadion Śląski, który gromadzi tłumy wiernych fanów zarówno sportowych, jak i kulturalnych. To na tym obiekcie odbywa się mnóstwo koncertów na najwyższym poziomie, to tu możemy oglądać zawody żużlowe, czy w końcu przeżywać memoriały lekkoatletyczne. Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny” posiada blisko 70 zabytkowych drewnianych obiektów architektury wiejskiej i małomiasteczkowej. Śląski Ogród Zoologiczny, w którym to po 43 latach ponownie gościmy pingwiny i wiele innych ciekawych gatunków. No i oczywiście Planetarium Śląskie, które jest w rozbudowie. To największe i najstarsze planetarium i obserwatorium astronomiczne w Polsce. Po zakończeniu inwestycji ten obiekt będzie w pełni multimedialny, a z nowej wieży widokowej będzie można podziwiać panoramę Katowic, Siemianowic i Chorzowa.

Czy mógłbym prosić o krótkie scharakteryzowanie parkowej fauny i flory?

Faunę i florę w Parku Śląskim najlepiej przyjść i zobaczyć na własne oczy. Zieleń w Parku Śląskim jest tak zaprojektowana, aby w okresie wiosennym i letnim kwitły nowe odmiany kwiatów i krzewów. Kilka dni temu cieszyliśmy się widokiem kwitnących magnolii, japońskich wiśni, teraz mamy m.in. azalie, tulipany, kasztanowce, trudno wymienić wszystkie. Jest ich kilka tysięcy gatunków. Ja dla chęty mogę wspomnieć o Rosarium, w którym kwitnie aż 30 tys. krzewów róż. Wśród pięknej roślinności skrywa się wiele gatunków zwierząt, zdecydowanym symbolem parku i najbardziej przyjacielskim zwierzęciem są wiewiórki. Zdarza się również, że pod budynek dyrekcji podchodzą sarny, szczególnie w okresie, gdy Park był zamknięty zwierzęta chętniej wychodziły ze swoich kryjówek. No i nie możemy zapominać o setkach gatunków ptaków, podczas spacerów, szczególnie tych porannych proponuje się wsłuchać w głos Parku, a z pewnością usłyszymy dzięcioła, który stuka w srebrzystą korę. Piękne łabędzie możemy podziwiać w stawie Hutnik. Kto jeszcze tam nie był, musi nadrobić zaległości. Zapewniam, że będzie zachwycony.

Dziękuję za rozmowę.

fot. EwaC



Dziewczyna z kwiatem, Park Śląski

Ogromną przemianę przeżywa w ostatnim czasie 40-hektarowy **Park Wypoczynkowy Lisiniec**, usytuowany w pobliżu jasnogórskiego klasztoru. W jego granicach leżą trzy zbiorniki wodne, nazwane niegdyś z fantazją – Bałtykiem, Adriatykiem i Pacyfikiem.

Dzięki prowadzonym etapowo modernizacjom jest tam obecnie kąpielisko z plażą z piaskiem przywiezionym prosto z Łeby oraz wypożyczalnia sprzętu plażowego. Powstał też nowoczesny pawilon plażowy m.in. z tarasem widokowym, barem i restauracją. Oprócz „strefy wypoczynku Adriatyk”, nad „Bałtykiem” sezonowo działa wypożyczalnia sprzętu wodnego (rowery, kajaki, deski SUP). Wokół zbiorników wiedzie 2,5 kilometrowa ścieżka rekreacyjna, w parku są też dwa korty tenisowe, skate park, park linowy, pomosty wodne, kładka nad kanałem łączącym „Adriatyk” z „Bałtykiem”, wieża ratownicza, nowe ścieżki piesze i rowerowe, liczne elementy małej architektury. W sezonie można tam nawet pływać gondolą. W parku posadzono nowe krzewy i drzewa, z dominującą japońską wiśnią piłkowaną „Kiku-shidare-zakura” na czele, uznawaną za jedną z najpiękniejszych roślin ozdobnych. Park został pięknie oświetlony. Bezpiecznego wypoczynku strzegą kamery monitoringu.

Z rekreacji na świeżym powietrzu korzystają tam nie tylko częstochowianki i częstochowianie, ale także m.in. wędkarze oraz służby ratownicze (WOPR, Państwowa Straż Pożarna, Pogotowie Ratunkowe) w ramach ćwiczeń doskonalących. Na terenie Parku organizowane są z wielkim powodzeniem imprezy plenerowe – muzyczne, sportowe, rekreacyjne oraz pikniki integracyjne. Dwukrotnie odbył się tam już m.in. Festiwal Kultury Alternatywnej Frytka Offjazd, który w tym roku, podobnie jak inne tego typu przedsięwzięcia, z uwagi na trwającą epidemię, niestety musiał zostać odwołany.



Zielona Częstochowa

ADRIATYK, LAS ANIOŁOWSKI, PROMENADA NIEMENA...

SYLWIA BIELECKA

Zielone aneksy, strefy wypoczynku, park kieszonkowy to tylko niektóre inwestycje realizowane w ostatnich latach w ramach programu Kierunek Przyjazna Częstochowa. W mieście przybywa miejsc, które zgodnie z oczekiwaniami mieszkańców i mieszkańców służą rekreacji. Powstają w centrum miasta, na osiedlach, pomiędzy blokami...

Innym miejscem niezwykle lubianym przez częstochowianki i częstochowian, spragnionych wypoczynku na świeżym powietrzu, jest **Las Aniołowski**. Położony pomiędzy dzielnicą mieszkaniową „Północ”, a trasą DK-1 z Warszawy do Katowic, zrewitalizowany ponad dekadę temu, a ostatnio częściowo ponownie modernizowany, przyciąga amatorów spacerów, biegania i jazdy na rowerze. To jeden z największych kompleksów zieleni na terenie Częstochowy (65,5 ha). Ma charakter rozległego parku leśnego

(ponad połowę tego terenu zajmuje las), z ciekawym układem alejek spacerowych, ścieżką zdrowia, ławkami oraz przyrodniczą ścieżką edukacyjną.

Przy blisko 5 km utwardzonych ścieżek znajdziemy tablice informacyjne, dotyczące lokalnej fauny i flory. Dowiemy się m.in. jaką rolę pełni las, z jakich warstw jest zbudowany; jak wysoki jest bluszcz pospolity; gdzie można spotkać marzannę wonną i który z owadów odgrywa kluczową rolę w sprzątaniu ściółki.

Do lasu można dojść niezwykle popularną wśród mieszkanki i mieszkańców **Promenadą Niemena**, której gruntowną rewitalizację zaplanowano w najbliższym czasie. Tuż przy trakcie spacerowym i ścieżce rowerowej, w otoczeniu zieleni o zróżnicowanej szacie roślinnej, z kilkudziesięcioma gatunkami drzew oraz krzewów, zaaranżowano place rekreacji i zabaw, skate park, boiska do gry w piłkę. Jest tam też niewielki amfiteatr, wykorzystywany w sezonie m.in. do seansów plenerowego kina. Niedawno w ramach budżetu obywatelskiego, blisko Promenady i Lasu Aniołowskiego powstała bardzo lubiana przez seniorów i seniorów mini-tenis oraz grill park. Nieopodal lasu znajduje się też ogrodzony psi park. Ofertę uzupełniają lokale gastronomiczne, cukiernie, kawiarnie, restauracja oraz stacja wypożyczenia rowerów miejskich.



Znane nie tylko mieszkańcom i mieszkańcom Częstochowy są **miejskie parki**, oddzielające śródmieście od Jasnej Góry. Zajmują powierzchnię 12,48 ha i stanowią największą oazę zieleni w ścisłym centrum miasta. Wzgórza jasnogórskie, klasztor i przylegające parki są zarejestrowane jako pomnik historii i znajdują się pod ochroną konserwatora zabytków. Rewitalizacja parków przeprowadzona z udziałem środków unijnych pozwoliła na odtworzenie historycznego układu z 1908 roku, nadanego im z okazji Wystawy Przemysłowo-Rolniczej.

Dziś częstochowianie i częstochowianki oraz turyści i pielgrzymi chętnie korzystają z gruntownie zmodernizowanych i atrakcyjnie oświetlonych alejek spacerowych, chętnie odpoczywają przy zbiorniku wodnym z fontanną, a najmłodsi mają do dyspozycji plac zabaw... Istniejący drzewostan uzupełniono nasadzeniami mającymi na celu przywrócenie pierwotnego składu gatunkowego drzew i krzewów z początku XX wieku.

Do Parku im. Staszica (po południowej stronie) przyciąga też oferta zlokalizowanych tam i odnowionych obiektów Muzeum Częstochowskiego – Pawilon Wystawowy, Multicentrum Zodiak, Pawilon Etnograficzny, Zagrody Włociańskiej, Muzeum Górnictwa Rud Żelaza. Przy zabytkowej drewnianej altanie latem odbywają się m.in. koncerty dętych orkiestr, tam także organizowano spotkania w ramach Narodowego Czytania.

W Parku 3 Maja (po północnej stronie) znajdują się miejskie korty tenisowe – 5 oświetlonych kortów z zapleczem i kawiarnią. Zimą korty zmieniają się w bezpłatną miejską ślizgawkę.

W 2018 roku zielona strefa wypoczynku powstała na głównym placu miasta, oddzielającym umownie II i III aleję Najświętszej Maryi Panny. Na **Placu Biegańskiego**, tuż przy Ratuszu Miejskim, będącym dziś także jednym z obiektów Muzeum Częstochowskiego, ustawiono dwuosobowe drewniane leżaki i ławki połączone z donicami obsadzonymi ozdobnymi trawami oraz 15 brzożami. Drzewa zwisają koronami w formie parasola, a całość tworzy estetyczny, zacieniony kompleks zieleni, gdzie można wypocząć np. w upalne popołudnia. Obok znajduje się letnia kawiarenka.

Wyjątkowe miejsce o symbolicznym znaczeniu powstało na Starym Mieście. To Plac Katyński – przy trasie DK1, blisko pomnika poświęconego żydom-częstochowianom z okupacyjnego getta. W 2010 roku, w kwietniu zasadzono tam 72 dęby, które były odpowiedzią na ogólnopolską akcję „Katyń – ocalić od zapomnienia”. Drzewa oraz tabliczki z nazwiskami zamordo-

wanych to świadectwa pamięci o poległych częstochowianach, związanych z bolesną historią Katynia i II wojny światowej. Katastrofa pod Smoleńskiem zmieniła nieco pierwotny charakter tego miejsca. Ustawiono tam m.in. tablicę poświęconą tym, którzy zginęli w katastrofie prezydenckiego samolotu 10 kwietnia 2010 roku. W 2018 roku na Placu Katyńskim zbudowano alejki spacerowe z kruszywa, obsadzono je drzewami i krzewami ozdobnymi. Nieopodal – przy bulwarach Warty – dzięki inwestycji Galerii Jurajskiej niespełna dwa lata temu powstała zielona strefa rekreacji.

Zielone aneksy wypoczynkowe powstają sukcesywnie w różnych dzielnicach miasta, głównie pomiędzy zabudową wielorodzinną. W ostatnim czasie wybudowano je m.in. przy ulicach: Bardowskiego (dzielnica Ostatni Grosz), Bohaterów Katynia (Wrzosowiak), Sojczyńskiego–Warszyca (Północ), Stromej (Ostatni Grosz) i Kontkiewicza (Wyczerpy). Są tam ławki, stojaki rowerowe, alejki spacerowe, kosze na śmieci, nasadzone krzewy ozdobne i kwiaty. Mieszkańcy dzielnicy Wrzosowiak mogą od niedawna korzystać z **mini parku** z placem wypoczynkowym, który powstał z przekształcenia niezagospodarowanego terenu przy torze rowerowym i skate parku przy szkole podstawowej. Miejsce to jest przeznaczone przede wszystkim dla młodzieży. Wyposażono je w elementy małej architektury – w tym stojaki rowerowe. Urządzono tam też rabaty z krzewami liściastymi, trawami ozdobnymi i różami, nasadzono drzewa.

Mieszkancki i mieszkańcy Rakowa mają z kolei **park kieszonkowy przy ul. Zareckiej**. To przede wszystkim odpowiedź na wnioski Rady Lokatorów dzielnicy. W sąsiedztwie pobliskich bloków przebiega ruchliwa trasa DK-1, a teren jest mocno zabudo-

wany, potrzebne było więc miejsce na wypoczynek. Zasadzono graby, klony, brzozy i krzewy, ustawiono 7 ławek, stół do gry w szachy, huśtawkę oraz piaskownicę. Park oświetla sześć lamp solarnych ze źródłem światła LED.

O stworzenie przyjaznego otoczenia dla mieszkańcom bloków komunalnych dba też Zakład Gospodarki Mieszkaniowej TBS. W wielu miejscach nasadzone są graby pospolite, które w przyszłości mają stać się rodzajem bariery chroniącej ściany budynków przed pseudograficznymi. Ponadto, na prośbę lokatorów, na osłonach śmietnikowych o wątpliwej estetyce, pojawiły się winobluszcze, których zaletą jest szybki wzrost, duża powierzchnia liści i efektowne przebarwienie w okresie jesiennym.

Każdego roku częstochowski samorząd sadi rośliny w **wieżach kwiatowych**, wiszących pojemnikach i gazonach. Pojemniki ustawione są w centrum miasta – przy placach Biegańskiego, Daszyńskiego, Rady Europy, na Starym Rynku (w tej chwili rewitalizowanym), przy ul. Piłsudskiego, Mirowskiej, Waszyngtona, 3 Maja oraz przy CH Promenada. W ostatnich latach coraz popularniejsze są też **łaki kwiatowe**, które zaczynają sponsorować także częstochowskie firmy.

W ramach programu Kierunek Przyjazna Częstochowa oraz budżetu obywatelskiego, we współpracy z mieszkańcami i mieszkańcami oraz organizacjami pozarządowymi organizowane są akcje sadzenia drzew, projektowane nowe skwery i zielone azyle. Obecnie powstaje m.in. **Promenada Śródmiejska** – nowy, zagospodarowany teren zielony niemal w sercu miasta.

Kolejne inwestycje w „Zieloną Częstochowę” są planowane. Jak z ich realizacją poradzi sobie „pandemiczny” miejski budżet – zobaczymy w niedalekiej przyszłości... ■



fol. Biuro Prasowe UM Częstochowy

Siorek, Żorek, Las Miejski, Las Chorzowski – nazwy zmieniały się w zależności od czasów i przyzwyczajzeń mieszkańców Gleiwitz i Gliwic. Na mapach i w dokumentach funkcjonują oficjalne nazwy: po raz pierwszy Stadtwald (las miejski) pojawia się na mapie z roku 1812. Taką nazwę nosiło wówczas także dzisiejsze Zatorze oraz wytyczona w 1904 roku Stadtwaldstrasse – czyli obecna ulica Okrzei. Po roku 1945 mamy Park Kultury i Wypoczynku, zaś od 1992 roku – Las Komunalny.

Buczyna dominująca

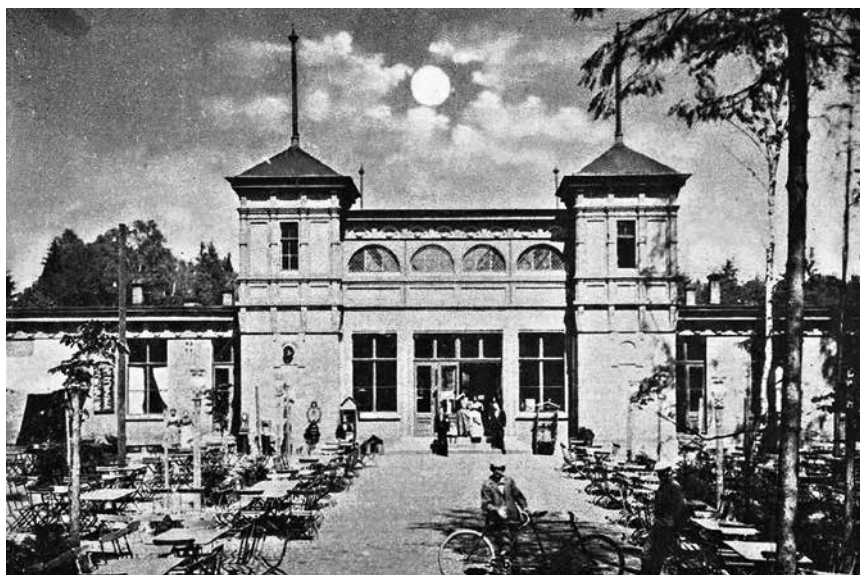
W roku 1865 las zajmował ogromny teren – 1612 mórg, czyli 412 hektarów. W miarę rozwoju miasta, szczególnie w XX wieku, powierzchnia zielona kurczyła się: na obrzeżach i w sąsiedztwie powstawały zakłady przemysłowe, dwa cementarze, stadion sportowy oraz osiedla mieszkaniowe. W roku 1931 las zajmował powierzchnię 350 ha. Po roku 1945 kurczenie postępowało i znowu winna cywilizacja, a raczej potrzeby mieszkaniowe i komunikacyjne. 1 listopada 2004 roku kosztem ponad 5 hektarów lasu powiększono Cmentarz Lipowy, zostawiając w jego obrębie 55 drzew iglastych i 2540 krzewów iglastych i liściastych. Dziś powierzchnia Parku Kultury i Wypoczynku to 197 hektarów – o 215 mniej od stanu pierwotnego.

W XIX wieku w lesie miejskim występowały buki, wierzybiałe, olchy, jesiony, kłony, kasztanowce, robinie akacjowe, sosny, modrzewie, miłorząb i dęby. Współcześnie las wciąż sprawia wrażenie dzikiego, choć Miejski Zarząd Usług Komunalnych stara się porządkować i zagospodarowywać teren. Dominują buki i dęby, choć spotkamy także drzewostan iglasty z przewagą sosny. Dziś sadi się tam około 20 tys. drzew rocznie w celu skompensowania wycinki drzew osiagających wiek rębności, przebudowy drzewostanów oraz uzupełniania ubytków po cięciach sanitarnych.

Kohn i jego Zameczek

Dziki zakątek miasta upodobał sobie Eugen Kohn – przedsiębiorca z Dolnego Śląska, który osiadł w Gliwicach jako przedstawiciel firmy B. Bermanna. Często bywał w lasku Żorek i oczyma wyobraźni widział tu swój przyszły biznes. Ten restaurator i hurtownik piwa miał na Plebańskiej piwiarnię „Zum Bierpalast”, przy której, w 1893 roku, otworzył nowy lokal z piwami zagranicznymi. Przy głównej ulicy, ówczesnej Wilhelmstrasse 38 (dziś Zwycięstwa 38), mieściła się jego druga piwiarnia „Bierhalle – Eugen Kohn”. Jednak największą i ulubioną jego inwestycją w Gliwicach był Zameczek Leśny (Waldschlössen).

Obmyślanie strategii zajęło Kohnowi wiele miesięcy. W roku 1894 zamówił projekt Zameczku w gliwickiej filii znakomitej bytomskiej firmy architektonicznej Georگا Luthego. Do dokumentacji dołączono także koncesję na sprzedaż wszystkich rodzajów piw z własnej hurtowni Kohna; re-



Zameczek Leśny w czasach świetności (rok 1900)

Las Miejski w Gliwicach i jego ikona – Zameczek Leśny

MAŁGORZATA LICHECKA

staurator zamierzał sprzedawać je właśnie w Zameczku. W gliwickim archiwum zachowały się szczegółowe, zwymiarowane plany architektoniczne lokalu wraz ze szkicami barwnej elewacji.

Bardziej pałac niż zamek

Ta ikoniczna budowla będzie znakiem firmowym lasu miejskiego; dzięki niej pozna ją to miejsce i dygnitarze, i prości robotnicy. Jolanta Wnuk, była kustosz gliwickiego muzeum i znawczyni architektury, zwraca uwagę na lekką strukturę pawilonową budowli, bardziej pałacową niż zamkową, charakterystyczną dla stylu angielsko-chińskiego. I faktycznie, gdy przyjrzeć się dawnym zdjęciom, widać na przykład niskie namiotowe daszki z wysokimi iglicami, pierwotnie stanowiącymi maszty dla barwnych chorągiewek. To styl chiński. Kustosz Wnuk wskazuje, że – zamiast reprezentacyjnego trawnika – na osi głównej (którą dziś bardzo trudno rozpoznać) mieściły się stoliki i krzeselka, funkcjonalne i wykonane z żeliwa oraz drewna. Nakrywano je eleganckimi obrusami, więc ta część open air wykraczała poza funkcję zwykłego ogródka, gdzie wprawdzie serwowano tańsze dania, ale i tak dość wykwintne. Wnętrze rezerwowano natomiast dla bogatszej klienteli.

Na obrzeżach terenu ustawiono ławy i stoły, gdzie spacerujący po lesie gliwiczanie mogli zjeść swój prowiant. Między ulicą a restauracją powstał istniejący do dzisiaj staw z wysepką, a na zapleczu dobudowa-

no w okresie międzywojennym basen z fontanną i kamienną rzeźbą „Trzech dziewcząt” prawdopodobnie autorstwa znanego gliwickiego rzeźbiarza Hansa Breittenbacha. Z kolei w latach 20. dobudowano do głównego budynku półkolistą kawiarnię. Dzieło architektów i budowniczych zatrudnionych przez Kohna było przedmiotem zainteresowania całego miasta i wielką atrakcją dla klientów spoza Gliwic.

Największy tor kolarski w Niemczech

Na polankach organizowano plenerowe gry, kiermasze, zabawy i zawody sportowe. A od tego już niedaleka droga do inwestycji sportowej z prawdziwego zdarzenia. Eugen Kohn miał naprawdę głowę do interesów, ogromne wycucie czasu i potrzeb klientów. Zbudował więc welodrom, którego uroczyste otwarcie miało miejsce w lipcu 1896. Jego współnikiem został inny gliwicki przedsiębiorca budowlany – Paul Gaerte. Inwestycję wspierał sam nadburmistrz Alfred Kreidel. I tak Gliwice dorobiły się nowoczesnego i największego w Niemczech toru kolarskiego.

Drewniany tor miał imponującą powierzchnię – 33 tysiące m², 400 m długości przy szerokości 8 m, zaś wiraże podniesiono na wysokość 4 m. Zadaszona trybuna główna mieściła 800 osób, a trybuny wokół toru – 2 300 widzów. Pod trybuną znajdowały się szatnie zawodników, warsztaty naprawcze rowerów, łaźnie, pomieszczenia klubowe oraz mieszkanie dozorczy. Przy welo-

dromie zbudowano podium dla muzyków i kort tenisowy. Było to miejsce wielu sportowych zmagañ lokalnych, a także ogólnoniemieckich. Śladów po wiodącym stadionie szukać w gęstym lesie. Pozostały po nim jedynie wały ziemne oraz równe rzędy wiekowych dziś sosen, dawniej okalających ów tętniący życiem obiekt.

W 1910 roku na terenie za Zameczkiem powstał prowizoryczny pas startowy, który można uznać za pierwsze gliwickie lotnisko. Nie był imponujący, ale dobrze służył pierwszym samolotom. Swoje próbne loty wykonywał tu, na lekkim samolocie własnej konstrukcji, inż. Hermann Dörner. Pilot i jego pasażer startowali wiele razy, krążąc nad lasem na małej wysokości. By szybciej wystartować z krótkiego pasa, korzystano z pomocy dwóch silnych mechaników, ale – jak wynika z relacji i notek prasowych – i tak wiele razy samolot wjeżdżał w pobliskie kartoflisko. Miejsce po dawnym lotnisku można odnaleźć tylko z pomocą starej mapy terenu.

Po roku 1945 Lasek Miejski (Gleiwitzer Stadt Forst) przemianowano na Park Kultury i Wypoczynku, a restauracja Waldschlössen zmieniła się w Zameczek Leśny. Wciąż była w dobrym guście i dla lepszej klienteli. W roku 1950 budynek przemianowano na ośrodek szkoleniowy dla Przedsiębiorstwa Budowy Zakładów Przemysłu Ciężkiego w Gliwicach, a potem stał się siedzibą Społecznego Komitetu Budowy Parku Kultury i Wypoczynku. W latach 1960–76 należał do Gliwickich Zakładów Gastronomicznych, a następnie do Spółdzielni Spożywców „Społem”. W tamtych latach było to miejsce szalenie modne, eleganckie, konkurujące się w PRL-u z luksusem.

„Bravo” bez braw

Zmierzch najlepszej restauracji w mieście był bolesny: czasy nastały nowe, pojawiały się fast foody, Zameczek Leśny nie nęcił już nikogo i powoli staczał się w restauracyjny niebyt. Spółdzielnia „Społem”, właściciel obiektu, nie chciała tracić, więc wydzierżawiła go w połowie lat 90. pod dyskotekę Bravo. Z eleganckiej restauracji, budynek, po licznych przebudowach, stał się najpopularniejszą i okrytą też kryminalną sławą dyskoteką w Gliwicach. W murach dawnego Zameczku Bravo zagościło na dekadę, lecz kres temu rozrywkowemu biznesowi położyła ekspertyza: w 2006 r. nadzór budowlany przeprowadził kontrolę stanu bezpieczeństwa obiektu. Wynik kontroli był jednoznaczny: dach łada chwila może się zawalić, a cały obiekt jest w złym stanie. Zdecydowano więc o zamknięciu dyskoteki i wyłączeniu budynku z użytkowania.

Ale to nie koniec kłopotów. Lekceważenie prawa własności w PRL odbiło się na dalszych losach Zameczku. W 1976 roku zlikwidowano Zjednoczenie Przemysłu Gastronomicznego, a majątek przekazano Zarządowi Centralnego Związku Spółdzielni Spożywców „Społem”. To przekazanie nie odbyło się jednak zgodnie z przepisami, bo „Społem” nigdy nie uzyskało tytułu prawne-

go do nieruchomości. Wyszło to na jaw dopiero w 1992 roku przy okazji decyzji o komunalizacji mienia państwowego. Ale wciąż sprawy nie uregulowano, sądząc zapewne, że przez lata zasiedzenia otrzymanie tytułu prawnego będzie formalnością. O tym jak błędne to były przypuszczenia gliwicy spółdzielcy przekonali się podczas długiego procesu sądowego z miastem.

Po odzyskaniu Zameczku urzędnicy ogłosili przetarg i wystawili nieruchomość na sprzedaż. Najpierw za 2 mln zł wraz z oddaniem w wieczyste użytkowanie 2,8 ha gruntu o wartości 3,8 mln. Niestety, nie znalazł się chętny. Podobnie jak podczas drugiego przetargu, który ogłoszono w 2016 roku. Z uwagi na miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego terenu mógł tam powstać jedynie obiekt usługowy, spełniający funkcję hotelarsko-restauracyjną lub szeroko rozumianą rozrywkową, na przykład kasyno. Dodatkową „przeszkodą” był zapewne wpis do w gminnej ewidencji zabytków, co narzucało obowiązki odbudowy.

23 spojrzania na Zameczek

Ryszard Nakonieczny oraz Barbara Uherek w obszernym artykule na łamach Biuletynu Politechniki Śląskiej ze stycznia 2009 roku omawiają arcyciekawy pomysł studentów na rewitalizację Zameczku Leśnego i terenu wokół niego, a ściślej – efekt konkursu, które na swoje 60-lecie ogłosiło biuro projektowe PROJPRZEM. Podpisano stosowną umowę z Wydziałem Architektury, a temat konkursu dotyczył zarówno rewitalizacji Zameczku, który uznano za unikatowy obiekt architektoniczny (mimo licznych przeróbek), jak i zagospodarowania terenu wokół budynku. Jak podkreślali pomysłodawcy konkursu, był on formą wspierania inicjatyw lokalnych w zakresie wyeksponowania walorów historycznych obiektów w Gliwicach. Co do Zameczku, zdawano się na wyobraźnię studentów: można było obiekt odtworzyć, stworzyć na nowo albo rozbudować.

Na konkurs wpłynęły 23 prace, a w obradach jury, oprócz inicjatorów i architektów z Politechniki, zasiadali przedstawiciele Urzędu Miejskiego. Zatem już wtedy urzędnicy mieli w ręku 23 gotowe pomysły na rewitalizację Zameczku. Przyznano dwie równorzędne nagrody główne i cztery wyróż-

nienia, a poziom prac był wysoki. Główne nagrody otrzymali: Krzysztof Groński (ma dziś własną pracownię architektoniczną) za „Park Kultury” (doceniono przywrócenie wyjątkowych wartości architektonicznych obiektu oraz zaproponowanie nowoczesnych funkcji wraz z otoczeniem rekreacyjno-sportowym) oraz Bartosz Wilk za „Mental Spa”, gdzie postawiono także na rewitalizację, ale tym razem z funkcją rekreacyjno-zdrowotną. Wyróżnione prace były potencjalną kopalnią pomysłów dla właściciela, czyli miasta. Nagrody pieniężne przyznano, wystawę w sali sesyjnej obejrzano i... nic.

I Zameczku nie ma

Jeszcze 10 lat temu, w roku 2010, budynek został wskazany przez Śląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Katowicach do ujęcia w gminnej ewidencji zabytków. Na podstawie dokumentacji obrazującej aktualny, katastrofalny stan techniczny budynku, konserwator uzgodnił w kwietniu 2020 wyłączenie Zameczku ze wspomnianej ewidencji. Miasto zdecydowało się obiekt wyburzyć, a od decyzji do wjazdu koparek i buldożerów nie minął nawet miesiąc: w maju, po 126 latach, Zameczek Leśny przestał istnieć.

Rozpadający się budynek, powoli pochłaniany przez las, nie za bardzo pasował do budowanej w pobliżu tężni. Zgodnie z projektem pracowni Modulator Architekci – ma ona prawie 8 m wysokości. Wokół powstał strefa relaksu z leżakami oraz reprezentacyjny ogród, w którym zostanie wyeksponowany rosnący tam dąb szypułkowy. Dodatkowo, zostanie posadzonych w sumie ok. 700 krzewów, traw i ozdobnych bylin, m.in. trzciniki, kostrzewy, winobluszcz i wrzośy. Pojawia się też ławki z oparciami i stożaki na rowery.

W planach Miejskiego Zarządu Usług Komunalnych jest również modernizacja alejek. W pierwszym etapie zostanie zbudowane oświetlenie na 650 metrowym odcinku od ul. Horsta Bienka do istniejącej asfaltowej drogi przeciwpożarowej, a także budowa parkingu. A co z terenem po Zameczku Leśnym? Urzędnicy zapewniają, że po uprzątnięciu działka zostanie wystawiona na sprzedaż. Cena wywoławcza nie jest jeszcze znana. ■



Tężnia w Gliwicach tuż przed zakończeniem prac (maj 2020)

foto: M. Lichecka

brama

Tak więc dotarłeś na miejsce.
Mapa tym razem była posłuszna jak koń.
Teraz trzeba ją zjeść.

Czy aby nikt cię nie śledził?

Czy nie połknąłeś gps'a za wcześnie?

Czy jesteś pewien że wydaliliś go w odpowiednim momencie?

Że nie wytropi go żaden pies?

Żaden szpieg?

Żadna lupa?

Czy dokładnie ogoliłeś ciało?
Tam mógł zostać ślad naszych sekretnych rozmów.
Naszego wciągania tajemnicy.
Amfetamina mądrości.

Włosy!
Na boską miłość! Czy jesteś bez włosów?

Tak mi się wydaje.

Wchodź więc. Zaraz ci wszystko pokażę.
Zaraz cię wszystkim przedstawię.

Ten oto pan będzie twoim przełożonym.
Ma na imię strach.

Ta pani to księgowa.
Ma na imię strach.

Bardzo mi miło.
Mam na imię strach.

Czego się boisz? Nikt ci tu krzywdy nie zrobi.
Możesz to uczynić jedynie ty sam.

Wyluzuj. Przebierz się.
Tam jest twój szpind. Tam schody do ancli.

Po wszystkim darmowy prysznic.

(z tomu *Sterownia*, Instytut Mikołowski, 2015)

iskać

Czy lubisz tracić czas albo dotykać tego
w co twój czas się ubiera? Kiedy już go nie ma
zostają nitki i nity? Czyż nie?

Tak ale tylko dla ciebie i to gdzieś między
tobą. Więc zobacz. Dzieje się tak:
Tiku – tak. Tiku – tak.

Oto z zielonego nieba wyrasta
niebieski koń który zawozi mnie
pod nasze ponure chmury. Na szczęście.

Gdzieś do twojego ciepłego jak ołtarz ogrodu.
Teraz możesz mnie wyiskać. Tiku – tak. Tiku
– tak. Tiku – tak. Tak?

Ludzie

Marcinowi Biesowi
i wszystkim braciom jego

Dom jest dobry jak żołnierz. Jak ojciec.
Jak tort. Dom bywa lepszy niż ojciec
Ale nie jak żołnierz. Ale jak tort – zawsze.

Koźnierzyk powinien być sztywny jak
Dom. Dom pogrzebowy. Jestem najlepszym
Człowiekiem świata. Zaprzecz. Zaprzecz.

Człowiek udomowiony przez dane jest jak
Człowiek przez dane udomowiony. Chodzi
Śpiewa, sadza kłamstwo na kolanach.

Dom jest zły jak człowiek. Jak ojciec.
Smaczny jak płyn do zmywania słów.
Dom jest jak balkon. Balkon, nie taras.

Teraz taras się upiera i myśli o tej
Stopie, która pierwsza. Dom jest tam
Gdzie dach i piwnica. Bat i szachownica.

(z tomu *Stacje*, Instytut Mikołowski, 2017)

Logorea. Hostia

Darowanej monstrencji lepiej w oko nie zaglądać. Tam być może
Wszystko, czego sobie postanowiłaś kiedyś nie próbować. Dla przykładu;

Najlepszego obiadu, obok najlepszych ludzi, w najlepiej oświetlonym
Przez dom dnia. Albo najlepszy obiad, obok najlepszych ludzi, w dniu,

Który jest oświetlony najlepiej. Najlepiej nie zaglądać w oko monstrencji.
Którzejkolwiek. Jakkolwiek. Przejdź do aktu aborcji. Jakbyś wchodził do

Jasnego domu. Nie kradnij, tylko przyjmij. Zostaw narysowany kredą znak.
Strzałkę. Ten obiad. Tam dom. Nie ten. Nie gimnastykuj się. Na ofiarowaniu.

Taniec

Niepotrzebny człowiek zatrzymał się na banalnym. Pomyślał o wodzie. Wodzie niepotrzebnej. Woda niczym święta, szumiała pięknie jak ob-
rus. Zwykle tak było i niepotrzebny człowiek wiedział o tym. Wiedział
o psie, o koniu i nawet o butach. Wiedział o wszystkim. Wiedział nawet
o słowie: szukaj. O tym dziwnym jak cytrynowy pieprz wynalazku.
W dniu tej wiedzy, niepotrzebny człowiek postanowił wrzucić wszystko
do polki, której nie rozumiał. Zatańczył niepotrzebny człowiek. Tańczył
długo jak świat. Świat też tańczył. Niepotrzebny człowiek zaczął próbo-
wać różnych tancerzy. Modne stało się tango zdrad, polka za szopą, mi-
longa polska i wychowywanie cudzych, posianych obcą miłością dzie-
ci. Niepotrzebny człowiek cwałował jak najlepiej. Najlepiej jak mógł.
Gwiazdy zaczęły myśleć o seksie. Świat oszalał.

Jedna z wielu pięciolini

która nie ustawi żadnego dźwięku
żadnej melodii nie przeniesie

która oplecie nas jak pająk
którego oczy przyglądać nam się będą
aż po kres naszego pojęcia

wciągnijmy ten świat
z tak gigantyczną ochotą

jak chęć by zniknął

(wiersze niepublikowane)



Kobieta

Niepotrzebny człowiek postanowił być człowiekiem pełnym entuzjazmu. Postanowienie żyło długo w łydkach, kolanach i sercu niepotrzebnego człowieka. Potrzeba się przeniosła. Przeniosła nie daleko. Bo niepotrzebny człowiek zorientował się, że nie kochał, ale zaczynał pragnąć. Wtedy już wiedział, że to będzie jak tlen, jak huśtawka, jak ojciec, jak koń, jak pies i nawet jak prawie wszystko niepotrzebne. Krzyczał przez sen niepotrzebny człowiek w różnych językach. Krzyczał potrzebnie. Wówczas cały potrzebny świat, do którego wróżbę snu wysyłał potrzebnie niepotrzebny człowiek, spał potrzebnie. Świat miał wolne od jego niepotrzebnych, wywoływanych sztucznie prawd, aż do chwili kiedy świat jednak napisał. „Człowieku niepotrzebny, przepraszam, kochaj potrzebnie. Może być kobieta. Może być nawet ta, o której myślisz, że jest potrzebna.” Świat stanął. Niepotrzebny człowiek zaczął sobie przypominać. Taniec był nieskończony, a miłość ledwie zaczynała drgać.

(z tomu *Człowiek O.*, Instytut Mikołowski, 2020)

Adam Władysław Jarosz

25 maja 1928 – 6 czerwca 2020

MARIAN KISIEL



Zmarł po długiej chorobie, 6 czerwca, w wieku 92 lat. Ponieważ wciąż trwały obostrzenia pandemiczne, pożegnaliśmy go niewielką gromadką cztery dni później w kaplicy na katowickim Cmentarzu Komunalnym przy ul. Murckowskiej. Jego prochy zostały złożone dwa dni później w grobie rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Tak domknęła się ziemską wędrówkę doc. dr. Adama Władysława Jarosza, profesora honorowego Uniwersytetu Śląskiego i jednej z autentycznych, a nie zmyślonych legend akademickich.

W czasie moich studiów polonistycznych docent Jarosz budził respekt, krążyły o nim różne plotki. A to, że niebawale zasadniczy; a to, że okrutnie dobiekliwy; zna pamiętniki Paska na pamięć; pyta o daty pierwszych edycji... Ileż tych strachów rzucano na młode głowy, które nie mogły się jeszcze roznieść w alfabecie fonetycznym, a już je katowano męczeńską wizją staropolskich piekieł. Że to nie najstraszniejsze piekła, miały się owe głowy przekonać później, kiedy zostały zaatakowane gramatyką historyczną i historią języka polskiego. Ale kto myślał o dalszym życiu studenckim, kiedy miał zostać na pierwszym egzaminie rozszarpany na bibliografii, edycjach i spalony w duńskich piecach z pamiętników Paska?

Uczono nas wtedy inaczej niż dzisiaj uczy się studentów. Historię literatury widziano w ścisłej łączności z historią języka. Wpajano nam, że są nierozdzielne, a wielki podręcznik Zenona Klemensiewicza *Historia języka polskiego* był dowodem na to, że nie da się zrozumieć przemian języka

bez wiedzy o ogólnym i indywidualnym wystąpieniu literackim. Przekonywano nas, że nie ma historii literatury bez recepcji, a nie ma recepcji bez znajomości bibliografii. Adam Jarosz był na początku naszych studiów niczym ów – „o spiszowym głosie i pięćdziesięciu głowach” – Cerber ze zmyślonych opowieści Borgesa, strzegący wejścia do świata umarłej literatury, którą my, stęsknieni Orfeusze, chcieliśmy wyrwać wiecznej ciemności. Nie był charyzmatycznym mówcą, jego wykłady nie porwały. Wchodząc do jego gabinetu na antresoli budynku przy ulicy Zegadłowicza w Sosnowcu, porzucaliśmy jednak wszelką nadzieję.

Otrzymałem wtedy swoją pierwszą piątkę, co zostało niebawem zrównane dwójką u prof. Henryka Wróbla. („Widzę, że jest pan miłośnikiem skrajności” – powiedział mi potem prof. Aleksander Wilkoń, wertując mój indeks). Ale ta piątka nie była zdobytą łatwo. Docent Jarosz pytał oczywiście o wydania poszczególnych utworów, interesowały go historycznoliterackie konkrety. Dla nas, którzy chcieliśmy przepłynąć wpływ przez kilka stuleci literackich marzeń i ambicji pisarzy, o jakich czasem zapomniiała ludzka pamięć, była to wielka lekcja pokory. Po trzydziestu pięciu latach swojego nauczycielstwa mogę powiedzieć, że nauczanie historii literatury przez bibliografię nie jest wcale gorszym nauczaniem od tego przez teorię. Recepcja jest jak opowieść rodzinna, a teoria jak przepis kulinarny. Dawniej widać bardziej dbano o opowieści rodzinne.

Panowała powszechna opinia, że Adam Jarosz nie napisał w swoim życiu zbyt wiele. Nie jest to prawda. Są ucze-

ni, którzy nie dzielą słowa na czworo, szastają nim jak nieswoim pieniądzem, albo – złotouści! – powtarzają tę samą myśl, jakby byli w stanie werbigieracji. Pan Docent – bo tak o nim mówiliśmy – do słowa podchodził z wielkim szacunkiem, w myśl zasady, że nie mówi się (nie pisze się) byle czego. Sam żartował, że mistrzem słowa nie jest, ale u Mistrzów – profesorów krakowskich: Juliusza Kleinera, Stanisława Pigionia, Kazimierza Wyki – terminował. Był w tym żarcie zarówno smutek z pewnej osobistej przypadłości, ale i duma ze szkoły, w jakiej wzrastał.

Urodził się w Tarnowie, ale szybko wraz z rodzicami przeniósł się do Krakowa. Tutaj ukończył szkołę powszechną, a – w czasie okupacji – zaczął naukę w szkole handlowej. Świadcstwo dojrzałości otrzymał w roku 1947 i zapisał się na Wydział Humanistyczny UJ. Studiował polonistykę, magistrem filozofii został w roku 1952. Pracę magisterską u Kazimierza Wyki poświęcił braciom polskim (arianom) i ich znaczeniu dla kultury polskiej. Na jej bazie opracował dla „Pamiętnika Literackiego” (1960) studium o Nałęczowie i wieży ariańskiej w *Nawracaniu Judasza* Stefana Żeromskiego. Musiał więc młody uczonek wpaść w oko swojemu Mistrzowi, skoro ten polecił jego pierwszą pracę do najważniejszego polskiego pisma literaturoznawczego.

Szły za tym dalsze kroki. W latach 1952–1954 Adam Jarosz został zatrudniony w Redakcji Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza, którą kierował prof. Leon Płoszewski; nadto w latach 1953–1963 pracował na pół etatu w krakowskiej Pracowni Leksykograficznej IBL PAN, którą

kierował prof. Witold Taszycki. Zanim więc został zatrudniony na asystenturze na UJ, szlify zdobywał w pracowniach słowa – edytorskiego i słownikowego. Oto, skąd brał się jego szacunek do słowa jako znaku tradycji, a także do jego Mistrzów – „hetmanów polonistyki”, jak o nich mówił prof. Włodzimierz Wójcik.

Okres krakowski to początek intensywnej pracy doc. Jarosza nad edycjami dzieł pisarzy pozytywistycznych i młodopolskich. Wydał *Krewnych* Józefa Korzeniowskiego (1954, 1957), *U progu sztuki* Ignacego Maciejowskiego Sewera (1955, 1960), *Grube ryby* Michała Bałuckiego (w tomie 11 *Pism wybranych*, 1956), *Hrabinę Cosel* Józefa Ignacego Kraszewskiego (1962, 1967, 1973, 1990, 1997). Wtedy też (od 1961) zaczął współpracę z pomnikiem polskiej biografistyki – *Polskim słownikiem biograficznym*, co później przełożyło się na jego liczny udział w różnych innych przedsięwzięciach słownikowych, m.in. w *Śląskim słowniku biograficznym* oraz we własnej inicjatywie, tj. siedmiotomowych materiałach do dziejów kultury literackiej Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego (1985–1995). Tak oto już u początków pracy polonistycznej Adama Jarosza ujawniły się dwa jego oblicza, wymagające niebawem sumienności filologicznej – edytora i biografisty. I już chyba rozumiemy, skąd to zainteresowanie uczonego bibliografią jako skarbnicą wiedzy o przeszłości.

Adam Jarosz był historykiem piśmiennictwa, a nie historii literatury, stąd na jego wybory filologiczne położyły się te, które związane są z książką. Z sentymentem wspominał w szkicu o wizycie Kazimierza Wyki w Instytucie Filologii Polskiej UŚ, że nim udał się na pokoje dyrekcji, nasamprzód poprosił, aby pokazać mu „zasobność księgozbioru polonistycznego”. „Wydarzenie to na trwałe pozostało w pamięci bibliotekarzy uczelnianych, którym podobne wizyty i zainteresowanie ich pracą ze strony tej miary wielkiego uczonego i legendarnej już postaci naszej dyscypliny – później nigdy więcej nie miało miejsca”.

Książka, jakby powiedział Wyka, to „węgiel naszego zawodu”, dlatego nie dziwi, że docent Adam Jarosz właśnie jej poświęcił całe swoje prawdziwe naukowe życie. I jako – pierw – organizator i kierownik wydawnictwa i drukarni Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a później Uniwersytetu Śląskiego; i jako – następnie – nauczyciel bibliografii, bibliologii i edytorstwa; i – dalej – jako edytor licznych prac pomocniczych do studiowania historii literatury; i – wreszcie – jako organizator uniwersyteckich studiów bibliotekoznawczych. „Według niego –

pisala prof. Irena Socha – bibliotekoznawstwo jako dyscyplina akademicka nie może być jedynie kierunkiem zawodowym, nastawionym na zadania praktyczne, związane z pracą biblioteczną, lecz powinno dawać również rozległą wiedzę ogólną, uświadamiać kulturę książki, stwarzać możliwość samokształcenia w zakresie innego [...] kierunku”.

Wielką pracą organizacyjną docenta Jarosza, owo „u podstaw” budowanie uczelni wyższej w jednym z jej obszarów, widzieć należy także w kontekście jego wyborów naukowych. Zainteresowanie literaturą staropolską – arianami, Zbigniewem Morsztynem, Walentym Roździeńskim, Danielem Naborowskim, Olbrychtem Karmanowskim – zaowocowało licznymi studiami i recenzjami; Roździeński, któremu poświęcił doktorat, każe mu z uwagą przyrzeć się kulturze na Śląsku; estyma do Stefana Żeromskiego – skierowała uwagę uczonego także w stronę Zagłębia Dąbrowskiego. Irena Socha słusznie pisała, że Jarosz „nie chciał, by tematyka regionalna stała się synonimem drugorzędności czy zaściankowości”. – „Wielką wagę przywiązywał do prac bibliograficzno-dokumentacyjnych, jako podstawowych dla dalszego rozwoju nauki i poznania prawdy o regionie. Chciał przede wszystkim dokumentować regionalne życie literackie i biografie ludzi zasłużonych dla śląskiej i zagłębiowskiej kultury literackiej”. – Dodać należy przy tym, że przez wiele lat był także dokumentalistą życia naukowego śląskich filologów. Jego sprawozdania ogłaszane na łamach „Biuletynu Polonistycznego” są dzisiaj jedynym źródłem poznania historii i rozwoju polonistyki na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Każdy, kto kiedyś podejmie się napisania historii WSP w Katowicach i UŚ, a osobliwie jej części polonistycznej, nie będzie mógł bez tych prac się obejść.

Liczne studia Adama Jarosza spoczywają w rozproszeniu. Ich wymiarem – na swoje osiemdziesiąte – podzielił się autor w tomie *W trójkącie Przemyszy. Z Krakowa na Śląsk i do Zagłębia Dąbrowskiego* (2007), w którym przypomniał niektóre z ogłoszonych szkiców. Ten zbiór jest także w jakimś sensie biografią intelektualną uczonego i jego, jakby powiedział Roger Caillois, „zamykaniem nawiasu” (ludzkiego i naukowego). Zbiegły się w nim wspomnienia o młodości autora, jego kontaktach akademickich, hasła słownikowe, które zabrzmiały jak nekrologi, a także niezwykle istotne uwagi metodologiczne dotyczące tego, jak należy podchodzić do kultury literackiej regionu. Te ostatnie powinny być dzisiaj przedmiotem szczegól-

nego namysłu, ponieważ zainteresowania badaniami z zakresu regionalistyki i geopoetyki znów się odradzają i określają jedną z twarzy współczesnej myśli humanistycznej.

Wiemy, że Adam Jarosz pracował też nad tomem *Walenty Roździeński i inni poeci XVII wieku*, ale nie wiemy, czy rzecz doprowadził do końca. Wydał natomiast w serii PAN książeczkę *Walenty Roździeński – poeta i hutnik ze Śląska* (2000), w której zebrał swoje uwagi o tym autorze. Był gorącym orędownikiem wydania *Officina ferraria* w nowym opracowaniu prof. Stanisława Grzeszczuka, ale tego marzenia nie udało się spełnić z uwagi na śmierć edytora. Zapewne na uczniach Adama Jarosza, a najpewniej na uniwersytecie, którego był profesorem honorowym, spoczywa powinność wydania tych rozproszonych prac.

Żegnając go dzisiaj, z ponowną ciekawością sięgnąłem do pozostawionych przez niego prac, ze zdumieniem konstatając, że Pan Docent więcej swojego życia poświęcił uczelni niż własnemu naukowemu wizerunkowi. A przecież z jego artykułów, biogramów, przyczynków wyziera oblicze człowieka, któremu – jak pozytywistom – zależało na zbudowaniu na miejscu pozabawionym tradycji uczelni wyższej, właśnie owej uczelni. Prof. Irena Socha pisała, że „nie zawsze [był] rozumiany” i musiał „pokonywać liczne przeszkody nie tylko natury materialnej. Sam zresztą nie należał do ludzi »łatwych«, bezkonfliktowych; czasem autorytarny i nieufny, twardo broniący swoich racji, nie zawsze akceptowanych. [...] Do swoich wzorów ideowych zaliczał Witosa, Rataja, Thugutta, Daszyńskiego oraz Piłsudskiego, ale jako Naczelnika Państwa. Adam Jarosz był sceptykiem, powściągliwym, a nawet niechętnym w odwoływaniu się do uczuć i sentymentów, a przecież w pracach nad historią kultury literackiej Śląska przejawia się Jego patriotyzm, szacunek dla rodzimych tradycji i dla przekonań wyrastających z innego, niż sam wyznawał, światopoglądu”.

Zapamiętamy go jako ważną postać kultury na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. A do jego prac wracać będziemy – i nie jest to tylko okolicznościowe przyrzeczenie. Tak się dzieje bowiem, że kiedy kończy się życie biologiczne, otwiera się wielka księga słów zapisanych – i wtedy dopiero widać po co się żyło i czy żyło się twórczo. Uczcijmy zatem pamięć uczonego jego własnymi słowami o innym wielkim uczonym, Kazimierzu Wyce, „przyjacielu ziemi śląskiej i jej uniwersytetu. Ziemia nasza jest pamiętliwa – tu długo się pamięta, co złe, ale jeszcze dłużej to, co dobre!”

Non omnis mortuus est.

Moja mała ojczyzna

Ks. HENRYK PYKA

Dzięki wpisaniu zabytkowej kopalni srebra w Tarnowskich Górach w poczet obiektów światowego dziedzictwa kultury, miasto to chętniej odwiedzają turyści. Przyciąga ich nie tylko była kopalnia srebra, ale i zabytkowe centrum, bowiem Tarnowskie Góry należą do piękniejszych miast Górnego Śląska. Represyjne i bezmyślne decyzje wcześniejszych włodarzy pozbawiły miasto synagogi, budynku łoży masonskiej, kuźni związanej tradycją pobytu w mieście króla Augusta II. Pod miastem zachowała się sieć pierwotnych wyrobisk górniczych. Kręte i nieregularne uliczki oplatały istniejące tu niegdyś szyby wydobywcze. Park miejski w moich oczach jako dziecięca, jawi się jako przestrzeń za dbana, ukwiecona, witająca każdego piękną strofą poetycką miejscowego kronikarza Jana Nowaka, wypisaną na głazie przy wejściu do parku. Biegałem po czerwonych parkowych drózkach wysypanych mieloną cegłą, oddzielonych od zieleni dyskretną, metalową listwą. Nie deptało się zieleni. W parku do dzisiaj zachowała się drewniana ogrodowa architektura. Wypiętrzona ponad spacerowiczem widokowa altana, rodzaj glorieity, organizuje przestrzeń parku. Drewniany grzyb-schron przed deszczem, kiosk darzący niedzielnych spacerowiczów chłodzącym napojem i lodami powodowały, że miejsce to było dla mnie zamieszkałe i wypełnione ową „Gemütlichkeit” – przytulnością, którą nie tylko Niemcy tak bardzo kochają. Jako maturzysta siedziałem na ławce w różanej pergoli z dziewczyną, którą zaprosiłem na pomaturalny komers. O różę już wtedy nikt

nie dbał, ale kiedyś rosły, wtedy, kiedy warto było aleje parkowe wysypywać ceglany czerwonym miałem. Byli ludzie, którzy to miasto kochali i siebie też wzajemnie szanowali. Park powstał, bo miejscowi decydenci, proboszcz i burmistrz dogadali się ze sobą. Dlatego jakby u schyłku „belle époque” posadzili drzewa w miejscu dawnych wyrobisk gwareckich. Park posiada plan bliższy i plan dalszy, można w nim się zagubić wśród porośniętych zielenią warpi bawiąc się w chowanego. Można także zimą zjeżdżać na sankach; z toru saneczkowego i z tych kopców pogwareckich, co chętnie zimą robiłem. W mieście jest nadal wielu ludzi, którzy to miasto kochają, promują, ale mają być może inną perspektywę, dlatego dawne zwinowo-ceglane alejki parkowe pokryli asfaltem. Tak widocznie praktyczniej. Zatrzymałem się przy parku, może i rozmarzyłem się za długo. Choć w alei róż nie kwitną już róże, mimo to uważam nadal tarnogórski park za urokliwą ozdobę miasta chociażby ze względu na tego nadaturalnej postury grzyba krytego gontem, do którego parkowe dróżki zawsze jakoś mnie zaprowadzą.

Drugą ozdobą miasta jest ratusz, miejska budowla, która rozsiała się w rynku.

Wypiętrzona ponad miejską zabudowę widoczna jest z oddali, podobnie jak wieża kościoła parafialnego. Choć wiele stylowych budowli tego typu znajduje się na Śląsku z tą najznamienszą – wrocławskim ratuszem, na Górnym Śląsku tarnogórski ratusz jest wyjątkowy. Nie jest stylowy, a stylizowany podług nieba, które wówczas kiedy powstał nad miastem się rozpościerało. Wypadało by kościół był gotycki, ratusz renesansowy, dworzec kolejowy klasycystyczny. Panujący wówczas historyzm w sposób synkretyczny korzystał z wiedzy uważając, że nie trzeba niczego nowego wymyślać, bo wszystko, co szlachetne w stylach, już wymyślono. Wystarczy wiedzieć i odpowiednio zastosować. Zarówno park, jak i ratusz tarnogórski, powstały w bliskim sobie czasie. Ratusz wcześniej, bo w roku 1898. Park miejski pięć lat później. Wiem, że korzystam z łaski spolegliwego czasu, co pozwala mi obok Szymona Kotitschke i Ryszarda Ottego – dwóch kolejnych tarnogórskich burmistrzów, za których powstał ratusz i park – postawić Thomasa Myrtka, Richarda Koziola, Juttę Ostens, Harry Elsnera. Zostali przywrócenie wdzięcznej pamięci. Niektórzy, jako patroni ulic jak Friedrich Grundmann w Katowicach, związani byli również z Tarnowskimi Górami. Ci czterej wymienieni, mniej znani, należą do najmłodszej generacji Ślązaków opcji niemieckiej, których jako artystów promowałem. W różny sposób, czy to jako mecenas, czy jako artyści wpłynęli na to, że Górny Śląsk mimo przemysłowej, zabrudzonej pa-

tyny był krainą przytulną, ogrzaną talentem kształtowania przestrzeni naznaczonej pięknem. Harry Elsner był malarzem urodzonym w Żorach. W domu, w którym mieszkał, znajduje się obecnie Muzeum Miejskie, a w nim kolekcja obrazów Elsnera. W Brynku kończył „Forstschule”. Jednak szczęścia w małżeństwie musiał szukać po wojnie w odległym Bad Mergentheim. Odwiedziłem Elsnera w tym mieście. Tu ostatecznie w roku 2012 znalazł wieczny spoczynek. Przed nim sprowadzili się tutaj po opuszczeniu Malborka rycerze niemieckiego Zakonu NMP. Widziałem na twarzy tego artysty łzy, kiedy po raz ostatni przyleciał do Katowic z synem, profesorem medycyny w jego prywatnej awionetce, by ofiarować swoje obrazy Muzeum Archidiecezjalnemu. Piszę to, by ten dar zalegający Muzeum spersonalizować w wyraźnym emocjonalnym kontekście ofiarodawcy. Tak właśnie, emocjonalnie, wpisały się w moją świadomość park, ratusz i wiele innych miejsc w mieście, które jest moją małą ojczyzną, składają się one na przestrzeń, w której kształtowała się moja tożsamość. Brakuje mi ambony w kościele parafialnym, gdzie zostałem ochrzczony. Wycięła ją siekiera soborowego ostracyzmu. Podczas nabożeństw chętnie stawałem, jako licealista, pod tą amboną, jak pod dobrym drzewem.

Eklektyczny w swej postaci ratusz u swych początków nie był jedynie miejscem urzędowania burmistrza, ale i jego zamieszkania. Piłat w ratuszu kalwaryjskim mieszka i ukazuje się na sądy. Fakt zamieszkiwania urzędowej osoby wzmacniał powagę budynku. Powaga ratusza była zamierzona przez architekta, który opracował jego fasadę bogatą w addycyjne dodatki architektoniczne jak wykusze, balkony, edykule dla pomieszczenia historycznie ważnej persony. Herman Guth, berliński architekt, projektował wiele realizacji sakralnych i budynków administracji. Projektował także ratusz tarnogórski. Na jego fasadzie było dość miejsca, by ukazać całą złożoną historię miasta rozpisaną w postaci heraldycznej opowieści. Kartusze herbowe z bolesławieckiego piaskowca wprawnym dłem opracował nadworny mistrz kamieniarski z Berlina Mathias Schilling. W czasach naporu, kiedy i ja dostawałem „po łapach” w szkole za niepoprawne przytakiwanie w niemieckim, choć i gwarowym sznycie, ta heraldyczna glosa opasująca ratusz ostała się. Nie można było zdjąć tych herbów nie niszcząc ratusza. Mało kto zajmuje się heraldyką. Dla postronnego przechodnia nie miało znaczenia to co zawierają te piękne rozrzeźbione kartusze. Opasują więc ratusz herby Śląska, Prus, Rzeszy Niemieckiej, Tarnowskich Gór, a także kolejnych właścicieli miasta Hohenzollernów i Donnersmarcków. Pod wielkim oknem Sali Rady Miejskiej, w edykuli znaj-

fot. Gabriel Wilk



dował się posąg jednego z dwu założycieli Miasta. Miastu dali początek w roku 1526 Piast i Hohenzollern – Jan II książę Opolski zwany dobrym i urodzony w Ansbachu Jerzy Hohenzollern, właściciel ziemi bytomskiej i Karniowa. Zgłaszano pomysł na budowę pomnika założycieli Tarnowskich Gór. Pomnika w tym mieście doczekał tuż po wybudowaniu ratusza jedynie Jerzy Hohenzollern. Była to fundacja landrata, czyli starosty powiatu, który zamówił go u wrocławskiego rzeźbiarza Heinricha Kiewewaltera, autora rzeźby słynnej gorylicy Pussi, stanowiącej z końcem XIX wieku największą atrakcją wrocławskiego ZOO. Brązowa rzeźba goryla zachowała się do dzisiaj w pawilonie wrocławskiego zwierzyńca. Rzeźba Jerzego Brandenburskiego przedstawionego jako smukła postać z dokumentem założycielskim miasta uległa destrukcji. Dwukrotnie zrzucano ją z ratusza, w roku 1934 i w 1957 już jako kopię. Na tym miejscu stoi obecnie od 1958 roku wyobrażenie średniowiecznego inwestora branży wydobywczej, czyli gwarka, wykonane przez rzeźbiarza z Piekar Śląskich Edmunda Halka. Byłem wtedy dwunastolatkiem kiedy obchodzonym w mieście od roku 1957 Dniom Tarnogórskich Gwarków towarzyszyło rok później uroczyste odsłonięcie rzeźby średniowiecznego wydobywcy. Kamienną postać księcia Jerzego, który tu stał wcześniej także zapamiętałem bo miał na sobie to co fascynuje chłopca w tym wieku. Miał zbroję rycerską, a w dłoniach nie tylko zwój dokumentu założycielskiego miasta, ale i hełm. Uprzedzenie do faktów powoduje, że mamy dzisiaj w tym miejscu zabawną koniunkcję. Oto tuż pod rzeźbą średniowiecznego wyrobnika, może inwestora, znajduje się herb elektorów brandenburskich.

W czterysta lat od ogłoszenia pierwszej polskiej ustawy górniczej, czyli „Ordunku Górnego” z roku 1528 ukazało się w opra-

cowaniu Józefa Piernikarczyka wznowienie tego dokumentu. Ostatni piastowski książę Opola Jan, wspólnie ze swoim kontrahentem Jerzym brandenburskim, kładli w nim „podwaliny pod wielkie dzieło gospodarcze Górnego Śląska”. Na tej ustawie wzorowała się pierwsza pruska Ordynacja Śląska Fryderyka II. Nabycie tak unikatowego dokumentu uznałem za zobowiązanie do nawiedzenia grobów tych dwu wyjątkowych dla Tarnowskich Gór osobowości. Jan Dobry, gorliwy katolik zmarł jak głosi płyta nagrobna w Katedrze Opolskiej w roku 1532. Czuł nadchodzącą zmianę pisząc przed śmiercią do papieża Klemensa VIII: „w podległych nam księstwach wichrzą ludzie luterskiej sekty, którzy straszne wzniesają rozruchy, wszystkie miejscowości niepokoją i wszystko co święte deptają nogami” Jako książę opolski, raciborski i bytomski zmarł bezdzietnie pozostawiając po sobie ogromne bogactwa. Skarbiec książęcy wywiózł do Wiednia cesarz Ferdynand I, którego książę był wasalem. Tarnowskie Góry wraz z całą Ziemią Bytomską przypadła Jerzemu Brandenburskiemu zwanemu Pobożnym. Jako luteranin, sygnatariusz postanowień sejmu augsburskiego z roku 1530 miał oświadczyć, że „złożyłby raczej swoją głowę pod topór katowski, niżby odstąpił od Słowa Bożego”.

Heilsbronn to miejscowość oddalona o 30 kilometrów od Norymbergi i około 13 kilometrów od Ansbachu – rodowej siedziby Hohenzollernów. Na zaciśniętym placu Ansbachu gdzie parkują, znajdują bustę Albrechta, osoby znanej mi z Hołdu Pruskiego Matejki. Jego starszego brata Jerzego, dobrodzieja mojego miasta przedstawił artysta za plecami Albrechta, kiedy ten klęczy przed polskim królem. Albrecht pochowany w Królewcu, Jerzy Pobożny, który zmarł w roku 1543 i jego syn Jerzy Fryderyk pochowani są w XII wiecznym cysterskim opactwie w Heilsbronn nekropolii Hohen-

zollernów, niegdyś burgrabiów Norymbergi. Sarkofag Jerzego Fryderyka jest okazały. Putto flankujące nagrobek podtrzymuje tarczę herbową z polskim godłem. Był wnukiem polskiego króla, a Tarnowskie Góry wdzięczą mu swój herb. W Heilsbronn pochowana jest matka Jerzego i Albrechta, Zofia Jagiellonka, córka króla polskiego Kazimierza IV. W kościele opackim znajduje jej wizerunek na skrzydle tryptyku ołtarza Trzech Króli. Otaczają ją córki, podobnie jak Fryderyka, jej męża, synowie. Mieli osiemnastoro dzieci. Zofia zmarła w roku 1512 w wierze katolickiej, jednak klasztor wkrótce przejął luteranie. Wychodzę z kościoła urzeczony wyjątkowym klimatem jego wnętrza, osobliwymi pomnikami historii i nostalgiczną muzyką organową. Jeden z usłysanych utworów w mojej pamięci stale do mnie wraca. Organista przygotowywał repertuar ekumenicznego nabożeństwa bowiem na obrzeżach miasteczka znajduje się nie dawno powstała katolicka parafia. W małym sklepiku opodal kościoła uprzejma sprzedawczyni podaje mi przewodnik po klasztorach cysterskich w Niemczech, z którego dowiaduję się, że na sto sześć cysterskich klasztorów w Niemczech w wyniku reformacji osiemdziesiąt przeszło w ręce Luteran. Zatem chodziło nie tylko o Słowo Boże, ale i o ogromny majątek Kościoła, który przeszedł w ręce potężnych i „pobożnych” mecenasów Reformacji. W katedrze w Ulm, w miejscu, gdzie stali owi Apostołowie mecenas, margrabiowie i książęta wspierają dzisiaj dwanaście kolumn tej potężnej budowli. To się widzi, co się wie. Obszerny jest kontekst w którym postrzegam moje miasto. I dziwię się, że Heilsbronn nie jest jeszcze jego miastem partnerskim. Im więcej się dowiaduję, tym lepiej widzę to, na co codziennie patrzę. Mała ojczyzna to, ta w której żyję, obwiedziona jednak bogatą ramą zdobioną pełną znaczeń bordiurą. ■



Widok miasta Tarnowskie Góry w I poł. XVIII w. – rysunek Friedriecha Bernharda Wernhera

Virgilia Sapieha, Amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisk

MARIAN SWORZEŃ

Prosty przekład pierwotnego tytułu książki wydanej w USA („Polish profile”) byłby mylący, wobec czego polski wydawca słusznie dał jej tytuł opisowy. Równie ważną decyzją KARTY było dołączenie wstępu z obszernymi wiadomościami o życiu autorki. W oparciu o nie zestawiłem jej elementarny biogram: urodzona w 1904 r. w Nowym Jorku; córka Fredericka Petersona, lekarza i Antoinette, pisarki dla dzieci; nauka: Vassar College i uniwersytet w Grenoble (Francja); trzykrotnie zamężna; w latach 1933–39 mieszkała w Polsce; recenzentka, pisarka, dziennikarka radiowa i telewizyjna; zmarła w 1966 r. Pozostaje jeszcze wyjaśnienie, dlaczego autorka, rodowita Amerykanka, była arystokratką. Otóż jej drugim mężem był książę Paweł Sapieha, poznany w Grenoble (ona studiowała literaturę, on – nauki ekonomiczne); pobrali się w 1933 r., mieli dwoje dzieci: Krystynę i Nicholasa; ich małżeństwo przetrwało do 1950 r. Nie można pominąć okoliczności, że książka ukazała się w roku 1940, gdy Polska była już pod okupacją. Z tej przyczyny dzieło, zawierające niemało krytycznych obrazów Polski, musiało być źle przyjęte przez środowiska polonijne w Stanach, jak również w Anglii (wydanie brytyjskie, 1940 r.), do której – po klęsce Francji – przeniosło się centrum polskiej emigracji. Przywołuję ze wstępu wiele mówiącą

scenę: „Gdy pisarka Maria Kuncewiczowa spotkała Virgilię w 1956 roku, opowiedziała jej o swym synu, który po przeczytaniu wspomnień w złości wyrzucił książkę do oceanu. Virgilia odrzekła, że – będąc polskim chłopcem w czasie wojny – zrobiłaby to samo”. Trudno wobec tych słów pozostać obojętnym, ale z drugiej strony niektóre obrazy wiejskiej biedy na wschodzie kraju i tamtejszych napięć narodowościowo-religijnych są tak przygnębiające, że wykluczają idealizowanie przedwojennej Polski.

Zgodnie z zasadą mojego cyklu, koncentruję uwagę wyłącznie na tych fragmentach książki, w których pojawia się Śląsk – właśnie te przebliski (jest ich całkiem sporo) szczególnie mnie zajmują. Występują one w różnorodnych postaciach – od geograficznej (akcentowanie bliskości granicy z Niemcami), po polityczną (świadomość podziału Śląska), od scen z życia towarzyskiego (spotkanie z niemieckim krewnym męża, hr. Edgarem Donnersmarckiem w Nakle i jego żoną, Karłą) po sytuacje biznesowe w firmach Pawła Sapiehy (jego relacje ze współpracownikami, dyrekcją, władzami), od wydarzeń z życia rodzinnego (wychowanie dzieci) po osvajanie się Virgilli z polszczyzną (uczył ją miejscowy nauczyciel, doktor filozofii), od wyjazdów zagranicznych (postawa celników z obu stron) po spacer z psami w pobliżu

biedaszybów (pokrzykiwania z obozu bezrobotnych). W książce, prócz scen z życia polskiej socjety (stolica, Krasioczyn, Korczyn) z obowiązkowym udziałem w polowaniu, znajdziemy też opis barbórkowego spotkania w gronie kierownictwa kopalń śląskich i balu, na którym przyszło jej tańczyć poloneza w pierwszej parze. Dialogi przy zdawaniu przez księżnę w Katowicach egzaminu na prawo jazdy to gotowy materiał do etudy komediowej; sprawdziłem – numer rejestracyjny jej auta (Śl 2299) został odnotowany w oficjalnym biuletynie województwa śląskiego z grudnia 1933 r.

Tyle wprowadzenia... Spróbujmy teraz bliżej przypatrzeć się niektórym wydarzeniom. Niektórym, gdyż pragnę do lektury książki zachęcić, a nie ją całą opowiedzieć.

Lato 1933 r. „Zamieszkaliśmy na obrzeżach małego miasta w górniczym okręgu Górnego Śląska, sześć mil od niemieckiej granicy”, a zaraz potem: „Nasz kamienny dom, zaprojektowany przed wojną przez niemieckiego architekta z upodobaniem do przepychu, odgradzały od drogi krzewy i wysoki płot”. Zgoda, ale nadal nie wiadomo, gdzie to się dzieje, postanowiłem zatem spytać autora wstępu. Zadzwońnię do KARTY i po chwili miałem odpowiedź – mowa o tarnogórskim Karłuszowcu. Spytałem też o kwestię, którą autorka podała bez szczegółów, pisząc ogólnikowo, że mąż był „dyrektorem przedsiębiorstwa obejmującego kopalnie i fabryki chemiczne znajdujące się po połowie w Polsce i w Niemczech”. Teraz mogę uzupełnić, że szło o spółkę „The Henckel von Donnersmarck – Beuthen Estates Limited” z główną siedzibą w Bytomiu. Firma, mocą wyroku właścicieli, podlegała angielskiemu prawu, co było następstwem skomplikowanych regulacji prawnych odnoszących się do wielkiego przemysłu na Górnym Śląsku.

Zima 1933 r. Autorka dochodzi do wniosku, że praca jej męża, pół w Polsce, pół w Niemczech, nie jest wcale łatwa. Zaraz po słowach, że „na Śląsku wciąż goiły się blizny po burzliwym i krwawym plebiscycie przeprowadzonym pod egidą Ligi Narodów”, wywołana została postać Michała Grażyń-

fot. arch.



Księżna Virgilia Sapieha z córką

skiego, który „[...] cieszył się reputacją człowieka o silnie antyniemieckim nastawieniu, a także o postępowych socjalistycznych poglądach”. W kolejnym zdaniu czytamy: „W Katowicach, gdzie wojewoda rezydował, patrzono podejrzliwie na ludzi zatrudniających w biurach Niemców”. I przykład: „Mojego męża krytykowano nawet za najmowanie niemieckiego kierowcy, choć musiał spędzać połowę swego czasu w Niemczech”.

Rok 1934. Niemiec, współdziaławiec firmy Donnersmarcków i razem z Sapielą jej współzarządzający, dopuścił się nadużycia, bowiem „w tajemnicy wykupił udziały Austriaków i w ten sposób podstępnie zdobył przewagę”. Książę zdecydował się na rezygnację ze stanowiska, ale równocześnie przygotował materiały do procesu sądowego przeciwko nieuczciwcowi. Oszukanym był nie tylko on, ale i jego niemiecki wuj, Edgar.

Lata 1935–36. Po tych doświadczeniach przenoszą się do Warszawy, ale często bywają w Siedliskach, blisko Hrebennego i Rawy Ruskiej, gdzie na Sapieszce ciąży obowiązki zarządcy rodzinnej posiadłości. Po pewnym czasie Sapielha zostaje dyrektorem dużej firmy chemicznej z kapitałem francuskim. Siedzibą główną spółki jest Paryż, oddziału polskiego – Katowice, jego filii – Warszawa. I znowu książę jest w nieustannych rozjazdach między Warszawą a Śląskiem, zaś po naleganiach wojewody zamieszkał w Katowicach. Autorka wspomina, że z ich mieszkania było widać cmentarz (trudno powiedzieć, który – przypuszczam, że mieszkał w okolicach ul. Francuskiej albo ul. Sienkiewicza, bo i centrum, i blisko cmentarzy). Mimo przeprowadzki, pretensje władz bynajmniej nie ustaly – zacytuję fragment, z którego czytelnik dowie się wszystkiego:

„Mąż postanowił wyjaśnić sprawę z wojewodą. Umówił się z nim na spotkanie.

– O co tak naprawdę chodzi? – zapytał

– Przede wszystkim – odparł wojewoda – nie życzymy sobie tutaj arystokratów, ani osób niezależnych finansowo.

– Ale sprawy przedstawiały się tak samo rok temu, kiedy zgodził się pan, abym objął stanowisko kierownicze.

– Cóż, wyjaśnię to panu – rzekł wojewoda. – Kiedy dołączył pan do tego przedsiębiorstwa, oczekiwaliśmy, że pomoże nam pan usunąć ze stanowiska pańskiego francuskiego kolegę. Rozczarował nas pan pod tym względem

ŚWIADECTWA
POLSKA XX WIEK

SAPIELHA

Amerykańska księżna

Z NOWEGO JORKU DO SIEDLISK



Ośrodek
Karta

i straciliśmy do pana zaufanie.

– A zatem nie mam nic więcej do powiedzenia. – Mój mąż sięgnął po kapelusz i wyszedł.”

Po tej rozmowie Sapielha pojechał natychmiast do Paryża, gdzie zreferował sytuację, zaś Francuzi ostatecznie przystali na jego rezygnację. W dniu, gdy wrócił, Grażyński (nie wiedząc, że Sapielha nie zamierza kurczowo trzymać się posady) wysłał policję do jego biura z poleceniem zabrania książek rachunkowych, by – jak pisze autorka wspomnień – „udowodnić, że mój mąż sprzedawał węgiel bez odnotowywania tego faktu”. Żadnego oskarżenia ani procesu później nie było – gdyby stało się inaczej, wiedzielibyśmy.

Ostatni dzień Sapiełów w Katowicach wyglądał tak: „Była ciepła noc

i trzymaliśmy okna naszego pokoju otwarte. Z kamienicy naprzeciw dobiegał głos Kiepur, zwielokrotniony przez tuzin radioodbiorników, wypełniający noc operową arią. Nie mogliśmy spać.”

Czas się pożegnać...

Dobranoc, księżno, dobranoc, książę... ■

Virgilia Sapieha, *Amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisk*, Ośrodek KARTA, Warszawa 2019. Z angielskiego przełożyła Ewa Horodyska. Wstęp Adama Safaryjskiego.

O Śląsku: str. 18, 28–32, 36–48, 61–62, 65–66, 68–69, 73, 77, 80–81, 83–84, 86, 91, 94, 106, 110, 129–31, 136–38, 280, 290, 292.

Marian Sworzeń – ur. 1954. Prawnik, pisarz, członek GTL i PEN Clubu – autor książek *Dezyderata. Dzieje utworu, który stał się legendą* (2004), *Opis krainy Gog* (2011), *Czarna ikona – Białomor. Kanał Białomorski. Dzieje. Ludzie. Słowa* (2017). Mieszka w Mikołowie.

Kain i Abel

JEFIM ZOZULA *Przełożył Marian Kisiel*

1. Kain miał zuchwałę dziwactwa

Szalał ulewny deszcz. Giał drzewa. Mierzwił trawę. Bił złośliwie długimi, grubymi strumieniami. Owce zbiły się w ciemną, skłębioną masę i ciężko, chorobliwie dyszały na ciepłe drżące ciała, w przemokniętą, śliską, dymiącą wełnę.

W pulsującej ciemności darły się przeraźliwie ptaki, które deszcz wyrzucał z gniazd, zmiatał z gestwiny liściastych okryć.

Nawet mocny, żelaznymi rękami Kaina zbudowany szałas – ze skór, drewna i konarów – zachybotał się, przekrzywił i z jednego końca do wewnątrz wlewała się woda.

Adam leżał w szałasie przykryty dwoma owczymi skórami i muczał – długo, bez końca, monotonnym wyciem. Wycie nasilało się, kiedy ciemności rozrywała błyskawica i w przestrzeni rozlegał się z wielkim hukiem przeraźliwy grzmot.

Adam trwożnie ukrywał głowę, patrzył na poły małpimi zarośniętymi oczami na chwilowo oświetlone błyskawicą, tak znajome a teraz niebieskie, dziwne i cudze pole, zawył jeszcze bardziej ponuro i przykrył się owczą skórą.

Ewa milczała. Jej wielkie, białe, chytre czoło było zatroskane. Cienkie usta zacisnęły. Pierś kołatała, a silne grube palce głąskaly kręcone włosy Abła, leżącego u jej stóp.

Głąskała Abła, lecz nie zwracała na niego uwagi, jak nie zwracała uwagi na Adama. Modliła się odwieczną modlitwą matki, bezgłośną, zastygniętą w białkach okrągłych czujnych oczu.

„Panie – modliła się – na polach jest ciemno i strasznie. Ogień, woda i pioruny. A Kaina, mojego syna, nie ma. Panie, uratuj mojego syna! Wybaw od ognia, pioruna i wody!”

Kiedy siła ulewy trochę osłabła, Ewa zapytała:

- Ablu, gdzie jest Kain?
- On tańczy, mamó – czule i delikatnie, jak mówił prawie zawsze, odpowiedział Abel. – On lubi tańczyć w deszczu i błyskawicy. Skacze i wygina ręce i nogi.
- Lecz gdzie jest?
- Na polu, opodal lasu, mamó!

Ulewa osłabła i przez ściszone, zmęczony szum padających strumieni nagle dało się słyszeć mocny, nieprzyjemny, grubiański i ostry ludzki krzyk. W tym raz jednostajnym i potężnym, innym razem wrzaskliwym i głupkowatym krzyku bulgotała nadzwyczajna wesołość, radosny nadmiar sił, zwirowany taniec energii krzepkiego ciała i szalonej duszy.

Wszyscy troje milczeli.

Wiedzieli, że to krzyczy Kain. Już dawno przywykli, by nie mówić o jego zuchwałości, o jego dziwactwach. W milczeniu pierwszej rodziny cicho zrodziło się kłamstwo rodzinnej dumy. Tylko Abel chciał zwrócić uwagę matki na dziwactwa brata, lecz wiedział z doświadczenia, że matka nie lubi w nim jego nieprzyjaznej i zawistnej spostrzegawczości.

Kiedy ulewa się skończyła i zaczęło świtać, i niebo pełne winy było znów czyste, a ciemne chmury rozpełzły się po jego krańcach, u wejścia do szałasów pokazała się ponura postać Kaina.

Paski na jego głowie były mokre i błyszczące. Z półnagiego ciała ściekały krople. Był zmęczony. Ogromne ręce zwisały w dół ciemnego owłosionego ciała. Ciężko oddychał, a przecieć był piękny.

Wiało od niego ciemną bujną siłą i Ewa, która jako jedyna nie spała całą noc, spojrzawszy na Kaina, pomyślała z niezrozumiałą dla niej samej rosnącą dumą to, co powiedziała zaraz po jego narodzeniu:

- Dzięki Panu zyskałam człowieka.

2. Ludzie wzajemnie się poznają

Kain był oraczem. Ziemia była twarda i jałowa. Skąpo rodziła trawy. Skąpo dawała chleb. Trzeba było głęboko ją zryć, zanim posiało się ziarno, i zaostrzone kołki, którymi Kain rył ziemię, szybko się tępiły. Kain musiał często powalać drzewa i robić nowe kołki. Raz jakoś potrząsnął rozłożystym, mocnym drzewem i miał nadzieję, że je powali i złamie. Ale korzenie nie opuściły drzewa, trzymały je z niepojętą siłą i Kain się rozżościał. Szyja nabiegła mu krwią. Ogromne mięśnie naprężyły się i zabłyśnęły jak kule. Z ust wydobywały się kłęby pary.

Spocony, rozgniony, straszny rzucił się na drzewo, z wielką siłą przyniółł je go ziemi, chciał się na nim położyć, lecz stoczył się i drzewo odgiąwszy się uderzyło go w twarz.

Kain, rycząc z bólu, upadł.

Lecz znowu nań naparł, mocno wrzeszcząc i płacząc, jeszcze raz wskoczył na drzewo, chwycił je okrwawionymi rękami, zachlystując się od krzyku i wysiłku, wyrwał je z korzeniami i upadł wraz z nim na trawę.

Abel siedział opodal i pasł stado. Z jego pozy, kręconych włosów i niebieskich oczu bił niestrwożony spokój. Patrząc na morderczy wysiłek Kaina, radował się w duszy i nawet pogwizdywał z zadowolenia, oglądając jego walkę. Ale kiedy zobaczył straszne białka brata, odwrócił twarz i udął, że nie widzi Kaina.

Z wielką radością zaśpiewał nawet swoją ulubioną piosenkę:

Mam jedną owcę,
I jeszcze jedną owcę mam,
I jeszcze jedną owcę mam,
Choć jest ich wiele, ja jeszcze jedną owcę mam.

3. Jeszcze o charakterze braci

Kain był utalentowany, a Abel tylko spostrzegawczy. Abel w duchu wierzył bratu bardziej niż sobie. Jeśli Kain mówił, patrząc w niebo, że jutro będzie deszcz, to Abel wiedział, że deszcz będzie, ale z jakiegoś powodu postanowił się spierać. Jeśli Kain, spojrzawszy na wzdętą owcę, mówił, że zdechnie, Abel wiedział, że tak będzie, lecz znowu próbował się spierać.

Kain pogardliwie spluwał i szturchał go łokciem, i czynił to z wyraźnym zamiarem poniżenia Abła. Abel z wściekłością wypinał się golizną na Kaina, lecz ta obraza nie działała: Kain się śmiał.

Kain rysował patykami na piasku ptaki i Ablowi te rysunki się podobały. Ale kiedy chciał się im lepiej przyjrzeć, Kain grubiańsko i niemile chichotał, odpychał Abła i zadeptywał rysunek.

Abel był szczęśliwy, kiedy Adam pewnego razu rozżościał się na Kaina, rzucił się na niego, bił go kamieniem i do krwi rozorał mu brzuch. Z radości Abel pobiegł do rzeki, skakał tam i zacierał ręce, a potem wrócił z pokornym spojrzeniem.

Adam niezbyt lubił Kaina. Ewa z zewnątrz także była zimna dla niego, i z niechęci do Kaina Abel czerpał swoje przekonania, swoje wymówki. Było mu ciężko, ponieważ porównywał się z Kainem i potrzebował uzasadnień, podczas gdy Kain uzasadnień nie potrzebował.

Prawie codziennie Abel zwracał się do Kaina z prośbami, i prawie zawsze Kain je odrzucał.

Zimno i grubiańsko odrzucał, ze śmiechem i obelgami, i Abel dążący do tego, aby choć w czymkolwiek być pierwszym, zawsze okazywał się drugim i odrzuconym.

Tylko jednego nigdy Abel nie oferował: swojej pomocy w pracy, chociaż sam z pomocy Kaina korzystał.

– Kainie, pomóż mi uspokoić byka, on bodzie! – przybiegał z lękiem Abel.

Kain pomagał, a potem marszcząc brwi rzucał Ablowi:

– Jesteś niczym, słaby jak kurz, który deptamy nogami.

I z drwiącym śmiechem szturchał go łokciem.

4. Pierwszy dramat z powodu własności

Abel powiedział do Kaina:

- Dlaczego pijesz mleko od mojej krowy? Pij od swojej.
- To moja krowa, a nie twoja – odpowiedział Kain.
- A ta krowa? – Abel pokazał na inną. – Także jest twoja?
- I ta jest moja. Jeśli zechcę, to będę pił mleko i od tej krowy. Abel lękliwie milczał.

Kain nieprzyjemnie się zaśmiał i nagle wypowiedział tę straszną frazę, z powodu której do dzisiaj ludzie jęczą, i, co najważniejsze, wypowiedział ją niepoważnie, śmiejąc się, prawie kpiąco:

- Ablu, podzielmy świat między siebie.

Jawnie kpił, lecz Abel przyjął propozycję poważnie:

– Podzielmy! Podzielmy! Stado będzie moje, a ziemia niech będzie twoja.

– Dobrze – zachichotał Kain.

Abel pognął stado na pole, a Kain krzyknął za nim, śmiejąc się:

– Ziemia, po której chodzisz, jest moja!

Abel zatrzymał się, pomyślał z niepokojem, lecz się zreflektował:

– A ubranie, które nosisz, czy nie jest ze skór moich owiec?

– Precz z mojej ziemi! – kpił Kain.

– Precz od skór z moich owiec! – poważnie i z trwogą krzyczał Abel.

I nagle podbiegł do Kaina, pobladły ze złości i strachu, drżący od gniewu, prawie bez tchu. Skoczył mu do gardła, wykrzywił usta. Zapłakał i straszliwie krzyknął:

– Moje są owce! Moje krowy! Moje kozłeta! Moje cieleta! Moje byki! Moje!

Moje! Moje! Słyszysz, Kainie, moje!...

Stał naprzeciwko, więc Kain, lodowato śmiejąc się, odepchnął go ręką.

Abel chwycił kamień, zamachnął się, lecz Kain wyrwał kamień. Zaczęła się bójka.

Z rozdartymi skórami na półnagich ciałach gonili za sobą po polach i wzgórzach, i po lesie.

Hałasliwe prymitywne echo powtarzało głośny przeraźliwy krzyk, słowa: „Moje! Moje! Moje!”, i wściekły odważny ryk, i jasny straszliwy śmiech.

Lecz śmiech o mało nie zgubił Kaina. Dzięki niemu Abel zapanował nad bratem, przyniósł go do ziemi i zaczął dusić, bić i gnieść.

– Ablu – powiedział Kain – jest nas dwóch na ziemi. Gdy mnie uśmiercis, co powiesz naszemu ojcu?

Abel często wspominał ojca i matkę, i Kain powtórzył teraz nieświadomie ten niepojęty dla niego argument.

Abel zostawił brata i odszedł.

Kain pozostał leżący koło lasu. Zakrył oczy – nie z powodu bólu, ale ciężkiej myśli, pierwszej myśli o losie człowieka na ziemi.

Wkoło było cicho. O czymś myślały zmarszczkami kory drzewa, lecz myślały o swoim. Oblicze ziemi było spokojne, majestatyczne, bezmyślne, i jasne promienie słońca oslepiająco obojętnie oświetlały pierwsze miejsce pierwszej braterskiej walki.

5. Adam jest niedzisiejszy i nic nie rozumie

Adam z cierpliwą ojcowską dobrocią patrzył na twarze synów swoich. Jedna była w siniakach i krwiakach. Na drugiej krew zmieszała się z błotem i ziemią, i pokryła do brody burymi piętnami.

– Jakież zwierzę napadł na was, dzieci moje? – zapytał.

– To nie zwierzę, a człowiek. Kain, brat mój, napadł na mnie – zęłał Abel. Kain milczał.

– Dlaczego napadł na ciebie?

– Dlatego, że podzieliłmy świat między siebie, a on chciał wziąć to, co jest moje.

Adam nic nie rozumiał. Z krzaczastych jego oczu biło zakłopotanie:

– Co znaczy: moje?

Abel próbował mu wyjaśnić, lecz Adam mimo to nic nie rozumiał. Tarł czarną szeroką dłonią mocne czoło.

– Jesteś stary, ojcze! Nie rozumiesz – powiedział Abel z rozdrażnieniem.

Adam wyszedł w pole. Wyszedł daleko, ciężko stąpał szerokimi, grubymi, otwartymi i dobrymi piętami. Uparta, nowa dziwna myśl wierciła mu głowę:

– Moje. Co znaczy moje?

Wiatr szeleścił w trawie, mierzwił włosy. Śpiewały ptaki, w oddali ryczał zwierz. Czerwone słońce zniżało się do horyzontu.

Adam patrzył na wszystko i dokładnie oglądał po raz pierwszy.

– Moje. Co jest moje? A co nie moje?

Podszedł do winorośli i zaczął

jeść gęste odurzające kiście.

Ciężka nowa myśl męczyła go. Właził na drzewo. Usiadł na sęku. Patrzył. Myślał. Mimowolnie zasnął i zwałił się na ziemię.

Było ciemno. Świeciły gwiazdy. Pachniały trawą.

Adam potarł głowę twardymi palcami, pogładził guza. Wrócił do szałasów i nagle posprzeżał się z synami. Krzyczał coś niezrozumiałego i okrutnie bił czym popadło. Ewa krzyczała przeraźliwie. Kain uciekł do lasu. Ledwo uspokoił starca przed ranem.

6. Niezaprzeczalny fakt: Kain zabił Abła

Kain zabił barana, rozpałił ognisko i przygotował sobie wieczerzę. Gra płomieni zajęła jego uwagę, tańczył wokół ogniska i krzyczał. Aby nikt mu nie przeszkadzał, osiadł z dala od rodzinnego szałasów.

– Kainie, dlaczego wzięłeś i zabiłeś mojego barana? – zapytał Abel.

Kain dalej tańczył wokół ogniska i dobrze się bawił. Lecz Abel nie odpuszczał.

– Dlaczego wzięłeś mojego barana?

I Kain nagle chwycił tuszę barana razem z kamieniami, na których leżała, mocno się zamachnął i uderzył brata w głowę.

– Masz, to twój baran! – krzyknął.

Dwa ciała – martwego barana i człowieka – zwały się na chwilę w jedną straszłą niekształtną całość i razem potoczyły się po ziemi. Ciężkie trzaskające uderzenie odbiło się echem po lesie, i tuman kurzu wzbił się w górę. Kain odszedł.

Pracował cały dzień. Pracował chętniej niż zwykle, lecz przed zachodem słońca porzucił kulek, którym spulchniał ziemię, i zamyslił się. Wydało mu się, że ojciec pyta go:

– Kainie, gdzie jest brat twój, Abel?

I w myślach odpowiedział:

– „Czyż jestem stróżem brata mego?”

Lecz odpowiedź w myślach nie uspokoiła go, a strwożyła. Pierwszy wyrzut ludzkiego sumienia był męczący. Pobiegł do miejsca bójki i zatrzymał się.

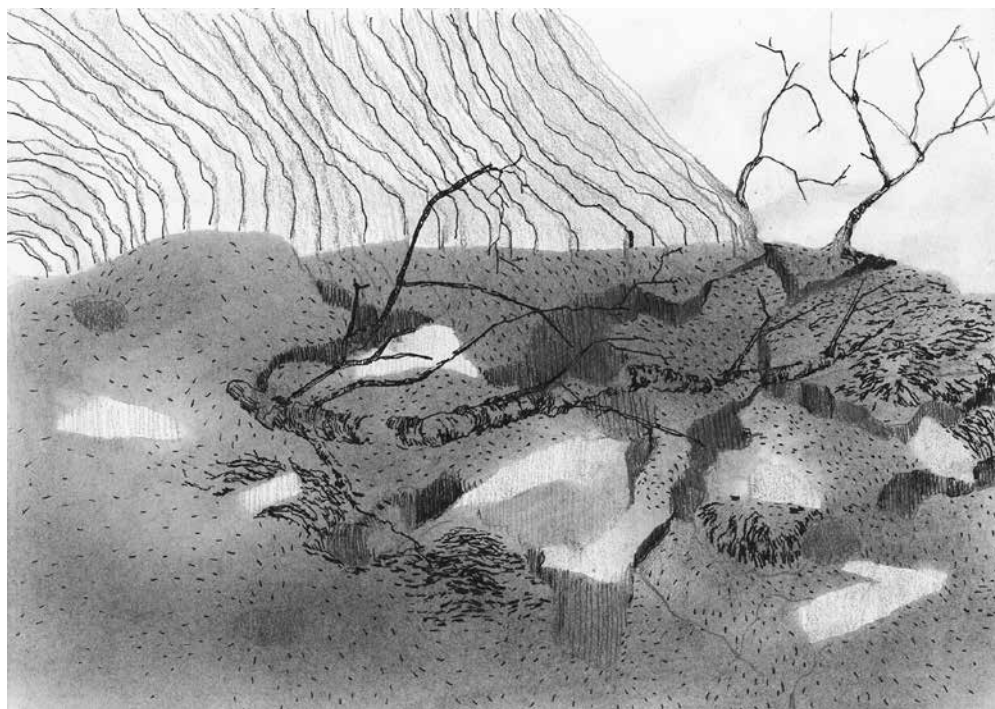
Abel i martwy baran jednakowo nieruchomo leżeli w kurzu.

Ostry ból cisnął serce Kaina. Po raz pierwszy na ziemi człowiek poczuł się słaby. Kain był pierwszym człowiekiem potrzebującym duchowego wsparcia, współczucia. Był pierwszym, który doświadczył samotności.

Ale wtedy już nie było współczucia. Na ziemi uroczyście pokładły się mgły, właśnie to było najważniejsze. Kłębiły się powoli chmury na niebie. Uroczyście wschodziło i zachodziło słońce. Trawy wznosiły do góry swoje wąskie istnienia, tłuste robaki różowo pełzały po ziemi, ptaki śpiewały, zwierzęta warczały i wszyscy byli nieskończenie zajęci swoimi sprawami. Człowieczym smutkiem nikt się nie zajmował.

I Kain odszedł do krainy Nod, unosząc na swoich szerokich ramionach kłętą jeszcze nienarodzonych ludzi i oszczerstwo przyszłych pokoleń.

1919



Żywe meble

JEFIM ZOZULA *Przełożył Marian Kisiel*

1. Jak żył pan Ikaj

Pan Ikaj siedział na plecach człowieka na czworakach. Człowiek służył mu za fotel. Fotel był wygodny: siedzenie – ciepłe i mocne, plecy – delikatne i pachnące, ponieważ była to pierś młodej, zdrowej kobiety. Oparciami fotela, na których spoczywały ręce Ikaja, były pełne wdzięku ramiona dwóch nastoletnich dziewczyn. Dziewczyny były na tyle mocne, żeby wytrzymać ciężkie ręce Ikaja i jednocześnie na tyle wrażliwe, żeby uśmiechnąć się właśnie wtedy, kiedy kulturalnemu człowiekowi jest smutno i zapragnie, żeby oparcie fotela się uśmiechnęło.

Ikaj był delikatny i na swój sposób serdeczny: dbał o swoje żywe meble.

Wytrzymały mężczyzna, na którego plecach siedział, a także kobieta i dziewczęta – wszystkie składowe części fotela – często, w określonych terminach, występowały naprzemiennie. Wymieniali ich ludzie tego samego wzrostu, budowy ciała i jakości.

Pan Ikaj lubił swój fotel i siedział w nim zawsze, kiedy rozmyślał.

Tym razem jego zadumę przerwał sekretarz.

– Czego pan potrzebuje? – delikatnie zapytał Ikaj.

– Zepsuła się szprycha w kole – oznajmił sekretarz.

– Całkiem?

– Tak.

– Pochowaliście?

– Tak.

– Jak to się stało?

– To był nieszczęśliwy wypadek, panie Ikaj.

Pańska małżonka zapragnęła pojechać z gór nad morze. Koła zakręciły się zbyt szybko i w czwartym kole szprycha się urwała.

Śmierć nastąpiła błyskawicznie.

– A jak długo uczył się nieudacznik?

– Dwa lata.

– Szprych zapasowych mamy dużo?

– Wystarczająco, panie Ikaj.

– Są kandydaci?

– Są.

– Przyprowadźcie!

Po kilku minutach przed Ikajem stał przystojny mężczyzna o silnych rękach i nogach.

– To do jakiego koła? – z ciekawością zapytał Ikaj

sekretarza, nie patrząc na tego, który przybył.

– Do przedniego, panie Ikaj. Do dużego powozu.

– Acha! Dobrze. A już pan z nim mówił?

– Nie.

– Więc jak pomówię.

I obróciwszy się do nowego służącego, Ikaj spokojnie zapytał:

– Chce pan służyć u mnie w roli szprychy w kole?

Najmujący się człowiek pomyślał i zapytał:

– A na czym będą polegać moje obowiązki?

– Będzie pan stał w wielkiej obręczy, rozłożywszy ręce i nogi, i kręcił się.

Na tym będą polegać pańskie obowiązki. Nauczają pana. Z początku nie dadzą zbyt odpowiedzialnej pracy. Proszę się nie niepokoić.

– A po co to panu? – zapytał przyszły służący.

Pan Ikaj delikatnie, bez rozdrażnienia, odpowiedział:

– Mój drogi, nie jestem zobowiązany do rozmowy ze służącymi. To przecież nigdzie nie jest przyjęte. Ponadto znacznie komplikuje sprawę. Ja pana nie zmuszam. Jeśli ma pan inną misję, proszę się jej poświęcić. Każdy żyje i pracuje tak, jak chce i może.

– To zależy od okoliczności, panie Ikaj.

– Wszystko jedno. Może pan iść.

– Panie Ikaj, ja czuję powołanie do księgowości. Mam wystarczające doświadczenie. Nie jest panu potrzebny księgowy?

– Niestety, teraz nie – zamyśliwszy się, odpowiedział Ikaj. – Mam ich wielu. Ale potrzebuję nóżki do mojego przenośnego podwójnego łóżka. Wydaje

mi się, że swoją budową ciała pasuje pan do tej posady.

– A strukturą psychiczną? – prosto, bez zadziorności zapytał najmujący się.

– Nie wiem. Zaraz poproszę domowego uczonego i zapytam.

Zadzwoił i do pokoju wkroczył siwy uczyony, stojący zwykle w ogromnej bibliotece Ikaja w rzędach wielu uczonych, pisarzy i poetów – żywych książek Ikaja.

– Czy ten człowiek ze swoją strukturą psychiczną może zostać nóżką łóżka? – zapytał Ikaj.

Siwy uczyony głośno i wyraźnie odrzekł:

– Prawie każdy człowiek może zostać nóżką łóżka. Wszystko zależy od okoliczności.

Uczyony zawrócił i wybiegł z pokoju.

– Więc widzi pan – powiedział Ikaj. – Nauka potwierdziła.

– A jaka będzie pensja? – zapytał najmujący się.

– Taka, na jaką pan zasłuży. Ja się nie targuję. Ale o wielką sumę proszę nie prosić, nie dam.

– Jako księgowy otrzymywałem sto dwadzieścia rubli miesięcznie i nagrody świąteczne. A jako nóżka łóżka. Naprawdę, nie wiem. Jeszcze nie miałem

takiej posady. Do tego jeszcze, panie Ikaj, jestem człowiekiem inteligentnym, znam nawet języki obce. Czy pasuje do mnie taka posada?

– Pan wie lepiej. Mnie to nie interesuje – delikatnie odpowiedział

Ikaj. – Pańska inteligencja także

mnie nie interesuje. Do moich duchowych

potrzeb mam zespół specjalnych

służących. Mam, jak pan

widział, specjalistów – podręczniki,

specjalistów – rozmówców, specjalistów –

sluchaczy, dyskutantów, sympatyków i,

oprócz tego, specjalnych specjalistów –

wrogów i specjalistów – przyjaciół. Nie

znoszę dyktanta. Wszyscy otrzymują

pensję i całkowicie mnie satysfakcjonują.

W panu interesuje mnie tylko siła

fizyczna i wzrost. Nauczają pana

trzymać moje łóżko i spacerować z

nim w księżycowe noce po ogrodzie.

– Sam będę nosił łóżko?

– Nie. Moje podwójne przenośne

łóżko nosi sześć nówek. Sześciu ludzi.

Jeśli pan wykaże się

talentem, zrobię z pana jedną z przednich

nówek. Na nich spoczywa wielka

odpowiedzialność, ponieważ to one

wybierają drogę i w ogóle przejawiają

inicjatywę w doborze pięknych miejsc

w moim ogrodzie.

– Chcę za to otrzymywać pięćset

rubli miesięcznie, i żeby było płatne

każdego pierwszego i piętnastego.

– Dobrze. Proszę iść i się zapisać.

Pracownia numer cztery. Na dziedzińcu

na lewo.

Pan Ikaj wstał i powiedział do

swego fotela.

– Możecie odpocząć.

– Możecie odpocząć.

– Możecie odpocząć.

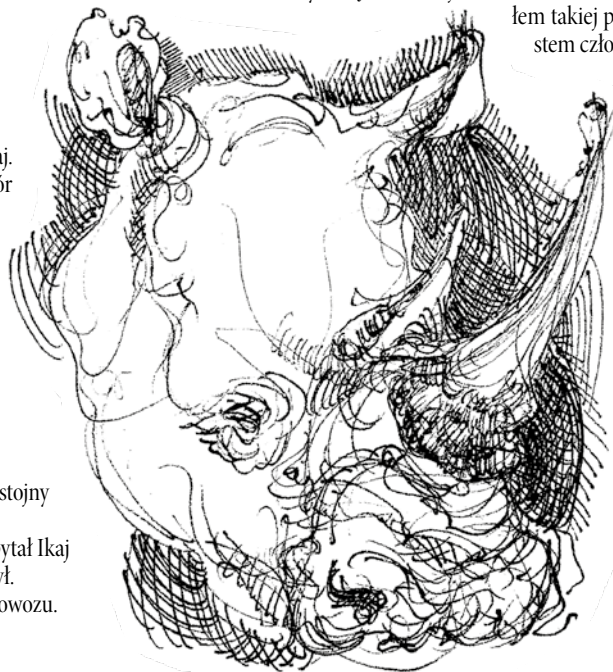
– Możecie odpocząć.

– Możecie odpocząć.

– Możecie odpocząć.

– Możecie odpocząć.

– Możecie odpocząć.



Rys. Bogna Skwara

2. Jeszcze o tym, jak żył pan Ikaj

Pan Ikaj narzekał:

– Nie mogę już tego znieść. Jestem zmęczony. Już mi się przykrzyło. Moje

wysiłki idą na marne. Moje meble do niczego się nie nadają. Wczoraj

zachorowało krzesło. Co za okropność! W bibliotece kompletny bałagan. Moje

żywe książki nienawidzą mnie. Nie są mi posłuszne. W moim gabinecie

zniszczyły się tapety. Śmieją się w niewłaściwym czasie. Patrzą kpiąco. To

okropne! Jeśli dalej tak będzie, naprawdę, nie wiem, co zrobię.

Główny Meblarz żywych mebli przestępował z nogi na nogę i, uparty jak wszyscy rzemieślnicy, bełkotał:

– To niemożliwe, panie Ikaj! To być nie może! Proszę pozwolić, żebym popatrzył. Chcę się osobiście przekonać.

Pan Ikaj i Główny Meblarz przeszli do gabinetu.

Był to najbardziej interesujący ze wszystkich pokoiów Ikaja. Ściany były wyłącznie w złotych owalach, a każdy owal mieścił twarz stojącego za siecią owali człowieka. Pokój ten był urządzany kilka lat przez wybitnego inżyniera Amerykanina i przedstawiał cudo techniki. Trzy tysiące ludzkich twarzy tworzyło tapety wielkiego gabinetu Ikaja, a ciał nie było widać.

Żywe tapety były nieruchome. Sześć tysięcy oczu patrzyło mrocznie, z wyczynowym spojrzeniem.

– Proszę spojrzeć, patrz kuso – narzekał Ikaj. – A te tutaj złośliwie się uśmiechają. I oprócz tego, są ciężkie – te tapety. Już mnie nie cieszą, jak cieszyły wcześniej.

Główny Meblarz z widoczną troską patrzył na żywe maski ludzi i, jak mechanik, sprawdzający w pokoju elektryczność i przekręcający przełącznik, klasnął w ręce i krzyknął:

– Wesoło!

Tapety na znak się uśmiechnęły. Uśmiechnęło się trzy tysiące ludzkich oblicz – mężczyzn, kobiet, młodzieńców i nastolatków.

– Smutno! – krzyknął Meblarz.

Tapety na znak przestały się uśmiechać. Twarze znów stały się poważne, mroczne.

– Wszystko w porządku, panie Ikaj.

– Nie! Myli się pan! Nie jest wszystko w porządku. Dalece nie wszystko – westchnął Ikaj.

Główny Meblarz nie zrażał się.

Wiedział o głównej przyczynie skarg Ikaja: jego żona zdradziła go z jakąś częścią karnisza z gabinetu. A on tak wierzył oczom tego chłopca! Tak wierzył! Kiedy Ikaj się smucił, potrzebował od tapet współczucia, wydawało mu się, że właśnie ta część karnisza współczuje mu bardziej od innych. Tak mu się wydawało. Dlaczego życie tak okłamuje?

Główny Meblarz odszedł.

Ikaj w zamysleniu powędrował do biblioteki. Było mu smutno i chciał się rozerwać.

Poeta przeczytał mu nowe wiersze.

– Do diabła! – syknął Ikaj. Potem zawołał: – Numer dwudziesty siódmy! Do mnie!

To był najgorszy z wszystkich wrogów – specjalistów.

Ikaj przywołał swój fotel, usadowił się i powiedział do służącego – wroga: – Mów!

Wróg zaczął:

– Jestem szczęśliwy, że jest pan durniem. Mam nadzieję, że wszystko zawali się w diabły, a pan w końcu polegnie. Jest pan najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Śpi pan na ludziach, siedzi na ludziach, zmusza pan ludzi, żeby zaspokajali wszystkie pana potrzeby. Nic z tego nie będzie, mój drogi!.. Nic! Jest pan sam, jak trup powieszzonego, jak koń w rakarni.

– Wspaniale porównania! Nic dodać! – skrzywił się Ikaj.

– Nie zasługuje pan na nic lepszego. Teraz żona zdradziła pana z jakimś karniszem. Ha ha ha! Jutro zdradzi pana z nogą krzesła albo stołu. Oto pańskie szczęście, pańskie bogactwo! Gnijesz, miłośniwy panie! Rozkładasz się! Nie można na ludziach, na ich ciałach i duszach, na ich upokorzeniu szczęścia budować. Nic z tego nie wyjdzie! Zapłacą pogardą, a na koniec dadzą i po fizjonomii. Niech pan nie myśli, że wszystko u pana toczy się spokojnie i jest w porządku. Bunt roślinie. Wszystkie te pańskie stoły i krzesła, koła i tapety – wszystkie pańskie żywe meble, w które raczył pan zmienić ludzi, powstaną i wysadzą pana w powietrze. Czymkolwiek jest, ale człowiek to wciąż nie szprycha w kole! I nie noga w łóżku! Biedna istoto, która utonęłaś w ludzkiej uległości! Jak mi pana żal!

– Dobrze spełnia pan obowiązki mojego osobistego wroga. Prawdopodobnie podwyższę panu pensję – rzekł Ikaj z krzywym uśmiechem. – Oprócz tego większą kwotę pańskich książek.

– Nie obchodzi mnie pańska pensja. Wkrótce pan zginie, a my wszyscy będziemy wolni.

Ikaj się roześmiał.

– Niech się pan nie śmieje! Przejdźmy się po pańskich „pracowniach”, gdzie kaleczy się i męczy ludzi, popatrzmy na wszystkie pańskie żywe wózki, na pańskie szprychy, na pański „żywe meble”. Wnet się pan przekona, czy wol-

no ludzi zmieniać w meble i myśleć, że jest to kultura.

Nieoczekiwanie Ikaj się zgodził.

– Chodźmy.

Przeszli przez dziedziniec dostatniej posiadłości Ikaja. Wszędzie na zewnątrz był porządek. Wszędzie wrzała praca. Setki instruktorów, techników, nauczycieli i pomocników robiło z żywych ludzi nieme posagi spokoju i wygody dla pana Ikaja.

Wiele z tych osób wyglądało mizernie, ale wielu zdołało się przystosować i oswoić z nędzną dolą.

– Kim jesteś? – zapytał wróg Ikaja jakiegoś poślaczanego kolorowego staruszka, walęsającego się po dziedzińcu.

– Jestem latarnią – ten odpowiedział. – Stoję na schodach i oświetlam drogę pana Ikaja. Lampa stoi na mojej głowie, a ja zastępuję słup.

– Godne zajęcie! – splunął wróg Ikaja. – Ale wnet zobaczycie, w co te słupy się zmieniają.

Na spotkanie wyszedł im oddział z łopatami. Ludzie ci mieli normalny wygląd wycieńczonych robotników, taki sam jak w innych epokach i czasach.

– Kim jesteście?

– Jesteśmy łopatami. Kopiemy złoto i węgiel dla pana Ikaja.

Wygląd robotników, mimo ich zewnętrznego spokoju, był taki, że nawet wróg Ikaja nie powiedział ani słowa.

Opodal stały jakieś potwory z kawałkami żelaza zamiast głowy i rąk.

– Kim jesteście? – zapytał wróg Ikaja.

– Jesteśmy żołnierzami. Bronimy spokoju i dobra pana Ikaja.

3. Wciąż o tym, jak żył i żyje pan Ikaj

Pan Ikaj zapomniał o słowach swojego wroga – specjalisty. Było spokojnie. Specjaliści – przyjaciele i wrogowie, opłacani tak samo – mówili Ikajowi o różnych zaletach wprowadzonej przez niego dyscypliny, o ludzkiej naturze miłującej uległość, i Ikaj był spokojny.

Tapety z ludzkich twarzy uśmiechały się do niego, kiedy tylko chciał. Stoły, etażerki, sofy i miękkie dywany z pięknych kobiet śpiewały mu pieśni, kiedy dawał odpowiedni znak. Żywa biblioteka szeptała mu do ucha słodkie słowa. I nawet żona przestała zdradzać Ikaja. Tylko kilka razy powstawały z niej jakieś materace, podnóżki i wieszaki.

Życie toczyło się spokojnie i wszystko wydawało się normalne, jak wyda-
je się zawsze, kiedy coś dzieje się w życiu.

I nagle zwykłego dnia, kiedy tak samo, jak zawsze, toczyło się życie, i rozległe przestrzenie były nieogarnione, a dale mądre i niepojęte, i rosa kładła się na pola, i hordy mgieł uderzały o ziemię, i wiatry szarpały czupryny lasów – ludzie się wzburzyli.

W mieszkaniach, piwnicach, kopalniach i warsztatach zdrząły strwożone grudki ludzkich serc, zbuntowały się dusze, przejrzały oczy.

W pałacu Ikaja podniósł się potężny i wielki hałas.

Krzyczały szprychy kół, krzesła, etażerki, lampy...

Krzyczały łajane, poniżane, gnębione w niewoli.

– Nie chcemy być szprychami w kołach!

– Nie chcemy być krzesłami i łózkami!

– Nie chcemy być tapetami w gabinecie Ikaja! Nasze twarze nie są tapetami!

Po korytarzach, schodach, pokojach i sieniach biegały dywany i lampy, sofy i materace, na dziedzińcu zebrały się żywe łopaty i mioty.

Wielki hałas rozlał się po całej ziemi.

4. I...

... i na tym na razie kończy się opowieść o żywych meblach. Póki co jeszcze wiele ich zostało na świecie, a kiedy ich nie będzie, ktoś napisze o nich jeszcze raz i – lepiej.

1919

Jefim Zozula (1891–1941), rosyjski prozaik i dziennikarz żydowskiego pochodzenia. W Polsce przetłumaczono jego opowiadania: *Dusza ekranu i Złodziejka ukazały się w antologii *Stodcye doczesnej miłości* (Rój, Warszawa 1929), *Kot w antologii *Rosyjski charakter* (cz. 1, PAX, Warszawa 1962), natomiast *Interesująca panna w antologii *Róża wiatrów* (Czytelnik, Warszawa 1977). W miesięczniku „Śląsk” drukowaliśmy jego opowiadanie *Księga Wyjścia* (2020, nr 3, s. 24–27).***

Ciemna strona węgla

JULIA SŁOMSKA

Wśród ulic, które rój lichwiarzy
Wykupił wraz z Tamizą mętną,
Błądzą – i widzę w każdej twarzy
Słabości i niedoli piętno

W. Blake, *Londyn*, 1794 [tłum. Stanisław Barańczak]

Sadza wnika głęboko w każdą tkankę smizernego ciała. Nie omija sączących się, nigdy w pełni niezagojonych ran na kościstych łokciach i kolanach kruczoczarnej istotki. Brudne od smoлистego pyłu, zdeformowane stopy wtapiają się w śnieżnobiały puch. Chłopiec zdaje się nie zwracać na to uwagi – nigdy przecież nie miał butów.

Jeszcze nie zaczęło świtać. Mały kominiarczyk zaczyna właśnie swój dzień pracy. Następných kilka godzin upłynie mu na przeciskaniu się przez wąskie gardła kominów. W południe, po wypełnieniu swoich powinności, razem z innymi towarzyszami niedoli wypełni z ciemnego zaułku, wzbudzając powszechny niesmak i odrazę.

Ma pięć, może siedem lat – tego nie wie. Został porzucony jako niemowlę i trafił do rygorystycznego, bezdusznego przytułku. Istnieje też prawdopodobieństwo, że sprzedali go rodzice kilka lat po urodzeniu, aby terminował u mistrza kominiarskiego i nauczył się zawodu, dzięki któremu uda mu się przeżyć następnych kilka, może kilkanaście lat. Upokorzenie, nędza materialna i rozliczne choroby (Oprócz głębokich ran, siniaków czy otarć, mowa jest tu m.in. o deformacjach kręgosłupa i kończyn, postępujących wskutek szkodliwych dla zdrowia (i życia) praktyk kominiarskich, jak wspinanie się w kominie czy niesienie worków pełnych sadzy. Podejmowały je kilkuletnie dzieci o wyjątkowo wrażliwych organizmach; w tym wieku ich kości są delikatne i nastawione na rozwój – praca przy czyszczeniu kominów zwykle kończyła się zahamowaniem wzrostu. Wymieniono także choroby zapalne oczu, skutkujące stopniową utratą wzroku, astmę i nowotwory znacznie ukróćą jego już i tak tragiczne życie.

Los kominiarczyków (ang. *chimney sweepers*), nazywanych także „wspinającymi się chłopcami” (ang. *climbing boys*), przesądzał właściwie moment podejmowania niebezpiecznego zawodu. Normą w osiemnastowiecznym brytyjskim systemie organizacji pracy było oddanie zabiedzonego dziecka „do terminu”, co uważano wówczas za najbardziej perspektywiczne rozwiązanie. Nowych adeptów niechlubnej profesji mistrz ko-

miniarski zazwyczaj wylapywał spośród dzieci najbardziej zaniedbanych i opuszczonych. Sierocińce i przytułki dla ubogich bez cienia wątpliwości przekazywały swoich podopiecznych w nieprzyjazne ręce. Wielokrotnie dopuszczano się tam nadużyć – pod pretekstem przyuczenia do zawodu, przerzucano obowiązek „opieki” nad niechcianymi kilkulatkami. Stosunkowo częstym zjawiskiem było sprzedawanie przez rodziców małego synka (rzadziej córki – Jedną z prawdopodobnych przyczyn najmowania dziewczynek do czyszczenia kominów było nie to, że ich drobniejsza anatomia umożliwia sprawniejsze usuwanie sadzy z przewodów, a fakt, że niektórzy rodzice „nie mieli wystarczającej liczby chłopców, których mogliby oddać do tej pracy” niewzbudzającemu zaufania kominiarzowi, w zamian za przeszkolenie, wikt i opierunek. Jeśli mistrzowi nie dopisało szczęście i nie zdobył sieroty za darmo, wówczas wartość dziecka (!) wyceniano na 20–30 szylingów.

W dobie galopującej industrializacji, która trawiła kolosalne ilości węgla, zapotrzebowanie na usługi kominiarskie stale rosło. Kręte, oblepione sadzą przewody wymuszały regularne usuwanie brudu. Rozmiar przekroju kominu zgodnie z ówczesnymi standardami brytyjskimi nie przekraczał zwykle 20 cali (ok. 51 cm). Ta klaustrofobiczna przestrzeń musiała wystarczyć cztero – czy pięcioletniemu dziecku, by wpełznąć do zionącego śmiercią gardła i piąć się ku górze, zdrapując po drodze niechciany, smolisty nalot. Jeśli maluch się ociągał, szturchano go albo przypiekano ogniem. Raporty z dochodzącego parlamentu brytyjskiego z 1817 roku, przygotowane w odpowiedzi na bunt aktywistów i próbujące ustalić rzeczywistą sytuację ciemniżonych, nie pozostawiały złudzeń. Wbijanie gwoździków w małe stopy jako metoda na szybsze wspinanie się czy próba uodpornienia wrażliwej, dziecięcej skóry poprzez posypywanie solą zakrwawionych, zdartych do żywej tkanki ran, to tylko niektóre ze skandalicznych opisów praktyk kominiarskich, w których brały udział odtrącone przez rodziców i społeczeństwo dzieci. Mimo atmosfery skandalu, jakie wywołała świadomość istniejącego okrucieństwa, nie wszyscy posłowie zgadzali się z postanowieniami kolejnych uchwał, poprawiających warunki pracy kominiarczyków. Społeczeństwo również pozostawało głuche. Minęły dekady, zanim ostatecznie wprowadzono je w życie.

Jedną z pierwszych prób zmiany tra-

gicznego położenia kominiarczyków ujęto w formie *Chimney Sweeping Act* z 1788 roku. Dokument ten inicjował zbiór sześciu uchwał, mających na celu poprawę warunków pracy „wspinających się chłopców”. Stało się to możliwe dzięki współpracy grona zaangażowanych, jednak to David Porter i Jonas Hanway wyróżniali się na ich tle. Znamienne, że pierwszy z nich, wywodzący się ze środowiska robotniczego, po czasie zdobył pozycję najzamożniejszego i najbardziej wpływowego mistrza kominiarskiego tamtych lat. Wprowadził do swego rzemiosła najwyższe standardy pracy, czym przyczynił się do jego symbolicznego awansu i poprawy nadzarpniętego wizerunku. Trudno uwierzyć w szczerotę starań reprezentanta zawodu okrytego tak wyraźną hańbą, ale nie można całkowicie odmówić mu pewnych zasług – tak czy inaczej podjął walkę zmierzającą do zmiany niekorzystnej sytuacji. Dość silne kontrowersje wzbudza jednak fakt, że mimo iż wydawał się przejęty losem kominiarczyków, nie porzucił dotychczasowych poglądów – nadal utrzymywał, że praca dzieci jest bardziej wydajna od mechanicznych urządzeń. Zależało mu właściwie nie na tym, by zahamować tę deprecjonującą działalność, ale by jedynie zapewnić większą opiekę najmłodszym spośród „wspinających się”. Z innych źródeł dowiadujemy się, że bez poparcia Jonasa Hanwaya, zamożnego kupca i filantropa, już od lat 60. XVIII wieku mocno zaangażowanego w działalność dobroczynną, złożenie petycji do Parlamentu w imieniu uciskanych kominiarzy nie byłoby możliwe.

Świat medycyny również nie pozostawał obojętny wobec krzywd i niesprawiedliwości. Odkrycie przez Sir Percivalla Potta (1775 r.) związku pomiędzy szkodliwymi dla zdrowia praktykami kominiarskimi (zwłaszcza brak higieny powiązany z licznymi otarciami nagiego ciała) a zachorowaniem na złośliwy nowotwór moczny, przyczyniło się trzynaście lat później do przyjęcia niniejszej ustawy, regulującej próg wieku zatrudniania młodych chłopców. Odtąd terminowanie mogły zaczynać tylko dzieci powyżej ósmego roku życia. Ponadto zobligowano mistrzów do zapewnienia im bardziej godziwych warunków życia (w tym przyzwoitej odzieży i pożywienia) oraz możliwości uczestnictwa w niedzielnych nabożeństwach kościelnych. Niestety, owo zarządzenie nie było prawie przez nikogo respektowane.

Trzy dekady później, między 1817 a 1819 rokiem napływało do rządu mnóstwo petycji, wzywających do zakazu zatrudniania dzieci do niebezpiecznych praktyk kominiarskich. Brytyjska badaczka Benita Cullingford wyjątkowo sugestywnie kwituje ironię sytuacji: „w czasie, gdy Parlament obradował nad kwestią pracy najmłodszych, dzieci poniżej legalnego wieku (tj. osiem lat), wciąż wspinały się wewnątrz westminsterskich kominów”. Przesuwanie granicy wiekowej chłopców (tym razem do szesnastego roku życia) wykorzystywanych do pracy najemnej było wówczas tylko pustymi słowami i nie przekładało się na żadne wymierne rozwiązanie. Świadomie łamano przepisy dotychczasowych aktów prawnych – nie istniały bowiem wystarczające regulacje, związane z metodami ich egzekwowania.

Joseph Glass, wynalazca i działacz zaangażowany w protest przeciwko wyzyskowi dzieci, już w 1828 roku udoskonala (istniejący od ponad dwudziestu lat) mechaniczny sprzęt gwarantujący wyrczenie poniżonych kilkulatków z ponurej i zagrażającej życiu pracy. Mistrzowie kominiarscy robili jednak co w ich mocy, by nowoczesne urządzenia nie zastąpiły „żywych skrobaczek”. Sprzeciw argumentowali przeświadczeniem, że kilkuletni pracownicy szybciej i efektywniej wyczyszczą zatkany przewód kominowy, wychodząc tym samym na przeciw oczekiwaniom bogatszej części społeczeństwa brytyjskiego, niezbyt skorego do porzucenia dotychczasowych przyzwyczajeń. Poza tym, jeśli zdecydowano się na taką zmianę, mali kominarze nie byłoby już dłużej potrzebni swoim mistrzom – odtąd obsługa mechanicznej szczotki należałaby do ich obowiązków. Nie kalkulowało się to z prostych przyczyn. Dzieci pracowały za darmo lub półdarmo i nikt nie nadzorował ich wynagrodzeń. Wykorzystywali to pozbawieni skrupułów kominarze.

Dzięki stanowczym działaniom Lorda Ashleya, wymierne efekty zaczęła przynosić już trzecia uchwała parlamentu brytyjskiego z 1840 roku. Pod groźbą grzywny wyostosoowano zakaz przyuczania do zawodu chłopców poniżej 16. roku życia, natomiast „wspinanie się” zabronione było dla tych, którzy nie ukończyli 21. lat. Atmosfera wyraźnej poprawy zaczęła się udzielać, jednak musiało minąć jeszcze kilka dekad, zanim całkowicie zniesiono ten przygnębiający proceder. Lord Ashley, już wtedy jako Lord Shaftesbury, ponownie zainterweniował w 1864 roku. Opinia publiczna nie stawała wówczas już tak silnego oporu –



Kominiarz i jego chłopiec, 1877

jej temperament uległ zmianie po lekturze satyrycznych nowelek dla dzieci *The Water Babies* pióra Charles Kingsleya, wydanych rok wcześniej. Odtąd małym kominarzom nie wolno było przekraczać progu domu klienta. Licencja dla mistrzów kominiarskich wciąż czekała na zatwierdzenie w rządzie.

Na przyjęcie strategicznej uchwały kładącej kres ich niewolniczej pracy, „wspinający się chłopcy” musieli czekać niemalże sto lat. Mimo że na przestrzeni tego wieku pojawiały się głosy sprzeciwu, prowadzące do przyjęcia regulujących ustaw, społeczeństwo

brytyjskie wciąż pozostawało głuche na nowo obowiązujący kodeks. Nierespektowanie prawa umacniało rozpaczliwy stan rzeczy aż do ostatecznej ingerencji Lorda Shaftesbury. Owocem tych działań była uchwała z 1875 roku, zakończona długo wyczekiwanym sukcesem. Izba Gmin i Izba Lordów była jednomyślna. Do obowiązków konstabla należał odtąd nadzór nad przestrzeganiem przepisów (ujętych w poprzednich *Chimney Sweeping Acts*) w danej dzielnicy, a mistrzowie kominiarscy zaczęli podlegać corocznej licencjonowaniu. ■

Julia Słomska – mieszka w Pyskowicach, jest studentką kulturoznawstwa w Uniwersytecie Śląskim. Wybrała specjalność z teorii i antropologii kultury. Interesuje ją sytuacja człowieka w kulturach industrialnych i postindustrialnych. „Ciemna strona węgla” to fragment jej pracy magisterskiej.

To, że Jerzy Pilch zmarł w Kielcach, w których spędził ostatnie pół roku życia, i że w tym mieście został pochowany, ma swoje przewrotne znaczenie. Kielce? Do samego końca wielki ironista! Teraz, kiedy urna z jego prochami spoczęła na kieleckim Cmentarzu Komunalnym, można także powiedzieć: sztyderca z za grobu. Oczywiście nie będę udawał, że nie wiem, iż tzw. względy życiowe wzięły górę. Wyprowadzka z Warszawy do Kielc, miasta rodzinnego młodziutkiej żony, była wszak koniecznością – unieruchomiony na wózku inwalidzkim pisarz mieszkał w domu bez windy (tak, tak, przy słynnej ulicy Hożej, od której wziął się jeden z ładniejszych przydomków Pilcha – Samotnik z ul. Hożej). Słowem, wiem o przesłankach pragmatycznych, ale nie mogę zapomnieć o zjawiskowej urodzie cmentarza ewangelickiego dla zasłużonych wiślan. Jakże poetycko się ta nekropolia nazywa: „Na Groniczku”, aż człek chciałby się tam położyć.

Od Wisły, w której w 1952 roku Jerzy Pilch urodził się i mieszkał do 10 roku życia, trzeba koniecznie ten nekrolog zacząć. Bo dla beskidzkiego miasta i jego okolic, dla Śląska Cieszyńskiego po prostu pisarz zrobił naprawdę wiele. Właściwie w pojedynkę włączył Wiślańską Dolinę do grona miejsc mitycznych, dopisał do nie tak znowu długiej listy zachwycających krain literackich. Mit Wisły to jego sprawa! Szczególne znaczenie należy przypisać niewielkiej objętościowo powieści *Inne rozkosze* (1995). To w niej po raz pierwszy Pilch zaprosił czytelników do świata swego dzieciństwa, otworzył drzwi do wiślańskiego mikrokosmosu zaludnionego ekscentrycznymi lutrami, dziwakami ogarniętymi jakąś, na ogół niegroźną, manią.

Debiutował jednak we wcześniejszej dekadzie – tomem prozy *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej* (1988), za którą otrzymał Nagrodę im. Kościelskich. Chwilę później zyskał uznanie jako wytrawny felietonista „Tygodnika Powszechnego”, a swoją sławę umocnił jako autor powieści *Spis cudzołóżnic* (1993), szybko przeniesionej na ekran przez Jerzego Stuhra. W wymienionych tu książkach, a także w felietonistycie wypracował oryginalną formułę tragikomiczną. Rzec by można: połączył lekki żart z śmiertelną powagą, pokazał – również w kolejnej „wiślańskiej” powieści zatytułowanej *Tysiąc spokojnych miast* (1997) – że brawurowy styl i retoryczne popisy stanowią powierzchnię jego literatury, są językowo-anegdotyczną zasłoną, pod którą skrywają się ta-



Majster nad majstrami

Po śmierci JERZEGO PILCHA

DARIUSZ NOWACKI

kie problemy, jak nieobecność, utrata, żal czy bezpowrotnie zaprzepaszczone doświadczenie.

Z „głębszym znaczeniem” zdeponowanym w tej prozie nie wszyscy potrafili się skomunikować, to też w tamtym czasie (końcówka lat 90. ubiegłego wieku) przylgnęła do

Pilcha dość kłopotliwa, zwłaszcza dla ambitnego artysty, gęba: lekko-ducza, krakowskiego wesołka, uroczego gawędziarza i prześmiewcy; ot, brat lata, z którym ponoć wszyscy pili wódkę (najlepiej żołądkową gorzką, zwaną w pewnych kręgach „pilchówką”). Z tym wizerun-

kiem pisarz zmagał się długo; można chyba udowodnić, że do samego końca, zmuszony do ciągłego przekonywania o swej literackiej wybitności i nieoczywistej powadze. I niechaj nas nie zmyli uhonorowanie powieści *Pod Mocnym Aniołem* (2000) Literacką Nagrodą Nike. Owszem, był to zaszczyt nietuzinkowy (20 lat temu, inaczej niż dzisiaj, ta nagroda naprawdę coś znaczyła); na pewno był to honor będący przepustką upoważniająca do wejścia na salony stolicy, ale – umówmy się – honor naznaczony pewną dwuznacznością. Czyż nie wtedy Pilch brylował najintensywniej, gruntując swoją legendę alkoholowo-erotomańską, goszcząc niedługo na stałe w kolorowych magazynach? Nazwiska przystojnych celebrytek, z którym podówczas był łączony, do dziś robią wrażenie. Ale mówmy o czymś innym – przypomnijmy, że w tamtym czasie Jerzy Pilch został stałym felietonistą tygodnika „Polityka”, a same przenosiny z Krakowa do Warszawy zaowocowały jedną z ciekawszych powieści w jego dorobku, *Miastem utrapienia* (2004). W tej frapującej, w głównym wątku „warszawskiej” przeciw powieści pisarz zajął się problemem sfałszowanej tożsamości i przy okazji nawiązał subtelną dialog z Tomaszem Mannem jako autorem *Wyznań hochsztaplera Feliksa Krulla*. Nie tylko w moim przekonaniu – jesteśmy w połowie pierwszej dekady naszego wieku – Jerzy Pilch osiągnął wówczas szczytową formę pisarską. Lecz jednocześnie, a może chwilę później wszedł w fazę mroczną. Do głosu doszła ciemna tonacja, choć żarty się nie skończyły.

Jedno z finałowych oznajmień *Miasta utrapienia* brzmi: „Stygnę. Jestem zdruzgotany, jestem wypalony, bardzo wiele jest we mnie zniszczonego. Ratuję, co się jeszcze nie spaliło. Piszę i ćwiczę pamięć”. Z tego ratowania niespalonego i ćwiczenia pamięci wziął się doskonały tom prozy *Moje pierwsze samobójstwo* (2006). Przeszłość stała się tu obszarem niepewności zaludnionym przez widma; pisarz zmodyfikował najwyższej ceniony temat swojej twórczości literackiej, czyli mit rodzinno-środowiskowy: luterańska Wisła nie jest już krainą łagodności, zbyt dużo w niej śmierci i ubywania, coraz trudniej obdarzyć starych wiślan namiętnościami i dowcipem. Jednakowoż to, że Pilch wszedł w fazę mroczną, bynajmniej nie oznaczało, że pogrzyżił się w wykreowanej przez siebie widmowości lub że popadł w pisarski autyzm. Chwilę później poznaliśmy przecież rzecz bardzo ambitną, niemal bravurową – ufundowany na arycpol-

skim motywie sytuacyjnym (wesele) *Marsz Polonia* (2008). W tej metaforycznie gęstiej, onirycznie-barokowej opowieści pisarz dokonał przeglądu naszych zbiorowych fantazmatów, nie tylko zapytał o Polskę i samopoczucie Polaków, ale i wziął się za bary ze swoim starym znajomym, diabłem. A jeśli o diable mowa, godzi się przypomnieć, że najbardziej mrocznym i nieodgadnionym utworem Pilcha pozostaje, wydana pięć lat później, powieść *Wiele demonów*, gdzie bez mała każdy motyw i wątek służy „zagadywaniu” śmierci, mierzeniu się z jej grozą. I nie jest chyba sprawą przypadku, że akcja tej powieści rozgrywa się w Sigle, a „sigła” to w gwarze cieszyńskiej podmokła łąka, nad którą zazwyczaj unosi się mgła. Sigła niby podobna do Granatowych Gór (to jedno z literackich imion – jeszcze sympatycznych – Wisły), ale jednak całkiem inna – żałobna, pogrążona w mroku.

Elegijny charakter *Wielu demonów*, ponury wydzwięk tej powieści nie wzięły się z artystycznego kaprysu; przeciwnie – zostały zakotwiczone w biograficznym konkrety. Otóż w niektórych felietonach z lat 2010–2011 pisarz odniósł się wprost do swojej poważnej choroby – dokuczającego mu coraz bardziej, postępującego parkinsonizmu. Felietony z tamtego czasu przeszły zresztą znamiennej ewolucję gatunkową: Pilch zaczął im nadawać formę coraz bardziej prywatną, od pewnego momentu jawnie dziennikową, z roku na rok coraz bardziej intymistyczną (notacje te zabrał w tomach *Dziennik* i *Drugi dziennik*). Przyjął wielce oryginalną i zarazem przejmującą formułę „kroniki zniknięcia”; swoje zapiski nazywał „relacjami z dni przedostatnich”.

Wiele demonów to ostania obszerna wypowiedź Pilcha w prozie artystycznej – od roku 2015 ukazują się wyłącznie skromne opowiadki, właściwie dłuższe opowiadania, takie jak *Zuza albo czas oddalenia* czy *Portret młodej weneckianki*. Pierwsza z nich wydaje się wyjątkowo znamienne. Otóż zawartą w *Zuzie* anegdotę pisarz przedstawił jako „rękopis ukryty w bucie”, a więc papiery, które pozostały po kimś, kto odszedł. To rzekome znalezisko przynosi opowieść o związku starego, schorowanego mężczyzny z młodzieńką warszawską prostytutką. Pilch pyta w tym utworze o granice intymności, a właściwie o etyczne umocowanie tego, co moglibyśmy nazwać wyprzedają własnej intymności.

To niezwykle istotna kwestia, bo – centralna w późnym dziele Jerzego Pilcha. Otóż autor *Nart Ojca Świętego* odnotował ważną przemianę

o charakterze kulturowym. Chodzi o to, że w naszej dobie dał o sobie znać osobliwy apetyt na autentyk – oczywiście biograficzny i autobiograficzny, a tak naprawdę plotkarski. Okazało się, że pisarz jako osoba z krwi i kości zawsze będzie ciekawszy niż literacka autokreacja (figura z papieru). Sam Pilch skorzystał z tej koniunktury, ogłaszając dwa tomy wywiadów-rzek (za każdym razem rozmawiała z naszym pisarzem Ewelina Pietrowiak). Zajął też bardzo niejednoznaczne stanowisko wobec książki biograficznej napisanej przez Katarzynę Kubisiowską (*Pilch w sensie ścisłym*; 2016), dystansując się od sensacyjnych „ustaleń” krakowskiej dziennikarki i odmawiając jej promocyjnego wsparcia.

W ostatniej opublikowanej za życia pisarza książce, skromnym zbiorze opowiadań *Żółte światło* (2019), również nawiązał do biograficznych sekretów – odniósł się między innymi do swojego drugiego małżeństwa, związku z kobietą o ponad 40 lat młodszą. Co najważniejsze – zadbął o to, żeby uniemożliwić nam inną lekturę niż ta w kluczu autobiograficznym. Chciał nam chyba powiedzieć, że od „tabloidyzacji” czytania współczesnej prozy czy – szerzej – od „tabloidyzacji” życia kulturalnego nie ma dziś ucieczki. W tym zresztą, i to bodaj od samego początku, manifestował się profesjonalizm pisarza, który podsuwał nam style i gotowe matryce lektury, który wiedział, na jaki klawisz nacisnąć, żeby się nam spodobało. Zawodowiec, majster w każdym calu!

Żadnej puenty nie daję, mając świadomość, że przyszły los dzieła literackiego Jerzego Pilcha pozostaje kwestią otwartą. Czy będzie intensywnie czytane przez młodszych czytelników? Czy odnotujemy renesans zainteresowania tym pisarstwem (że markowym i okazałym, żadnych wątpliwości nie mam)? Nie wiem, ale mam przeczucie, że może być z tym krucho. Skąd mój pesymizm? Stąd chyba, że uszy publiczności czytającej z sezonu na sezon stają się coraz bardziej drewniane, a takie pojęcie, jak kultura języka czy stylistyczne wyrażenie są lekceważone jako zbędne ozdobniki. Tymczasem trzeba wyczulenia na słynną „Pilchowską frazę”; aż chciałby się powtórzyć rym Brzechwy: „ech, Filipie, trzeba znać się na dowcipie”. Dowcipie przede wszystkim w dawnym, zanikającym rozumieniu. Błysk inteligencji, czar, esprit, wdzięk – to także dowcip. Z tak pojmowanym dowcipem proza Jerzego Pilcha zawsze mi się kojarzyła, za to ją kochałem. I to się zapewne nie zmieni. ■

Od wieków związani z książką, czyli o tradycjach czytelniczych na Górnym Śląsku

KAROL MAKLES



Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfatego

Mysząc o Górnym Śląsku w dużej mierze spoglądamy na ostatnie kilkadziesiąt lat w jego dziejach. Choć źródła dzisiejszego obrazu tych terenów sięgają do rzadziej przypominanych wieków wcześniejszych pokazujących charakter regionu, zawierany często w łacińskich słowach *lux ex Silesia*. Warto więc spojrzeć na dziedzictwo kultury książki na Górnym Śląsku. Właśnie w dużym stopniu ta kraina przyniosła Polsce pierwszych światłych i wykształconych obywateli, odnoszących sukcesy w Europie. Działo się tak głównie za sprawą częstych kontaktów Górnoszlązaków z uczelniami zachodnioeuropejskimi, a po 1364 roku i ze Studium Generale w Krakowie, a później Akademią Krakowską. Wymienić tu należy Sulisława, syna kasztelana cieszyńskiego Jana, z rodu Gryfitów. Młody Gryfita już w wieku XIII, przed rokiem 1238 studiował na **Uniwersytecie Padewskim**, przede wszystkim u mistrza Ugeria Buzzacarina, ze słynnej rodziny profesorskiej, którego sprowadził z Włoch do kraju. Kasztelan cieszyński przywiózł nie tylko swego swego mistrza uniwersyteckiego, ale zbiory biblioteczne.

Bardziej znacząca niż w Padwie i innych ośrodkach akademickich Europy była obecność Ślązaków na **uniwersytecie w Krakowie**, począwszy od końca XV wieku. Jak odnotowuje to Kazimierz Piwarski: „Ściągały podówczas liczne rzesze młodzieży śląskiej w mury Krakowa. Napływ Ślązaków do uczelni krakowskiej był tak gromadny, że w niektórych latach młodzież śląska stanowiła tu do 20% ogółu studiujących. Do Krakowa spieszyła przede wszystkim młodzież z pobliskich, górnośląskich terenów, a więc obszarów o stanowczym obliczu polskim. [...] Ze skarbnicy wiedzy w Krakowie czerpali obficie tak Polacy śląscy, jak i Niemcy, którzy również wnosili stąd podziw dla polskiej wiedzy i kultury”. Jan Malicki, omawiając działalność Walentego Fontany, profesora oraz rektora krakowskiego, i naukowe kariery Ślązaków, nie bezpodstawnie wskazywał to miasto jako jeden z celów peregrinacji naukowych wszystkich ówczesnych Ślązaków, wędrujących w dwu

kierunkach: „albo do **Lipska i Wittenbergii**, albo Krakowa – a w przyszłości dalej – do **Torunia, Gdańska i na Litwę**”. Nieodłącznym zaś kulturotwórczym elementem zdobywania wiedzy było i jest zbieractwo i kolekcjonowanie książek.

Jednoznacznie pewne informacje o początkach pasji bibliofilskiej podwawelskich Ślązaków wiążą się z innym profesorem, Janem z Oświęcimia starszym, zwanym Beberem, żyjącym w latach 1420-1482, a więc w czasach, gdy (w 1456 roku) dawne Księstwo Oświęcimskie wraz z Księstwem Zatorskim przeszło z czeskiego wtedy Śląska do ówczesnego państwa polskiego (jeszcze inni Janowie z Oświęcimia to jeden, który wpisał się na uczelnię w Krakowie w 1443 roku, oraz drugi, zwany Janem z Oświęcimia młodszym lub Sakranem – od łacińskiego nazwania miejsca pochodzenia, żyjący w latach 1443-1527). Autor bibliologicznego biogramu Bebera, Marian Zwiercan, określa wprost tego profesora teologii jako „zbieracza książek”, który „posiadał bogatą bibliotekę, złożoną z rękopisów i pierwodruków”. Zbiór zawierał: słowniki, dzieła filozoficzne (myślicieli średniowiecznych i antycznych), teologiczne, klasyczne, humanistyczne, medyczne, prawnicze, papieży i astrologiczne. „Encyklopedia wiedzy o książce” wymienia – obok zmarłego około 1517 roku Pawła z Krosna, Michała z Wrocławia (zm. ok. 1533 roku) i Marcina Biema z Olkusza (około 1470-1540) – właśnie owego Jana z Oświęcimia (to jest z jednego z pierwszych kawałków Śląska, które wróciły do Polski) wśród najdawniejszych indywidualnych bibliofilów polskich, ale i śląskich przecież, choć w Krakowie, w którym bibliofilstwo kwitło przede wszystkim instytucjonalnie – w księżnicy uczelnianej, podobnie jak w innych miastach akademickich.

Kraków nie był wprawdzie jedynym miastem, którego kultura przyciągała Ślązaków, ale był w tym zakresie miastem najważniejszym, tak jak dla całej kultury polskiej. Nie bez powodu początki bibliofilstwa śląskiego są ważnym elementem kultury książki polskiej. Warto byłoby zapewne przywo-

łać związki śląskie z innymi kulturami niż polską oraz przebadać wpływ tych kultur i ośrodków na bibliofilstwo, lecz wymagałoby to prześledzenia losów Śląska bohemizowanego i germanizowanego, co jest na pewno interesujące. Ograniczę się jedynie do wskazania polskich tylko początków tradycji czytelniczych i bibliofilstwa śląskiego, lecz ponadto muszę przypomnieć – co jest konieczne – że wyrastało ono nie tylko z elitarnych upodobań naukowych, ale i – co na terenie Śląska jest znamienne – z pasji czytelniczej, bardzo często plebejskiej i inaczej osobistej, choć nie bez znaczenia była rola bibliotek (z działającymi w nich niewątpliwymi bibliofilami), wydawnictw czy drukarni.

W czasach, gdy Śląsk opadł od Polski, to nadal ludzie i instytucje podtrzymywały polskie tradycje czytelnicze i kulturowe. W czasach, gdy Polska była pozbawiona niezależności, a Śląsk wyjątkowo dłużej niż inne dzielnice Polski, przykładami samorodnego bibliofilstwa może być książkownik Leopold Szersznik (1747-1814), wielki bibliofil i założyciel Muzeum Cieszyńskiego, a prócz niego Jura Gajdzic (1772-1840), chłop, bibliofil, twórca pierwszego polskiego ekslibrisu chłopskiego, Karol Kościcki (1788-1863), Józef Lompa (1797-1863), Paweł Stalmach (1824-1891), wielki drukarz Karol Miarka (1825-1882) czy też Józef Londzin (1862-1929). Wszystkich ich łączyło, często patriotyczne, zamiłowanie kolekcjonerskie. W XIX i XX wieku książka polska odegrała ważną rolę w sprzeciwie części Górnoszlązaków wobec polityki germanizacyjnej. Świadczą o tym choćby dzieciomastowicze wspomnienia, przytoczone przez Marię Kalczyńską: „lud kupuje i czyta na Śląsku [...] wszystko to tylko jest jasną prozą, łatwą i zrozumiałą pisaną [...], oto co powiedzieć wypada, że w Polsce piszą, a na Śląsku czytają”.

Mającą swą długą historię tradycja czytelnicza na Górnym Śląsku, wyrażając się także w gromadzeniu polskich książek, była dobrym gruntem, na którym pojawiło się myślenie o polskiej państwowości, jako przestrzeni swobody także w dziedzinie kultury czy nauki. ■

Suma przypadków

WOJCIECH LIPOWSKI

Wczłowieku zawsze jest pokusa, aby sprawy przeszłe zestawiać na nowo w różnych konstelacjach, porządkach. Często przy tej okazji dochodzi do pomieszania zdarzeń rzeczywistych i wymagowanych wariantów, czy zwykłych zmyśleń. Ciąg obrazów przeszłości, prywatnych historii zyskuje w tym procesie nowe oblicze i sprawia, że czas dokonany nie podlega unieważnieniu, powraca niejako z zapomnienia, by żyć na nowo, wprowadzać niepokój w teraźniejszości.

Podobny mechanizm, uruchamiający wehikuł minionych przeżyć, które dopadają w końcu każdego, odnajdujemy w dziesięciu opowieściach, które dramaturg i jednocześnie reżyser Tomasz Man, zawarł w swojej sztuce teatralnej *C(r)ash Europe*. Prapremiera polska jako sztuka czytana Koperta, szparagi i seks, miała miejsce we wrocławskim Teatrze Polskim w 2007 roku. Rok później już na scenie pojawiła się w Teatrze Śląskim, w zmienionej wersji, przyjmując tytuł *EU*. Dzięki zapisowi telewizyjnemu, zrealizowanemu w roku 2012 przez Leszka Ptasińskiego, mieliśmy niedawno sposobność obejrzeć na nowo tę właśnie wersję w okolicznościach, gdy do teatru chodzimy zostając we własnych domach.

Spektakl nie stracił swej siły i dynamiki, mimo że minęło już sporo lat od czasu, gdy widzowie oglądali go na Scenie Kameralnej. Co ciekawe, sztuki tam wystawiane prezentują się interesująco na małym ekranie, odsłaniając obszary, których nie sposób dostrzec z fotela widza teatralnego.

Gdy z mroku wyłoni się kwadrat sceny, obrysowanej linią, poza którą nie wyjdą aktorzy, przywita nas słynny menuet epoki kla-

sycyzmu z Kwintetu smyczkowego op. 13 Luigi Boccheriniego, nagrany kiedyś przez amerykańskiego wokalistę jazzowego Bobby'ego McFerrina z towarzyszeniem The Saint Paul Chamber Orchestra. Wybrzmi również w zakończeniu stanowiąc muzyczną kłamrę sztuki.

Przed naszymi oczami, bardzo sprawnie, przesuną się bohaterowie z różnych europejskich miast tworząc mozaikę ludzkich losów: romanse w rozmaitych układach, dziwne związki, grzechy przeszłości, tożsamość seksualna, rozwody, próby powrotów po latach, a nawet terroryzm i morderstwo. Mnogość spraw nie ciąży jednak nadmiarem elementów narracji. Przeciwnie, szybkie tempo, następujące po sobie zmiany miejsc akcji trzymają w napięciu i nie pozwalają na oddech. Warszawa, Madryt, Berlin, Budapeszt, Praga, Londyn, Paryż, Wilno czy Rzym to miejsca stanowiące tło dla jak najbardziej uniwersalnych spraw i doświadczeń.

Aktorzy zmieniają role, tożsamości, zawody oraz miejsca sprawnie, wręcz mistrzowsko. Można powiedzieć, że przymierzają kolejne wcielenia niczym ubrania wyciągane z szaf, budując wspólnotę osobistych doświadczeń. W dzisiejszym odbiorze już chyba nie o kontekst europejski chodzi w tym wszystkim, lecz ludzki, egzystencjalny. Poszczególne etudy sceniczne ukazują bardzo ciekawy ciąg zmagania teraźniejszości z przeszłością: coś, co zostaje nagle wyjęte z mroku zapomnienia otrzymuje aktualizację za sprawą współczesnej perspektywy i niejednokrotnie pozwala na snuć domysłów jak mogłoby wyglądać życie, gdyby nie błędne decyzje i zaniedbania, które nie sposób już odwrócić.

Itak we wspaniałej madryckiej etudzie odegranej żywiłowo przez Monikę Radziwon (Helena) i nieodżałowanego Andrzeja Lipskiego (Hugo), obejrzymy starcie dwóch temperamentów, osobowości, które podejmą grę w osi narracyjnej opartej na relacji ojciec-córka i rozpoczną podróż w stronę przebaczenia. On światowiec, polityk, ona córka czeskiej emigrantki, prawdopodobnie molestowana w dzieciństwie. Czy powiedzą sobie prawdę, czy tylko podejmą grę pełną fałszu i uprzedzeń? Spotkają się znowu w Budapeszcie. Ona będzie tym razem naiwną modelką, on nadal sobą, nieświadomym błędów przeszłości nostalgicznym mężczyzną.

W londyńskim sensacyjnym fragmencie z kolei jesteśmy świadkami przesłuchania Araba Asedina (doskonała rola Marcina Szaforza) prowadzonego przez oficera Scotland Yardu (Andrzej Dopierała) w sprawie porwania i morderstwa dzieci. W szybkim montażu ciętych pytań i ripost obserwujemy grę insynuacji, oskarżeń, zwykłego ludzkiego strachu. Podskórnym wyczuwamy, że w podobną historię uwikłać można każdego człowieka. Szaforz pokaże także inne oblicze, odgrywając brawu-

rowo szefa porno-biznesu w etudzie amsterdamskiej, do którego przybywa litewska dziennikarka, by wykasować z pamięci wstydlive epizody własnej przeszłości. W tej roli świetna Anna Kadulska, wcześniej odrzuci w Wilnie propozycje skompromitowania kandydata na prezydenta, którą złoży jej nie kto inny jak inspektor John znany już z przesłuchania Azdina. Ten ostatni w Rzymie będzie Klemensem, gangsterem z duszą i zasadami, który pojedzie tam, aby podjąć próbę wyjaśnienia błędów popełnionych przed laty. To tylko garść przykładów ze sporego zasobu tego spektaklu.

Tomasz Man zongluje scenami, motywami, przemieszcza swych bohaterów, ustawia w różnych konfiguracjach miejsc i sytuacji. Wersja telewizyjna spektaklu sprzyja takiemu sposobowi prowadzenia narracji. Jedenaście postaci, pięciu aktorów, dziesięć miast. Płatanina spraw, prawd, kłamstw, ale też nadziei, a czasem łez. Bo tak banalne jest niestety życie. W Pradze Irma (Anna Kadulska) powie zrezygnowana, kończąc zjawiskowy związek z malarką Heleną (Monika Radziwon): życie jest tylko sumą przypadków. Można powiedzieć, że wszyscy bohaterowie tej sztuki dążą do uporządkowania własnej egzystencji, lecz nieustannie wprowadzają w nią dysonans, czyniąc ją niemożliwą do realizacji. Jednym słowem tym, co robią, dowodzą, że idea jakiegoś porządku jest im obca, mają ciągle wstręt do jakiegokolwiek harmonii.

Poszczególne epizody, niczym w stopklatce usiłują zatrzymać ulotne chwile, w których ulepiono te ludzkie historie. Każdy ma swoją drugą twarz, stwierdzi jeden z bohaterów. Zatem proces ciągłej falsyfikacji zdarzeń i sytuacji zacierpiętych z powszechnych doświadczeń staje się tu główną dominantą. Roztrzāsane, wyjaśniane na nowo sprawy z przeszłości zyskują w zakończeniu każdego epizodu nowy kształt. No bo jak wyzna zdesperowany Klemens, czasem ludzie zachowują się inaczej niż o nich myślimy. A więc doświadczenia przeszłe zostaną w końcu przez każdego z osobna włączone do nowego porządku znaczeń i będą żyć dalej w nowych miejscach, wśród kolejnych zdarzeń z innymi już ludźmi.

A może po prostu w sztuce Tomasza Mana ważniejsze znaczenia oglądanych scen pozostały poza telewizyjnym kadrem? Może tam stwarzają właściwy porządek życia, tworzą ukrytą całość? Przecież zawsze, gdy będą potrzebne można je odnaleźć i pokazać na nowo. ■

EU

Tekst i reż. Tomasz Man
pokaz online 9.05.2020
Teatr Śląski w Katowicach 2008
Telewizja Polska 2012



Gondolą na Szyndzielnię

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Wczesnym rankiem, jesienią 2002 roku, rozdzwonił się nagle telefon alarmowy. Usłyszałem w słuchawce głos podenerwowanego mocno Staszka, który wówczas zajmował służbowe mieszkanie w budynku górnej stacji naszej kolei. Powiedział, że jego żona rodzi i ja mam natychmiast uruchomić całą maszynię – wspomina Tomasz PEZDA, kierownik gondolowej kolei linowej na Szyndzielnię.

Jak się zakończyła ta niezwykła historia? – Po kilku minutach nerwowego oczekiwania żona Staszka wsiadła wreszcie do gondoli i ruszyła w dół. Bałem się, że urodzi dziecko w napowietrznej kabinie, ale na szczęście do tego nie doszło. Na dole czekało pogotowie ratunkowe. Dziewczynka przyszła na świat już w bielskim szpitalu. Obecnie jest prawie pełnoletnią kobietą – relacjonuje po latach Pezda.

Od operatora do kierownika

Wizja ewentualnych narodzin maleństwa w podniebnych przestworzach była dla niego źródłem niezapomnianych emocji w okresie 24 lat pracy zawodowej na górskiej kolei, uważanej powszechnie za największą atrakcję turystyczną Bielska-Białej. Pochodzi ze Szczyrku, mieszka w Mesznej, a miejscem jego codziennych zajęć jest Olszówka – peryferyjna dzielnica 170-tysięcznego Bielska. Przeszedł przez wszystkie szczeble wtajemniczenia zawodowego, poczynając od stanowiska operatora peronowego. Dziś kieruje dwoma górkami obiektami – kolejką na Szyndzielnię i wyciągiem krzeselkowym (kanapowym) na pobliski Dębowiec. Funkcjonują one w strukturze organizacyjnej

przedsiębiorstwa o tajemniczo brzmiącej nazwie ZIAD (Zakład Informatyki, Automatyki i Doskonalenia Zawodowego).

Przyznać trzeba, iż to bardzo nietypowe rozwiązanie w sferze zarządzania. Wiadomo nawet, że jedyne tego typu w polskiej turystyce górskiej. Od 21 lat ZIAD jest spółką akcyjną, należąca w stu procentach do bielskiego samorządu. Przedtem było to przedsiębiorstwo państwowe. Firma zajmuje się ponadto hotelarstwem, dzierżawą parkingów oraz organizacją targów, wystaw i konferencji.

Dla piechurów i kolarzy górskich

– Szczyt Szyndzielni był i ciągle jest bardzo popularny wśród turystów. Od końca XIX wieku stoi tam schronisko PTTK (1001 m n.p.m.), wzniesione jeszcze przez Beskidenverein, niemiecką organizację turystyczną. Rozchodzą się stamtąd liczne szlaki wędrownie do Bystrej, Szczyrku czy do Wapienicy, co w naturalny sposób zwiększa zainteresowanie piechurów i kolarzy górskich tym atrakcyjnym wierzchołkiem beskidzkim – opowiada z wyraźnym znanstwem Pezda podczas ok. 8-minutowego przejazdu 6-osobową gondolą, unoszącą się na linie pomiędzy dolną stacją (510 m n.p.m.) a górną (959 m n.p.m.).

Jesteśmy sami w całej kabinie, w której z powodu pandemii nie może przybywać komplet pasażerów. Zza pleców mojego przewodnika wyłania się w pewnej chwili słoneczna panorama Bielska. To bez wątpienia najpiękniejszy moment całej wyprawy. Na widokowej trasie o długości 1811 metrów mijamy 14 podpór, z których najwyższa ma aż 23 m. Z dokumentacyjnego obowiązku dodajmy jeszcze, że nowoczesna lina nośno-napędowa ma prawie 4 cm średnicy. Maksymalna zdolność przewozowa kolejki, składającej się z 32 gondol, wynosi 750 osób w ciągu godziny.

Wielokrotne modernizacje

Obecne jaskrawożółte gondole są już piątymi z rzędu kabinami w blisko 67-letnich dziejach kolejki linowej na Szyndzielnię. Jej historia zaczęła się 21 grudnia 1953, gdy przewiozła swoich pierwszych pasażerów. Była to pierwsza w powojennej Polsce inwestycja górską w tym regionie. Wcześniej

istniała w naszym kraju tylko kolej linowa z Kuźnic (dzielnica Zakopanego) na Kasprowy Wierch.

Turystyczne zadanie inwestycyjne na peryferiach Bielska-Białej zostało zrealizowane przez austriacką firmę Girak. – Żadna ówczesna firma polska czy wschodnioeuropejska nie dysponowała takimi możliwościami ani doświadczeniami technologicznymi. Austriackie wagoniki z tamtych lat poruszały się na linie nośnej, a ciągnęła je lina napędowa. Były wyprężane w ruchu okrężnym. Przejazd trwał w sumie ok. 12 minut, a zdolność przewozowa kolejki wynosiła 300 osób na godzinę – wyjaśnia Tomasz Pezda.

Z upływem czasu dokonywano kolejnych ulepszeń i modernizacji. Kolejka była czterokrotnie unowocześniana w latach 1965, 1978, 1994–1995 oraz 2016–2017. Aktualne gondole są bardziej przeszklone od poprzednich, a także wygodniejsze i dostosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych. Wszystkie kabiny wyposażono w kosze na narty oraz w uchwyty do transportowania rowerów górskich.

Eksponaty i współczesna luneta

W budynku górnej stacji kolejki zgromadzone historyczne eksponaty: dawne wagoniki. – Najstarszy z nich odnaleziono w Karpaczu, przy wyciągu krzeselkowym na Kopę. Pełnił tam rolę budki dla personelu obsługującego narciarski wyciąg orczykowy. Nie wiadomo, w jaki sposób znalazł się w Karpatkach. Na wagonik z lat 1978–1994 natrafiono natomiast w Wiśle. Stał tam na śniegu, a korzystali z niego pracownicy beskidzkiego wyciągu narciarskiego na Stożek – wyjawia Pezda.

Obok stylowej górnej stacji kolejki na Szyndzielnię (jednej z 6 takich górskich inwestycji gondolowych w całej Polsce) znajduje się 18-metrowa wieża widokowa, umożliwiająca podziwianie panoramy Bielska oraz malowniczych pejzaży beskidzkich. Na szczytowej platformie wieży ustawiono lunetę obserwacyjną o 25-krotnym powiększeniu. To dodatkowa atrakcja turystyczna dla miłośników górskich krajobrazów. ■



Tomasz Pezda na tle panoramy Bielska-Białej

fot. Z. Lubowski

fot. Z. Lubowski (statyw)



Reporter „Słaska” na trasie kolejki



Stacje kolejki linowej na Szyndzielnię (górna i dolna)



Maciej Komandera i Anna Borucka w „Carmen”



Final Gali

Widowisko bez granic Gala na 75-lecie Opery Śląskiej

WIESŁAWA KONOPELSKA

Od 75 lat dzień 14 czerwca dla Opery Śląskiej w Bytomiu jest datą symboliczną – to dzień narodzin pierwszego po wojnie teatru operowego w Polsce, wówczas jeszcze z siedzibą w Katowicach, zaakcentowany wystawieniem „Halki” – dzieła twórcy opery narodowej Stanisława Moniuszki. Od czasu Adama Didura, pierwszego dyrektora Opery, co dekadę na bytomskiej scenie pojawia się jej nowa inscenizacja. Tak więc „Halka” stała się sztandarową pozycją w repertuarze tego teatru, bez niej nie może obyć się żaden jubileusz. O reżyserskich i inscenizacyjnych pomysłach na jej wystawienie napisano już chyba wszystko. Stała się więc „Halka” swoistym wyzwaniem dla realizatorów i wykonawców.

Oczywistą rzeczą było, że tak znaczny jubileusz, jak 75-lecie istnienia Opery Śląskiej, bez „Halki” obyć się nie może. Podjęto więc przygotowania do kilkunastu obchodów, które zaplanowano nie tylko w gmachu przy ulicy Moniuszki z udziałem stałych bywalców i gronem zaproszonych gości, ale także w plenerze, by w muzycznych działaniach mogła uczestniczyć bytomska społeczność. Zamiary te pokrzyżowała pandemia koronawirusa. Trudno było wyobrazić sobie śpiewaków wykonujących arie, balet w góralskich tańcach czy muzyków zamkniętych w orkiestronie w... maseczkach. A widownię wypełniała by zamaseczkowana publiczność. Wszystko to przypominałoby raczej jakiś eksperymentalny spektakl, niż długo oczekiwaną najprawdziwszą galę i wyjątkową ucztę muzyczną.

No i zrodził się pomysł jubileuszowej gali online. Realizację powierzono Maciejowi Znanięckiemu, który do dyspozycji miał nie tylko scenę wraz z zapleczem, ale także przestrzeń widowni z łóżkami i balkonami, bo widzowie w czasie trwania transmisji pozostali przed monitorami swoich urządzeń elektronicznych. W ten sposób, po raz pierwszy w historii Opera Śląska stała się prawdziwie teatrem wielkim!

Zaproponowany przez reżysera koncert jubileuszowy zatytułowany „Razem w każdym wymiarze” nie był jedynie internetową transmisją przedstawienia, lecz rozgrywającym się w przestrzeni całego teatru widowiskiem. Oczywiście punktem wyjścia musiała być „Halka”. I tu duża niespodzianka, możliwa dzięki nowoczesnym technologiom: na ekranie pojawił się Józef Homik – legendarny Jon-

tek z arią „Szumią jodły na gór szczyt”, a po chwili, w kulminacyjnym momencie utworu „przejął” ją przez Macieja Komanderę – odtwórca tej partii w ostatniej inscenizacji Moniuszkowego dzieła. Na scenie zasiadli prowadzący wieczór Regina Górawzewska-Griessgraber i dyrektor Opery Śląskiej Łukasz Goik, którzy zapowiadając kolejne popisy wokalne, wplatali w swoje opowieści znaczące dla dziejów Opery zdarzenia, odzywały nazwiska znakomitych artystów, którzy przez dziesięciolecia związani byli z tą sceną, a za sprawą pojawiających się na ekranie zdjęć archiwalnych, przed oczami widzów przemijała przebogata historia bytomskiej sceny.

Pojawienie się kolejnych wykonawców związane było z dziełami, które w minionym 75-leciu odnosiły wyjątkowe sukcesy i zachwycały wiernych tej scenie melomanów. Nie zabrakło więc fragmentów z takich oper jak „Nabucco” i „Traviata” Giuseppe Verdiego, „Madame Butterfly” Giacoma Pucciniego, „Cyrylika sewilskiego” Gioacchina Rossiniego, „Romeo i Julia” Charles’a Gounoda czy „Carmen” Georges’a Bizeta. Zaprezentowane zostały także arie z oper, które miały zagospścić na scenie w z początkiem tego roku, a uniemożliwiła to trwająca pandemia. Przed wirtualną publicznością wystąpili soliści Opery Śląskiej, a zatem, prócz wspomnianego Macieja Komandery, można było zachwycać się głosami, m.in. Anny Boruckiej, Gabrieli Gołaszewskiej, Anny Wiśniowskiej-Schoppy, Andrzeja Lamperta, Stanisława Kuflyuka, Kamila Zdebla. Gośćmi specjalnymi gali byli, współpracujący z bytomską sceną, Małgorzata Walewska i Aleksander Teliga, którzy na chwilę opuścili europejskie sceny, by wziąć udział w tym wyjątkowym wydarzeniu.

Punktem kulminacyjnym koncertu była prezentacja trzech fragmentów z „Don Carlosa” Giuseppe Verdiego. Absolutnie zachwycający był duet z „Don Carlosa” w wykonaniu dwóch rewelacyjnych basów: Aleksan-

dra Teligi (Filip) i Bogdana Kurowskiego (Inkwizytor). Znakomicie zaprezentowali się także Stanislav Kuflyuk (Markiz Posa) oraz Anna Borucka (Ebola). Z kolei Małgorzata Walewska błyszczała w ariach z „Rokiczany”, „Samsona i Dalili” oraz „Carmen” i „Trubadura”. Kierownictwo muzyczne jubileuszowego widowiska objął Franck Chastrusse Colombier. Solistom przy fortepianie towarzyszyli Larysa Czaban i Taras Hlushko, a także trio złożone z muzyków orkiestry.

Niepełna byłaby to jednak gala, gdyby zabrakło chóru, baletu i orkiestry. A i na ich udział znalazł się sposób: pojawił się na ekranie w wersji filmowej, a występy były fragmentami zarejestrowanych spektakli.

Wykorzystanie tej części teatru dla potrzeb inscenizacyjnych okazało się bardzo dobrym zabiegiem, a całości dopełniła scenografia dostosowana do każdej wykonywanej arii.

Koncert zakończyło wspólne odśpiewanie „Libiamo” i toast wzniesiony przez zespół solistów Opery Śląskiej wprost z ... widowni.



Andrzej Lampert w „Romeo i Julia”

foto: Karol Patyga



JAN MIODEK

Od Cieszyna do Bogumina, czyli opus vitae prof. Daniela Kadłubca

Honorowym Ślązakiem został prof. Daniel Kadłubiec w roku 2013. Dwa lata później uhonorowano go tytułem Ambasadora Polszczyzny poza Granicami Kraju za upowszechnianie i kultywowanie języka polskiego w środowisku Polaków na Zaolziu. Poświęciłem wtedy Profesorowi specjalny odcinek „Śląskiej ojczyzn polszczyzny”, wyrażając przy okazji swoje wyjątkowo ciepłe uczucia wobec tego regionu i języka jego mieszkańców, którego słucham z upodobaniem nie tylko podczas wizyt w Cieszynie i w okolicach po obu stronach Olzy, ale także w czasie corocznych konkursów gwarowych „Po naszymu, czyli po śląsku” (prof. Kadłubiec wiele razy był jednym z jurorów).

W tej chwili trzymam przed sobą liczący 639 stron dwujęzyczny tom *Od Tesina do Bogumina – Od Tesina k Bohuminu* (Bystrice 2019), prawdziwe opus vitae Daniela Kadłubca, efekt benedyktyńskiej pracy Profesora i kierowanej przez niego od roku 1965 Sekcji Folklorystycznej Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie. To wtedy zaczęto badania terenowe cieszyńskiej prozy ludowej na lewym brzegu Olzy, czyli na tzw. Zaolziu, i to na południu, a zatem w części beskidzkiej. Te wstępne penetracje przekształciły się w systematyczne poszukiwania w latach 1975–1992, kiedy zespół odwiedził 43 miejscowości między Czeskim Cieszynem a Boguminem, realizując 94 zadania badawcze wśród 240 autochtonów, żyjących na tej ziemi od wielu pokoleń. A plon tych badań jest imponujący: 1442 teksty obejmujące swym zakresem takie gatunki, jak kawały i anegdoty, opowieści z życia, podania wierzeniowe, podania miejscowe, nowele, legendy, bajki magiczne, podania ajtiologiczne (czyli wyjaśniające przyczyny powstania tradycji, zwyczajów, kultów religijnych, konstelacji gwiazdnych itp.), bajki zwierzęce i podania etymologiczne.

„Śląsk Cieszyński, zwłaszcza na lewym brzegu Olzy – pisze prof. Kadłubiec, jest jednym z nielicznych regionów, gdzie gwara rozbrzmiewa na co dzień, i to zarówno w życiu prywatnym, jak

i publicznym, jako język codzienny i świąteczny, obecny w tutejszej literaturze co najmniej od XVIII wieku. Jest to piękne i wartościowe. Trzeba też wyraźnie powiedzieć, że nie jest ona gorsza od języka literackiego. Obojętnie czy polskiego, czy czeskiego. Ona jest tak samo ważna, tyle tylko że ma swoją odmienną historię, inną gramatykę, poniekąd inne słownictwo, swoje konkretne miejsce w życiu danej społeczności, i to bardzo ważne. Wskazują na jej genezę historyczne uwarunkowania, ale też wrażliwość na wartość słowa, które nad Olzą było ważnym pokarmem duchowym. Mawiano tutaj, że głowa jest ważniejsza od żołądka, o czym świadczy również ogromne bogactwo prezentowanej tu tradycji duchowej, niesionej przez słowo gwarowe, które jest dla ogromnej rzeszy autochtonicznych Cieszyńiaków językiem pierwszym, wyssanym z mlekiem matki, stąd też formuje ich osobowość, cechy charakteru, świat wartości”.

Jaka jest ta charakterystyczna gramatyka autochtonicznych Dolan, czyli użytkowników gwary północnocieszyńskiej? – I tak nie mają oni samogłosek długich, lecz tylko wymawiane krótko. Utrzymują oni dawną wymowę takich form, jak *trześnia, czyrwiony, Pieter, Pietrowoce, Pietrówka, mietla, krzosać, czosać (czereśnia, czerwony, Piotr, Piotrowice, Piotrówka, mietla, krzesać, czesać*. Wzdłuż całej Olzy – jak we wszystkich śląskich gwarach – przymiotniki mają w rodzaju żeńskim brzmienie *dobro, bystro, wysoko (dobra, bystra, wysoka)*. Na południu i w środku ziemi cieszyńskiej, ale także w Grodziszczu, Mistrzowicach, Żukowie, Stanisłowicach i Stonawie słyszy się, że ktoś *szel do roboty, stało się to na szósty dzień, bedym stawiol, zostanym dōma*, na północ od tych miejscowości po sam Bogumin zaś – *szoł do roboty, stało się to na szusty dzień, bydym stawiol, zustanym dōma*.

Pod wpływem języka czeskiego pierwotne brzmienia *wiesioły, wiesiele* przekształciły się w postaci *wesoły, wesele*, na całym Śląsku Cieszyńskim natomiast mówi się *wiesioły, wiesieli*, co każdego roku słyszę na wspomnianym wyżej konkursie gwarowym „Po naszymu, czyli po

śląsku”, tak jak mówi się wszędzie *gańba, gańbliwy, gora, grziby, krziwy, krziz, a* w mowie starych Dolan do dziś występują archaiczne formy *zdrzódło, zdrzadło, strzoda (źródło, zrzadło „lustro”, sroda)*.

Do brzmienia *wiesieli* „wesele” dołączyć można i takie formy, jak *zdrowi „zdrowie”, śniodani „śniadanie” czy kozani „kazanie*. Utrzymują się także dawne dopełniacze *ze studnie „ze studni”, ze krwie „z krwi*”.

Starzy Dolanie mieli wyraźnie zarysowaną różnicę w użyciu zaimków zwrotnych *se* i *sie*. Mówili np. *kupiyem se koszule, zrobiym se pirzadek (czyli sobie)*, ale *napijym sie piwa, umyjym sie po szychcie*. Młodsze pokolenia – zapewne pod wpływem języka czeskiego – posługują się już tylko jednym zaimkiem *se: napijym se, umyjym se*.

I wreszcie piękne – w języku ogólnym dawno zapomniane – zaimki *ki, si, sia: na kigo diaska* (w języku literackim funkcjonuje do dziś *ki diabeł*), *pieknie nom rośnie latosi* („tegoroczne”) *ciele, latosio trowa była szumno* („tegoroczna trawa była piękna”). Funkcjonują i takie zaimki względno-pytające, jak *kie „kiedy” (kie do nas przidziesz?)*, *ka, kan „dokąd” (ka, kan idziesz?)*, *kasi „gdzieś” (kasi pójdym)*, *kiesi „kiedyś” (kiesi przidym)*. Od Suchej Górnej po Bogumin – jak precyzyjnie określa prof. Kadłubiec – usłyszeć też można zaimki wskazujące miejsce: *tamyk, tamek, tukej, tudykej* oraz czas: *terazy*.

Pokazane tu przykłady to zaledwie cząstka ogromnego materiału językowego tej książki. Przenosi on nas zarazem – co w odbiorze czytelnicznym jest jeszcze atrakcyjniejsze – w przebogaty świat ludzkiej fantazji wyrażony gatunkami wypowiedzi, które wymieniłem na początku niniejszego omówienia. Ileż trudu badawczego, jakiej mrówczej pracy wymagało zebranie tych wszystkich tekstów i ich opracowanie! Efekt tych działań jest imponujący. Zaiste, powstało opus vitae – dzieło życia prof. Daniela Kadłubca. Życia w gorącej miłości do ukochanego Zaolzia, do ukochanej ziemi rodzinnej. I w najszlachetniejszej służbie dla niej. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Erwin Sówka – potrzeba nowego spojrzenia...

Właśnie w tym miesiącu, 18 czerwca przypadają 84 urodziny jednego z najwybitniejszych polskich twórców. Kilka tygodni wcześniej minęła 60 rocznica jego małżeństwa z panią Imgardą. Od początku jest ona jedynym i ustawicznym natchnieniem artysty.

Z okazji zbiegu tych dwóch ważnych dla artysty dat warto spojrzeć krytycznie na narracje o twórczości Erwina Sówki. Trzeba się więc zgodzić z Andrzejem Urbanowiczem, malarzem, performerem który mówił: „*Erwin ty nie jesteś jakiś Ociepka, Gawlik, czy Krawczuk, jakiś tam malarz nieprofesjonalny, prymitywista*”. A dalej wyjaśniał, że uznaje Sówkę za prawdziwego odrębnego, niepowtarzalnego, niepokornego artystę. Byłem uczestnikiem owego spotkania, które odbyło się w pracowni A. Urbanowicza. Dowodził w tej rozmowie konieczności znalezienia klucza do opisu fenomenu tej twórczości, dziś nadal ów postulat jest ważny; nie został bowiem zrealizowany. Natomiast dominuje dość jednoznaczny – wręcz zadekretowany medialnie – uproszczony „opis” tego malarstwa. Bywa, że również w analogiczny sposób relacjonowana biografia artysty.

Spróbujemy przedstawić choćby fragmenty istniejącej narracji. Sam artysta uznaje je za „sówkową mitologię”. Istnieje zgoda, co do tego, że uważa się Sówkę za artystę wybitnego, podkreśla się jeszcze jego górnośląski rodowód, robotnicze korzenie, ale i autentyczne zafascynowanie regionalną kulturą. Jednakże sposób postrzegania przez E. Sówkę dziedzictwa kulturowego nie zawsze jest akceptowany. Bo oczekuje się raczej swoistego „kopiowania” polegającego na przedstawianiu tego, jak to „drzewiej bywało”, czyli po prostu „sielsko i anielsko”. Bez dylematów. W efekcie aktywne i twórcze podejście do tradycji, wynikające z przemyśleń artysty i ciężenia ku teraźniejszości nie jest zawsze akceptowane.

Bo któż ze zwolenników ortodoksyjnego poglądu zgodzi się z tym, że w obrazach Sówki dobroć utożsamiana jest z górą, np. Nikiszowcem, Śląskiem jako *małą ojczyzną*. A z kolei: *Dół* odpowiada złu, mrocznym czeluściom kopalni wraz z przebywającymi tam bóstwami i demonami chthonicznymi, z piękną patronką górników, świętą Barbarą – królową podziemi na czele.

Artyście wolno – a nawet powinien – proponować własny zamysł i ujawniać odczuwane rozterki współczesności. Dla potwierdzenia istnienia i funkcjonowania owego uproszczonego i dominującego przedstawiania twórczości artysty odwołam się do internetowego portretu Sówki. Czytamy tam, że jest to *polski malarz zaliczany do prymitywistów, emerytowany górnik (...) jedyny żyjący twórca Grupy Janowskiej (gdy z grupy odszedł Teofil Ociepka, wyznaczył go na swojego następcę, jako poważnie podchodzącego do okultyzmu, mistyki i śląskiego genius loci)*.

Mamy tu informacje jednoznaczne, ale niestety, jak to w internecie często bywa, niezgodne z prawdą. Określa się artystę jako prymitywistę. Trudno tę tezę przyjąć za uprawomocnioną opinię. Zwłaszcza w tym klasycznym, jak i obiegowym rozumieniu prymitywizmu. Bo czym innym jest odwoływanie się w tym nurcie do twórczości takich artystów jak Paul Gauguin, czy Paul Klee.

Nie był też E. Sówka współtwórcą grupy janowskiej. Przystąpił do niej konkretnie w 1956 roku. Wszak w momencie kiedy owa grupa powstawała artysta miał zaledwie 10 lat. A co znaczy twierdzenie, że był „twórcą pierwszego trzonu Grupy”. Poza wszystkim owa grupa artystów miała swoją konkretną, inną wówczas nazwę. Zgodną z nazewnictwem lat 40-tych XX wieku.

A dalej dowiadujemy się z owej internetowej informacji – ciągle obecnej

w wielu publikacjach – że Ociepka wyznaczył go jako swego następcę. Kiedy się to stało? W naszej rozmowie sprzed kilku dni artysta kolejny raz temu zaprzecza. Mówi, iż spotkali się zaledwie dwa razy; przelotnie. Poza tym znajomość okultyzmu przez Sówkę w momencie odejścia Ociepki z Nikiszowca do Bydgoszczy w 1959 roku była minimalna. Okultyzm poznawał później i to dzięki Bolesławowi Skulikowi, także malarzowi i członkowi Łoży Różokrzyżowców bazującej na myśli gnostyckiej. Lecz mitologia spotkania trwa, egzystuje często ułomne, bałamutne prezentowanie biografii i dorobku Sówki. Przykładów półprawd, ujęć uproszczonych i stereotypowych można przytoczyć wiele odwołując się do różnych tekstów prasowych.

Ale jest też i inne widzenie portretu. O refleksję nad twórczością Sówki apelowało wielu, w tym także nawet o gwałtowne „oderwanie” artysty od nurtu amatorskiego.

Przykładem potrzeby nowego spojrzenia jest też Aleksander Jackowski, antropolog i niekwestionowany znawca sztuki łart brut; ostatnio bohater wystawy zorganizowanej przez Muzeum Śląskie. On to właśnie w 2006 roku – w czasie naszego spotkania z udziałem krytyka sztuki Seweryna A. Wisłockiego – apelował o weryfikację uproszczonego oglądu malarstwa Sówki. Ten sam apel był też zawarty w wypowiedzi malarza, grafika i pisarza – Henryka Wańka, w Nakle w maju 2017 roku. Takich przykładów można mnożyć. Warto w tym kontekście przypomnieć wypowiedź Lecha Majewskiego. Stwierdza on, iż Sówka: *Musi malować, przetwarzać, asymilować bolesną codzienność w magię swoistego amalgamatu, religii, znaków, pojęć. Niczym alchemik wrzuca do kotła z farbami symbole zapomnianych wierzeń i kodeksów. I mieszka. Maluje. Zaklina. Przeklina*. Warto się nad tą diagnozą zastanowić.

Obserwuję z zacięciem działalność Mazowieckiego Teatru Muzycznego imienia Jana Kiepury, który w niełatwych czasach dla muzyki klasycznej pokazuje publiczności, że kocha operetkę – gatunek w ostatnich latach często niesłusznie poniżany. Młody, obchodzący swoje 15-lecie teatr, blakający się po różnych scenach i estradach, uzyskał wreszcie swoją stałą siedzibę w dawnym kinie Praha. Hol jest elegancki, sala ma wygodne fotele. Największym problemem jest niewielka scena, na której mogą odbywać się wyłącznie kameralne spektakle, koncerty i spotkania. Jednak – jak się okazuje – dla chcącego nic trudnego. Reżyser Łukasz Lech przygotował z okazji jubileuszu cykl koncertów „Zakochani w operetce” z udziałem kilkunastoosobowej orkiestry pod dyktando Mieczysława Smydy, solistów śpiewaków i kilku par baletowych. Z dużym trudem pomieścili się na scenie, pani choreograf musiała przerabiać niektóre układy ze względu na brak miejsca. Szkoda, że nie da się dobudować proscenium, co stałoby się kosztem dwóch rzędów widowni na około 300 miejsc – czyli i tak już niewielkiej. Kulisy są tak miniaturkowe, że artyści tłoczą się w nich w zaduchu i nie mają nawet odpowiednich warunków, aby się przebrać. Może uda się w przyszłości przebić ścianę i powiększyć przynajmniej trochę zaplecze. Kolejki pań do toalety wiją się też na kilkanaście metrów. Mimo tych niedogodności i tak publiczność jest szczęśliwa, że może tu przychodzić. Mazowiecki Teatr Muzyczny pokazuje też gościnnie spektakle operetkowe w Palladium, w samym sercu stolicy i na widowni są tłumy. Takie spektakle jak „Księżniczka czardasza” czy „Wesoła wdówka” zawsze mają pełną frekwencję.

Mam sentyment do tego teatru, kontynuującego działalność dawnej Operetki Warszawskiej, a potem Teatru Muzycznego Roma, który za dyrektora Bogusława Kaczyńskiego stał się jedną z najciekawszych w Europie scen operetkowych (słynny popularyzator muzyki wystawiał także z rozmachem opery, widowiska baletowe i spektakle dla dzieci). Miły jest też fakt, że na patrona obrano słynnego śpiewaka, „chłopca z Sosnowca” – Jana Kiepury, który nie gardził operetką. Wielkim powodzeniem cieszyła się na przykład, wystawiona przez niego w Nowym Jorku na Broadwayu, „Wesoła wdówka”, w której stworzył niezapomniany miłosny duet ze swoją żoną Martą Eggerth.

Brawo dla MTM za popularyzowanie pięknej muzyki i dawanie Widzom rozrywki na wysokim poziomie artystycznym! Niech ten teatr żyje nam co najmniej 100 lat!

Pani Dyrektor Iwona Wujastyk powiedziała we wzruszającym przemówieniu do



Grażyna Brodzińska tańczy

fot. MTM im. Jana Kiepury

Teatr imienia Kiepury i Grażyna Brodzińska

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

publiczności za pośrednictwem Facebooka i portalu www.mteatr.pl: „Szanowni Państwo, chyba nikt z nas nie spodziewał się, że tak będą wyglądać piętnaste, jubileuszowe urodziny Mazowieckiego Teatru Muzycznego imienia Jana Kiepury. Mieliśmy wszyscy spotkać się w naszej nowej siedzibie przy Jagiellońskiej 26. Miało być wspaniałe widowisko jubileuszowe Zakochani w operetce, mnóstwo muzyki, tańca i rozrywki...” Dyrektorka miała przed sobą na stole tort, a obok niego dwa aniołki, dające nadzieję na wspólne śpiewanie i muzykowanie.

Natomiast dyrektor artystyczny, Jakub Milewski, zgrabnie wyreżyserował internetową wersję jubileuszowej piosenki „Czeka na Was kolorowy świat, za kurtyną się nie liczy lat, woda w szampan zmienia się, każdy smutek w śmiech w naszym MTM...” z udziałem swoim, a także innych ulubieńców publiczności: Anny Lasoty, Iwony Sochy, Jakuba Oczkowskiego oraz nieocenionego Łukasza Lecha – reżysera i narratora jubileuszowej gali Zakochani w operetce, prezentowanej w ciągu tego roku w różnych odsonach z udziałem wielkich gwiazd.

Pamiętam, jak podczas ostatniego widowiska z udziałem publiczności, przed atakiem koronawirusa w Polsce, miałem ogromną przyjemność zobaczenia i posłuchania na żywo nie gwiazdy, lecz brylantu polskiej sceny muzycznej, jakim jest

Grażyna Brodzińska. Śpiewaczka pojawiła się najpierw nie na scenie, lecz na widowni Mazowieckiego Teatru Muzycznego, wzbudzając ogromną sensację i okrzyki radości. Wykonała brawurowo Tangolitę z „Balu w Savoyu” Paula Abrahama. To idealna partia dla królowej operetki, zarówno wokalnie, jak i scenicznie. Operetkowa Tangolita jest tancerką, a wiadomo powszechnie, że Grażyna Brodzińska to najbardziej roztańczona śpiewaczka operetkowa w Polsce. Rusza się i wygląda zjawiskowo. Miała na sobie przepiękną suknię, idealnie dopasowaną do jej talii i bioder, bardzo wąską, a później pięknie rozszerzającą się na dole, z niesamowitym dekoltem, cudownymi rękawami z falbankami, które przez cały czas otwierały się i zamykały jak ślimak stukający w muszlę. Suknia była jak malowana w przepiękne kwiaty. Nie można było odebrać oczu od niej, a przede wszystkim od jej właścicielki. Uroku dodawały jej jeszcze klipsy z wielkimi czerwonymi kołami, uroczą tańczącą w sobie tylko znanym rytmie.

Grażyna Brodzińska zaśpiewała idealnie czysto, ruszając się z ogromną gracją, kokieterią i temperamentem. Jej głos brzmiał świeżo, a miała wówczas cały tydzień ogromnie obciążony próbami, dwoma spektaklami „Wesołej wdówki” w Palladium i koncertem poprzedniego dnia. Jak to możliwe? Wspaniała technika, ciężka praca i ciągła nauka, przez całe życie.



Grażyna Brodzińska na widowni

Ludzie krzyčili: Bis, bis! Zwłaszcza pan, którego znam jeszcze z Sali Kongresowej w Warszawie, kiedy mieliśmy jako Gliwicki Teatr Muzyczny koncerty galowe i spektakle, zapowiadane przez niezapomnianego i niezastąpionego mistrza Bogusława Kaczyńskiego, a organizowane zawsze znakomicie przez Biuro Promoton Barbary Kaczmarkiewicz. Ten pan sprzedawał bilety w dawnym Supersamie w Warszawie. Jest chyba na każdym przedstawieniu operetkowym w Warszawie. Ale radość i entuzjazm udzieliły się całej publiczności.

Łukasz Lech zaprosił Grażynę Brodzińską do rozmowy na scenie. Artystka barwnie opowiedziała o swoim debiucie scenicznym w Operetce Szczecińskiej, gdzie jej tata Edmund Wayda był dyrektorem. Zagrała piątego ptaszka w „Czerwonym kapturku” i nawet zaśpiewała jedną zwrotkę piosenki. Potem wspominała wspaniały okres warszawskiego Teatru Roma za dyrekcji Bogusława Kaczyńskiego (1994-1998), kiedy widownia pękała w szwach i produkowane były drogie inscenizacje spektakli operetkowych, operowych i baletowych. Szczególny sentyment miała do cyklu koncertów „Wielka sława to żart”. Gdy występowali w USA i Kanadzie, na tych wyjazdach było bardzo miło i ciekawie. Pan Bogusław potrafił prawie do rana siedzieć na kolacji i opowiadał wspaniałe anegdoty. Był kochany, wspaniały. Gdyby żył, obchodzilibyśmy 2 maja Jego 78. urodziny.

Sławna artystka przypominała też historię z samolotu. Były 4 wolne miejsca

na pokładzie, które zostały zajęte przez ogromny czarny wór z jej sukniami. Nagle pewien zdenerwowany pasażer powiedział, że nie będzie lecieć samolotem z nieboszczykiem. Pani Grażyna otworzyła wór, wyciągnęła wszystkie suknie i pokazała, że nie ma tam żadnego trupa. Z sukniami wiąże się jeszcze wiele anegdot. Na przykład w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego podczas gali sylwestrowej pani Grażyna zatańczyła fragment instrumentalny „Przetańczyć całą noc” z wiolonczelistą, który niestety nadepnął jej na tren. Pękała jej haftka i zepsuł się zamek, w związku z czym spódnica zaczęła opadać do kolan. Pani Grażyna złapała ją w ostatnim momencie, a cała męska część publiczności domagała się bisu. Natomiast w Sali Kongresowej w Warszawie zdarzyła się taka historia, że również podczas „Przetańczyć całą noc” nagle spadł jej duży klips na widownię. Poprosiła publiczność, by pomogła go znaleźć. Pan Bogusław Kaczyński, który prowadził galę, zaniepokojony ciszą, wszedł na scenę i zobaczył połowę widzów wyglądających jak stado strusi z głowami w piachu. Po chwili jednak pewien pan znalazł klips i można było wznowić koncert.

– Prywatnie, proszę Państwa, jestem skromna i przemykam czasem niepostrzeżenie. Natomiast na scenie jestem jak czołg, wstępuje we mnie jakiś diabeł – stwierdziła artystka.

Zaśpiewała jeszcze wspaniałe poruszającą, pełną skrajnych emocji pieśń „Graj cyganie” z „Perły z Tokaju” Raymonda, kończącą się frenetycznym ryt-

mem i tańcem. Brawo! To była prawdziwa perła wieczoru.

Przypomniali mi się cudowne lata, kiedy w Gliwickim Teatrze Muzycznym realizowaliśmy z myślą o Pani Grażynie Brodzińskiej takie spektakle jak „Wiedeńska krew” w reżyserii Michała Rosińskiego, „Wesoła wdówka” czy musical „42 Ulica” w inscenizacji Marii Sartovej, a ja miałem przyjemność reżyserować widowiska muzyczne „Wiedeń moich marzeń” i „Europa moich marzeń”, które prezentowaliśmy w różnych miastach Polski, także w Sali Kongresowej w Warszawie.

Ile razem przeżyliśmy wielkich radości i codziennych teatralnych trosk! A jakie wspaniałe były wspólne wyjazdy na Europejski Festiwal im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju! Pani Grażyna miała piękny apartament w Małopolance, a ja z dyrektorem Pawłem Gabarą sprawdzałem wieczorem, kiedy gasi światło. Gdy paliło się do północy, rano otrzymywała serdeczne reprimendy, że powinna się bardziej wysypiać przed występem. W ciągu festiwalowego dnia na krynickim deptaku razem z Bogusławem Kaczyńskim rozdawała autografy i pozowała do zdjęć, obsypywana komplementami setek melomanów z kraju i ze świata, a wieczorem była królową nacieszenia.



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego

Niezwykły przypadek Dory Reym

IZABELA TUMAS-MATUSZEWSKA

Od pewnego czasu z podejrzliwością patrzę na przedwojenne budynki Będzina. Dokładniej: od 2006 roku, kiedy to z wielką pompą wydano zapiski Rutki Laskier. W nieświadomości, że oto w tych murach działo się coś istotnego, przez lata deptę chodnik obok domu, gdzie w 1943 roku dziewczyna notowała relacje z czasów wojny. Jak na ironię losu czternastolatka zginęła w Auschwitz, a jej cienki zielony zeszytek przetrwał – przez te wszystkie lata przechowywała go jej znajoma, Stanisława Sapińska. Tak więc lustruję powstałe przed wojną domy, jakbym tym razem nie chciała dać się zaskoczyć, a jakimś cudem odkryć tkwiące w milczących ścianach tajemnice o tych, co tam mieszkali, odsłonić ich związki z historią tego miasta, umiejscowić znowu w czasie i przestrzeni.

Kompasem, który naprowadza mnie co i rusz na okoliczności związane z wojenną historią Będzina jest wrażliwość na ten moment jego dziejów, jakaś podskórna łączność z tymi, co wtedy żyli. To trochę za sprawą opowieści babci, ale też dlatego, że wychowałam się w miejscu, gdzie rozegrały się tragicznie wydarzenia – na Kamionce, najstarszej części osiedla Warpie. Z opowieści babci wiem, że przed wojną był to teren upstrzony lepiankami i ziemiankami, w których wegetowali bezrobotni, także ci, którzy czasowo tracili pracę w pobliskich kopalniach. Wydobywali wtedy węgiel na własną rękę w tzw. „biedaszybach” i bywało, że zasypywani – tracili w nich życie.

Tablica

Właśnie tutaj, na obrzeżach miasta, w najbiedniejszej dzielnicy Będzina, hitlerowcy tworzą getto. Ostatnie miesiące życia spędzą w nim żydowscy mieszkańcy, których stłoczono w nieludzkich warunkach, zanim 1 sierpnia 1943 roku pognano do wagonów na mocy decyzji o ostatecznej likwidacji tego miejsca. Nie wszyscy jednak stają w grupie, której kazano wędrować w dół ulicy do stacji kolejowej, a dalej do celu, co do którego nie mieli złudzeń. Są też tacy, co wyrażają sprzeciw i – choć bez szans na zwycięstwo – nie pozwalają ustawić się w szeregu.

Na pamięć znam słowa, które opisywały ich koniec, płowiąły bowiem na tablicy zawieszanej na ścianie



Tablica przy ul. Rutki Laskier 24 w Będzinie umieszczona tam w 1947 r., odnowiona przez Fundację Brama Cukermana i odsłonięta ponownie 7 września 2017 r. Fot. arch.

domu, gdzie przez lata mieszkalam: *Dnia 3.8.1943 r. zginęli w bunkrze na tym podwórzu w nierównej walce z najjeźdźcą hitlerowskim członkowie Droru i Poale, Sjonc (C.S.) Frumka Plotnicka, Herszel Szpryngier, Baruch Gaftek i ich towarzysze (...) Pamięć ich będzie wiecznie! (...)* To zdołam odczytać z wyblakłych wtedy liter i tyle

pewnego razu poprawiam, wypełniając czarną farbą zagłębienia w jasnym kamieniu. Robię to dla tych, którzy w poszukiwaniu korzeni i śladów przeszłości przyjeżdżają z daleka na podwórze tego domu.

Najpewniej w 1993 roku miejsce odwiedza Mira Reym Binford, która zbiera materiały do swojego filmu „Diamonds in the Snow” (1994) – o trzech dziewczynkach z Będzina, które przetrwały wojnę. Jedną z nich jest ona sama. Miała pięć lat, kiedy jej matka i ojciec postanowili przecześć w ukryciu likwidację getta. Ich przypadek jest niezwykły, bo mimo że ostatecznie nie udało im się uciec w bezpieczne miejsce i zostali rozdzieleni – los pozwolił cieszyć się rodzinie wspólnym życiem jeszcze przez długi czas. W latach siedemdziesiątych Mira nakłania matkę do pisania wspomnień, a ta – wbrew początkowemu oporowi – przelewa na papier relację ze szczęśliwych lat w Będzinie sprzed wojny i koszmarnych z czasów jej trwania.

Zanim nastąpiło piekło

O filmie Binford i historii jej rodziny dowiaduję się dopiero w 2018 roku podczas promocji wydanych przez Fundację Brama Cukermana wspomnień Dory Reym „Hob betuchen! Miej nadzieję!” Przywieram do nich jak do dawno wyczekiwanego gościa, co przynosi najświeższe wiadomości.



Będzin, ul. Małachowskiego 36. W tym budynku na 3. piętrze Rembiszewscy mieszkali do 1941 r.

fol. Izabela Tumas-Matuszewska



BĘDZIN. Ul. Małachowskiego.

Pocztówka: Będzin, ul. Małachowskiego. [Wyd.: „Ruch”, 1935–1944]. Ze zbiorów Polony, Public Domain.

Odsłaniają mi tajemnice miejsc, które dobrze znam, i które od zawsze uważałam za swoje. Śledzę więc Dorę za jej przyzwoleniem i z jej zachętą odkrywam Będzin, którego dawno już nie ma.

Ester Doba Pacht (Dora Reym) rodzi się w Wyszkowie. Do Będzina przybywa z matką i ojczymem, już tutaj na świat przychodzi jej rodzeństwo. Zazna wiele szczęścia w mieście, nad którym górują wtedy malownicze ruiny XIV-wiecznego zamku. Wśród pozostałości dawnej warowni obronnej spotyka się z koleżankami, a potem umawia na randki z narzeczonim. Cztery lata przed wojną wychodzi za Mońka Rembiszewskiego. Młodzi zamieszkują przy Małachowskiego 36.

To główna, reprezentacyjna ulica Będzina, na której tętni życie: pełna jest sklepów, kawiarni, restauracji, stoi przy niej hotel Bristol, kino Corso, przedłuż ulicy rosną niskie drzewa, przysiadając jej uroku, a śródkiem – hałaśliwie bujając się na torach i pobrzękując – jeżdżą tramwaje. W okresie przedwojennym Małachowskiego jest chyba jednym z najczęściej fotografowanych miejsc w Będzinie, zaraz po malowniczych ruinach na Wzgórzu Zamkowym. Rok przed wojną na świat przychodzi jedyne dziecko Rembiszewskich, Mirusia, oczko w głowie obydwu rodzin. Moniek, który jest zapalonym fotografem, rokrocznie w dniu urodzin córki robi jej zdjęcie – dwie odbitki przetrwają w wo-

jennej zawierusze – po jednej u każdego z rodziców.

Dora często bywa z córką w mieszkaniu matki przy ulicy Modrzejowskiej 70, gdzie odbywają się spotkania rodzinne. Chyba tam najczęściej słyszy słowa rodzicielki: *hob betuchen!* – co znaczy „miej nadzieję!”, które okazują się wielką pociechą w czasie wojny. Dokładnie przy tej samej ulicy, ale po przeciwnej stronie, pod numerem 87 matka Dory prowadzi rodzinny biznes – przetwórnię „Owoc”. Dziś ulica ta zdaje się pogrążona w letargu – ciszę tylko od czasu do czasu przerywa syrena, bo ochotnicza straż pożarna ma swoją siedzibę przy ul. Modrzejowskiej, ale trzeba wiedzieć, że przed wojną kwitło tutaj życie handlowe. Było tłumnie i gwarno za sprawą codziennej krzątaniny interesantów, kupców i właścicieli przedsiębiorstw maści wszelakiej.

Kiedy nikt w Będzinie nie wie jeszcze nic o Dorze, pod wspomnianym adresem fotografuję sztyl wytwórni soków owocowych i naturalnych Chany Blumenkranc – matki Dory, która po śmierci drugiego męża prowadzi interes z dziećmi. (Zdjęcie tego i innych sztyldów, odtworzonych ze starej książki telefonicznej przez (wówczas) Inicjatywę Brama Cukermana, potrzebne są mi do projektu edukacyjnego o historii miasta, który realizuję ze swoimi uczniami.) W czasie wojny „Owoc” zmieniła właścicielką, potem zostanie połączony z innym

przedsiębiorstwem, a na koniec majątek firmy zostanie rozkradzony przez Niemców. W styczniu 1945 roku Dorze udaje się odzyskać jedynie butelkę esencji pomarańczowej, którą znajduje zamrożoną na podwórzu oraz kilogram sacharyny...

Początek końca

Tymczasem trwa wojna, mnożą się obostrzenia i zakazy – Żydzi nie mogą wychodzić na główną ulicę, jeździć tramwajami, muszą oddać wszystkie kosztowności, a do ubrania przyczepić *Judenstern*. Wygodne mieszkanie przy Małachowskiego Rembiszewscy opuszczają pod koniec 1941 roku. Zabierają tylko pamiątki: trochę porcelany, kryształ, albumy ze zdjęciami. Szlak ich przeprowadzek wiedzie przez ulicę Podjazie, aleję Kołłątaja, aby w 1942 roku – jak wszystkich Żydów z Będzina – zakończyć się w getcie na Kamionce. Trzymają się razem z rodzicami Mońka. Znam dobrze budynek, do którego zostają przeniesieni przy ówczesnej Kasernenstrasse 5 (obecnie ul. 1 Maja), mieszkała tam moja koleżanka – to charakterystyczny narożny dom z cegły, do tej pory nieotynkowany. Stał przy samej granicy getta, za nim rozciągało się pole, a tuż obok tkwiła stara chałupa. Moniek i Dora przysposobili ją do zamieszkania, a za szafą urządzili kryjówkę szeroką na metr – z materacem i poduszkami. Śpią tam co noc, bojąc się łapanek na terenie getta, a po-



nieważ te się nasilają, dodatkowo kopia pod chatą bunkier. Nie będzie jak inne tego rodzaju miejsca, które w niedalekiej przyszłości zostaną ostrzelane lub z których wywlecze się ludzi, żeby ich ciała przysypać potem wapnem i zostawić na podwórzu, jak to miało miejsce przed tamtym domem z tablicą przy Rutki Laskier 24. Bunkier Dory i Mońka przyczyni się do ocalenia im życia.

Zanim jednak wykorzystają swoją kryjówkę żona ma okazję wykazać się odwagą i brawurą, bo jej mąż zostaje zatrzymany w związku ze sprawą nielegalnej sprzedaży arkusza żelaznego. Dora postanawia ratować Mońka. Ładnie się ubiera (jak opisuje: w malinową garsonkę) i – stawiając wszystko na jedną kartę – jedzie tramwajem do Katowic. Bez przepustki, bez obowiązkowej gwiazdy Dawida, udaje, że czyta książkę. Stara się być naturalna i swobodna, chociaż litery skaczą jej przed oczami. Idąc już ulicami Katowic wspomina: „Zaledwie trzy lata temu wraz z Mońkiem spędziłyśmy wiele przyjemnych godzin w tym żywym, kosmopolitycznym mieście, chodząc na koncerty lub do opery” (wszystkie cytaty pochodzą z jej książki). W drodze do Urzędu Celnego słyszy jeszcze „takty muzyki dobiegającej z daleka, z kawiarni, które niegdyś należały do Żydów”. Idzie wprost do urzędu i żarliwie zapewnia o niewinności męża. Czy to jej urok osobisty, czy miękkie serce inspektora Derringa – nie wiadomo, faktem jest, że udaje jej się go przekonać – Moniek zostaje zwolniony, pod warunkiem jednak, że stawi się na żądanie. Niedługo potem musi pilnie się ukryć, bo taka prośba rzeczywiście przychodzi.

Dawne opowieści mojej babci o tym, że przed wojną po Czarnej Przem-

szy pływało się łódkami gotowa byłam wsadzić między bajki, bo jak to? Przecież rzeka jest wąska, uregulowana, płynie wartko równym korytem. Ale kiedy Dora szuka kryjówki dla Mońka, wody rozlewają się pod ruinami zamku szerokim łukiem, a jej brzegi porastają wysokie zarośla. Właśnie nieopodal, w opuszczonej chacie przy ul. Podzamcze stoi stara chata, w której Moniek spędzi pół roku, w tym zimę na przełomie 1942 i 1943, całymi dniami leżąc pod kołdrą, żeby nie zamrznąć. Dora co tydzień przynosi mu jedzenie, z duszą na ramieniu przemykając pomiędzy dwoma cmentarzami – katolickim i kirkutem. „Niewiele mogliśmy sobie dać, poza miłością i nadzieją, której nigdy nie straciłam, nawet w najciemniejszych chwilach życia” – wspomni potem. Ponieważ Urząd Celny nie odpuszcza i dopytuje o Mońka, Dora ubiega się o wstawiennictwo znanego prawnika, a potem wybiera się na rozmowę do sekretarza niemieckiego urzędu cywilnego. Ten – deklarując się jako przyjaciel Żydów – obiecuje pomoc. Kilka tygodni później na oczach Dory pali teczkę z dokumentami jej męża w sprawie aresztowania, uwalniając go tym samym z kryjówki. Moniek może wreszcie wrócić do żony i córki, na nędzną Kamionkę, do tego przekłętą miejsca, gdzie po raz ostatni każde z małżonków zobaczy swoją rodzinę. Rodzice Mońka trafiają do Auschwitz wcześniej, po łapanie na terenie getta jeszcze przed jego likwidacją, zaś rodzina Dory właśnie wtedy, w sierpniu 1943 roku. Ktoś z Będzina na obozowej pryczy wspomni, że kiedy po jej bliskich przyszli esesmani, Jakub, młodszy brat, próbował wyrwać jednemu z nich karabin i zastrzelono go na miejscu.

Bunkier i obóz

Kiedy kula dosięga Jakuba, Rembieszewscy z pięcioletnią Mirusią siedzą już w wykopanym przez siebie bunkrze. Nora, w której z ledwością się zmieścili, pozostaje ciemna i zimna, bo jedyny dopływ powietrza i światła jest możliwy dzięki niewielkiej dziurze wychodzącej na znajdujące się za domem pola. Te same, po których gończyliśmy w dzieciństwie z koleżankami, niepomnie tego, że ziemia ta kryła kiedyś trójkę z naszego miasta, która bardzo chciała przeżyć. Lichy schowek jest im domem przez siedem dni, trwają tam niedożywieni i bez picia, odchodząc od zmysłów. Kiedy decydują się na wyjście Będzin jest już *Judenrein* – oczyszczony z Żydów i nikt nie może im pomóc bez narażania się na niebezpieczeństwo. Mają szczęście, że po prostu ich nie zabito, tylko skierowano do obozu pracy w dzielnicy Małobądz.

Mirusia zostaje ukryta na strychu, a jej nieobecność nie umyka uwagi oficera następnego dnia podczas apelu. Jako matka dziecka, które nie powinno w tych warunkach zginąć, Dora zostaje skierowana do transportu do Auschwitz. Na przystanku w Sosnowcu niepostrzeżenie wmiesza się w grupę innych Żydów, a znajomy policjant pomaga jej trafić do ekipy, która wyrusza sprzątać zlikwidowane getto na Środuli, obok Będzina. „Stamtąd udałam się przez pole do Rossnera gdzie pracowali Żydzi z obozu w Małobądz” – pisze Dora, i nie ma w tych słowach ani cienia grożącej jej śmierci, gdyby została złapana podczas tej ucieczki. U będzińskiego przedsiębiorcy, który prowadził sieć szwalni, tzw. szopów i znany był z pomocy Żydom, Dora zmienia wygląd – obcina włosy, przebiera się, a znajomi pomagają wrócić jej na Małobądz, do męża i córki. Od razu ukrywają Mirusię – w stajni obozowej pod podłogą, gdzie przebywa już jedna kobieta ze swoim dzieckiem.

Jakiś czas później więźniowie obozu zostają przeniesieni do dawnych koszar wojskowych przy dworcu kolejowym. To kolejny punkt na mapie Będzina, z którym w jakiś sposób jestem związana – niektóre z tych budynków odnowiono, w jednym z nich mieszka moja mama. Odkąd znam historię Dory trudno mi o tym nie myśleć – za każdym razem, kiedy tam jestem, wyobrażam sobie, jak siedzi gdzieś tu na schodach i myśli, co dzieje się z jej córeczką, czy jest jej dobrze u obcych ludzi? Bo Mirusię udaje się uratować. Wszystko dzięki temu, że Dora i Moniek byli wśród tych więźniów, którzy codziennie wracają z koszar do pracy na Małobądz. Pewnego dnia Dora obiecuje znajomej, która oddała ma-

lutkie dziecko na przechowanie pewnej folksdojczce z Królewskiej Huty, że będzie obserwować, kiedy tamta przyjdzie pod obóz pokazać, że niemowlę ma się dobrze. Panie przychodzą we dwie i wtedy Dora wpada na pomysł, że jedna z nich mogłaby przecież przygarnąć Mirusię! Drżącymi dłońmi piszą z Mońkiem gryps z prośbą i rzucają pod nogi spacerujących kobiet. Odpowiedź jest następująca: *przyręchtujcie...* Dora wie, że to jedyna szansa na ocalenie, zabiera córeczkę ze schowka pod stajnię, obiecuje, że niebawem do niej dołączy, ociera jej łzy, a Moniek podnosi małą do góry i przekazuje komuś po drugiej stronie muru. W tym czasie inni więźniowie próbują odciągnąć uwagę strażników od tego miejsca. To kolejne niezwykłe zdarzenie w życiu tej rodziny – wszystko się udaje, nikt nie zauważa ucieczki dziewczynki z obozu, tylko Dora zalewa się łzami, powtarzając „Mojego dziecka już nie ma!”

Ocalenie

Mirusia trafia do Sosnowca, na Sielec, do domu państwa Dyrdów przy ulicy Świętej Barbary 12b. Maria Dyrda to siostra tej, która przygarnęła malutkie dziecko i przyszła pokazać je pod obóz (nazywała się Klara Zroska). Siostry – z domu Madaiskie – mają dobre serca, pochodzą ze śląskiej rodziny folksdojczów, obie zamężne są z Polakami. Dyrdowa ma już starsze dzieci: Urszulę i Pawełka. Jest dobra dla dziewczynki, dba o nią i traktuje jak swoją. Niestety, po kilku miesiącach umiera. Rodzeństwo musi więc zdobywać pożywienie dla całej rodziny, bo w domu przebywa jeszcze Paweł Dyrda, ich ojciec, który ukrywa się za odmowę podpisania folkslisty. Kiedy do domu przychodzi ktoś obcy, on i Mirusia chowają się za szafą. To schronienie nie jest dziewczynce obce, jednak przebywanie w ciasnym ukryciu z obcym mężczyzną nie może być komfortowe. Dyrda nie wyda Mirusi, rodzina bezpiecznie przechowa ją do momentu powrotu Dory, ale chwilami będzie wobec małej apodyktyczny, tresując ją w czytaniu, pisaniu czy recytacji, a zdarza się też, że użyje pejcza. Po wojnie Paweł Dyrda zostanie uznany za folksdojczę i zdrajcę, ale Dora uchroni go od śmierci, zaświadcza, że ocalił życie jej córki.

Patrycja Dołowy książce, będącej zapisem rozmów z dziećmi Holocaustu, nadała tytuł „Wróć, gdy będziesz spała” (Czarne, 2019). Między innymi te słowa słyszały dzieci żydowskie zostawiane przez matki u obcych, żeby zwiększyć ich szansę na przeżycie. Większość tych kobiet nie wróciła nigdy, ani we śnie,

ani na jawie, więc Mira należy do szczęśliwców, którym zwrócono oboje rodziców.

Życie w nadziei

Według relacji Dory zimą 1944 roku z Będzina do Auschwitz–Birkenau trafia najpierw Moniek, niedługo potem ona. Jakaś ręka opatrności czuwa wtedy nad nią, jako jedna z nielicznych z transportu zostaje wybrana do pracy w fabryce zapalników do pocisków artyleryjskich „Union Werke”. Musi być na nogach nocą, kontroluje jakość pocisków, ale ma przynajmniej dach nad głową, ciepło, a w dzień może odpocząć. Przywyka do warunków obozowych, nadzieją napawa ją fotografia dziecka, która przetrwała przyklejona pod podeszwą jej stopy. Zimą Dora znajduje w śniegu mały brylant, ale oddaje go za kawałek chleba – kosztowności na nic więcej nie mogą się tam przydać. Ten motyw jej córka wykorzysta w przyszłości, umieszczając „diament” w tytule swojego filmu.

Ale to nie koniec niezwykłych przypadków w życiu Dory. W styczniu 1945 roku udaje jej się uciec z marszu śmierci zaraz pierwszego dnia. Razem z koleżanką trafiają do Poręby koło Pszczyny, gdzie ukrywają się przez chwilę u Marty Copek i jej matki. Potem jadą do Katowic, a stamtąd tramwajem do Sosnowca. Tym razem podróż przebiega bez strachu, Dora dookoła słyszy już tylko język polski, nie niemiecki, jak wtedy, kiedy wybrała się załatwić sprawę Mońka. Urządza się w Sosnowcu przy ulicy Wspólnej 6, próbując nadrobić z córką stracony czas.

Po kilku miesiącach znajduje ją tam Moniek, który był więźniem Blechhammer, Gross–Rosen i Buchenwaldu i również przeżył „marsz śmierci” między obozami. W Langenstein–Zwieberge znosił nieludzkie warunki przy budowie podziemnych tuneli do produkcji samolotów wojskowych. Rodzinie Mońka widocznie pisane było życie, bo mimo iż zarządzono kolejny marsz ewakuacyjny, on ukrył się w latrynie, a kiedy znajduje go tam Niemiec i próbuje zmusić do wyjścia z obozu, wycieńczony Rembiszewski odmawia. Niemiec zostawia go przy życiu, twierdząc, że szkoda na niego kuli, bo i tak zdechnie... Wszyscy ewakuowani wtedy więźniowie zostali rozstrzelani w lesie. Po wyzwoleniu obozu przez amerykańców Moniek leczy się w Halberstadt i przez przypadek odwiedza pobliski obóz kobiecy. Spotyka tam dziewczęta z Auschwitz i od nich dowiaduje się, że Dora żyje. Z ocalałymi przyjaciółmi zdobywa więc samochód i dociera nim do granicy z Polską, a stam-

tań – z oddziałem polskim wracającym z frontu – znów do Katowic. Wydaje się, że w życiu tych dwojga wiele dróg prowadzi do tego miasta.

Nowy początek

Rembiszewscy nie zdecydowali się zostać w Polsce – w 1947 przez Czechy wyruszają do Niemiec. W bawarskim miasteczku Schwandorf cztery lata czekają na wizę do USA, by wreszcie osiedlić się w Nowym Jorku. Już w podeszłym wieku Dora uczy się rysować i malować, co zawsze ją pociągało. Trzy lata przed setnymi urodzinami prezentuje nawet światu swoje prace na wystawie w Connecticut. Są to głównie obrazy olejne i akwarele: martwe natury, pejzaże, ale również portrety. Z tęsknoty za światem, który straciła w Holokauście, narysowała węglem członków swojej rodziny, których zamordowali Niemcy.

W roku 1974 na prośbę córki Dora zaczyna spisywać swoje wspomnienia z czasów wojny. Zaczyna z niechęcią, ale potem przyznaje: „Jak tylko zaczęłam pisać, nie mogłam przestać. Czulałam się, jakbym miała w sobie truciznę, którą muszę zwymiotować”. Kiedy Moniek zachoruje Dora całkowicie rzuca malowanie i pisanie, poświęca się wyłącznie opiece nad mężem, który umiera w 1996 roku. Książka „*Hob betuchen! Miej nadzieję!*” zostaje wydana trzy lata po śmierci jej autorki. Do druku przygotowała ją profesor Mira Reym Binford, która jako dziewczynka przez tydzień leżała w bunkrze getta będzińskiego, przefrunęła przez mur obozu w Małobądzu i długo czekała w szafie na swoją niezwykłą matkę i prawdziwe życie. ■

Dora Reym „Hob betuchen! Miej nadzieję! Wspomnienia Dory Reym z czasów Holocaustu” pod red. Miry Reym Binford. Będzin 2018.



Szypułki

Michał Paweł Urbaniak

Pamięci Jadwigi Marty Urbaniak (1929–2017)

Koraliki porzeczek spadały czerwonym gradem do sporej miski, takiej, w której można moczyć zmęczone stopy, albo przyrządzić ciasto na naleśniki dla całego batalionu. Była jasnoniebieska. Jeszcze jeden artefakt tamtego lata – razem z sierpniem, okropnym słomkowym kapeluszem, ciepłym powietrzem.

Przez ostatnią godzinę on i babcia stali w ogródku na posesji obok. Zaprzyjżnięni sąsiedzi pozwalali porzeczkom rosnąć u siebie, ale nie zamierzali ich zrywać. Nie robili konfitur czy kompotów. Możliwe, że w ogóle nie lubili porzeczek, dlatego tak chętnie je oddawali. Był zbyt nieśmiały, aby o to zapytać.

Miał może z dziesięć lat. Brał w palce cienką, śmieszoną szypułkę obciążoną napęczniałymi porzeczkami. Błyszczały w słońcu. Czasem kusiły tak, że nie mógł się powstrzymać. Zamykał na nich usta, szarpał, wyciągał ogołoconą szypułkę, już niepotrzebną. Rozgryzał tę piękną czerwień, uwalniał smak, ni to cierpki, ni to słodki. Nigdy nie umiał zdecydować, czy naprawdę lubi porzeczkę. A może to była tylko kolejna z letnich zabaw, z których kiedyś się wyrasta?

– Nie podjadaj, bo nie będzie konfitur – upomniała go babcia takim tonem, jakby wcale nie miała mu za złe apetytu.

Nie pozwalała sobie na odpoczynek. Od rana próbowała okiełznać kolejne obowiązki. Dzieliła chleb nożem na grube kromki, wkrapiała cytrynę do herbaty, sypała sól na soczyste plasterki pomidorów, mieszała kawowy wrzątek z mlekiem, szorowała talerze, zmywała podłogi, podlewała ukochane kwiaty. Bawiła się w ganianego z każdym dniem. Nie pozwalała sobie na przegraną. I mówiła, mówiła, mówiła, jakby słowa były jej paliwem (kiedyś miał żałować, że zapamiętał tak niewiele z nich).

Nawet teraz, nad miską, zdawała się ścigać z porzeczkami, które miała rozdzielić i opatrzeć, zmienić kulinarnymi czarami w konfitury. Myślała już o obiedzie, nieobranych, nieposzatkowanych ogórkach na mizerię, o koprze do ziemniaków, który jeszcze trzymał się ziemi, o kurczaku zażywającym sauny w starym prodiżu przypominającym metalową urnę. Miała jeszcze tyle do zrobienia! W myślach ruszała do kolejnego zadania.

A przecież panował urzekający spokój. Nawet południowa cisza, przerywana odległym szczekaniem psów i ptasim świergotem, nadal pozostała ciszą. Otaczały ich góry, znajomy obraz, pełen wzniesień, zieleni i drzew, który nigdy nie miał się zmienić. Świat przeznaczony na letnie miesiące. W środku tego świata – niczym w dziecięcej rymowance – był dom, w tym domu taras, na tarasie stół, przy którym siedzieli. Ubrojeni w widelce, pochylali się nad jasnoniebieską miską. Ogołocone z porzeczek szypułki odkładali na pstrokatą ceratę. Przyklejały się tam jak zielone elementy nieciekawego kolażu. Wydawało się, że tak będzie zawsze.

Babcia też była kimś stałym, nienaruszalnym: jej pyzata twarz ozdobiona zmarszczkami niczym siecią prywatnych dróg, jej błękitne oczy o czujnym, ale życzliwym spojrzeniu, jej starym ufarbowane na blond włosy (bo przecież nie uznawała starości, a zatem i siwizny), jej pulchne ręce w wiecznym ruchu. I jej ciepły uśmiech, bo czasem też się uśmiechała. Gdy się urodził, zbliżała się do sześćdziesiątki. Znacznie później zrozumiał, że czas nie tylko płynie, lecz także przynosi trwałające zmiany. Odtąd nauczył się co roku składać jej najlepsze życzenia z okazji pięćdziesiątych urodzin. Za każdym

razem śmiała się głośno, jakby naprawdę zatrzymał dla niej czas, spletał takiego figla światu.

Gdyby zabrać stąd babcie, ten sierpniowy obrazek zrobiłby się bezużyteczny. Zostałby tylko nieruchomą, niszczącą makietą, którą w końcu się wyrzuca, bo zapomina się, komu i czemu służyła. Widelce zastępyłyby na ceracie, porzeczkę na szypułkach. Słońce przestałoby grzać, wisiałoby na niebie jak świetlista broszka. Psy szczekałyby na nikogo.

W późniejszych czasach wracał do tamtego dnia. Chodził już wtedy do pracy, wrzucał do garnka aktualny obiad, mył okna na Wielkanoc – choć jej nie świętował – i groby pod koniec października; musiał przy śniadaniu łykać tabletkę na odporność (lubił te przezroczyste kuleczki, rytuał wybierania jednej na dłoń), zabijał samotne godziny serialowymi maratonami, marzył o szczęściu i lepszym samochodzie. Nigdy więcej nie miał być chłopcem. Nikt już nie zdrabniał jego imienia.

– Musisz obierać widelcem, nie palcami, bo zrobi ci się marmelada, a nie porzeczkę – powiedziała babcia tamtego lata, gdy usiedli na tarasie rozdzieleni niebieską miską, jeszcze pustą. Tę radę poprzedziła jego zdrobniałym imieniem. – Zobacz. – Wsunęła szypułkę między zęby widelca, po czym jak muzyk przeciągający smyczkiem po skrzypcach, przejechała nim przez łożysko, zabierając jej owoce.

Tak, kiedy stał się dorosły, często łamał terazniejszość wspomnieniami. Wracał też do odległego sierpniowego południa, gdy strącał widelcem koraliki porzeczek w jasnoniebieską otchłań miski. Tamta chwila – rozciągnięta może do godziny – miała w sobie coś pięknego, bezpiecznego i absurdalnego zarazem, zupełnie jakby się tylko śniła. Dawno się przebudził, ale zachował w sobie ten sen, piękny, lecz niekiedy dręczący.

Pamiętał, że tamtego dnia chwycił brzegi miski. Manewrował nią ostrożnie, a gromady porzeczek wydały się nagle żywe: lśniące-czerwone, okrągłe stworzenia, którym nie wymyślono łacińskiej nazwy. Przesypywały się tłumnie wzdłuż jasnoniebieskich ścian, jakby właśnie przebudziły się z własnych dziwnych snów i szukały utraconych szypulek.

* * *

Nie był najlepszym z pomocników. Obrywał gałązki tak, jakby miał na to cały dzień. Niektóre z porzeczek od razu zjadał, ignorując emaliowany garnek wyłożony czystą płócienną szmatką. Tracił czas, gdy podziwiał gęste, lepkie pajęczyny rozpięte między niektórymi gałązkami. Przywodziły na myśl kłębki waty cukrowej (w wakacje wata cukrowa mogłaby rosnąć w krzakach porzeczek, taki prezent od natury dla dzieci). Dotykał też szorstkich liści i widział ich piękno, choć nie umiałby go nazwać. Gdy schylał się do najniższych partii krzaka, musiał wdychać duszący zapach ziemi.

Choć zostali zaproszeni do zrywania porzeczek, odnosił wrażenie, jakby wkradli się do sąsiadów. Miewał bujną wyobraźnię. Oglądanie domu letniskowego dziadków z tej sąsiedzkiej perspektywy okazało się ekscytujące. Wpatrywał się w taras, jakby mógł wypatrzeć tam siebie i babcie rozdzielonych niebieską miską. Gdyby nawet udało mu się zobaczyć taką scenę z przyszłości, nie mógłby pokazać jej babci. Wydawała się zbyt zajęta, aby zainteresowała ją coś tak niepotrzebnego jak przyszłość nagle spotykająca się z terazniejszością.

Działała szybko, po swojemu. Na początku wyglądało to tak, jakby walczyła z krzakiem. Dopadała kolejnych gałązek i ogołacała z małych, miękkich rubinów. Mamrotała pod no-

sem istne wojenne mantry. Dopiero potem przypomniała sobie, że trwa piękny sierpień, a do podania obiadu zostało jeszcze sporo czasu. Tę potyczkę z dniem i tak miała wygrać.

– Ty się urodziłeś w sierpniu, prawda? – zapytała nieoczekiwanie. – A twoja prababcia w sierpniu umarła.

Miał dziesięć lat i znał słowo „umrzeć” tak, jak wiele innych słów tylko ze słownika ortograficznego. Wiedział, co oznacza, ale nie było interesujące. Ukradkiem oberwał szypułkę z czerwonych gron, a dówód kradzieży schował w ustach.

– Wiesz, to była moja teściowa. Pamiętam, jak do nas przyjeżdżała ze wsi. Mówiła, że twój dziadek na taką żonę nie zasłużył, że za dobra jestem. Zawsze chciała iść do kościoła. Szłyśmy, a ona przegłądała się w każdym oknie wystawowym. Nie mogłyśmy dojść do tego kościoła na czas! – roześmiała się. – Ciągłe mnie pytała, czy dobrze wygląda.

Obserwował roześmianą babcie. Nadal sprawnie obrywała gałązki – nie pozwoliłaby sobie na lenistwo – ale myślami była daleko od krzaczków porzeczek, od tego lata. Nagle jej uśmiech zgasł. Cisnęła najnowszy łup do garnka.

– Umarła podczas procesji, tej na Wniebowzięcie. Niosła figurkę. Nagle upadła i nie mogła wstać. Ten głupi ksiądz tylko powtarzał: „Lepiej wam już?”, a ona umierała.

Z nową złością zaczęła tarmosić porzeczkowy krzak, wojownicza i metodyczna. Przypomniała sobie o upływających minutach wyrastających na godziny.

Pomyślał – choć dopiero po paru latach – że ta rozmowa nie pasowała do tamtego sierpnia, do słońca, do niewzruszonych w swoim majestacie gór, do wakacji, które miały się nie kończyć. Cmentarze były daleko, nawet jeśli już istniały również poza jego słownikiem ortograficznym.

Nie znał tamtej swojej prababki, tak jak i trzech pozostałych. Gdy oglądał ją na wygrzebanych z czeluści komody, czarno-białych fotografiach, czuł się nieswojo, jakby nie miał prawa zerkać w głąb jej świata.

Później wyobrażał ją sobie w oknach wystaw, widział jej niewyraźny obraz wpisany pomiędzy najróżniejsze siermiężne przedmioty szarego PRL-u. Wielkie miasto zapewne ją onieśmialo. Spieszyła się, aby zaraz się zatrzymać przy kolejnej witrynie. W tym osobliwym zachowaniu było coś uroczo dziewczęcego.





Czasami przenosił ją w ten ostatni dla niej dzień, w sam środek procesyjnego tłumu. Figurka musiała jej ciążyć, choć prababka nie śmiała się do tego przyznać. Wtedy, we Wniebowstąpienie, też musiało świecić słońce i czekały psy, na krzakach pęczniały porzeczki i pajęczyny, które były tylko pajęczynami. Mimo wszystko świat stawał się bardziej odświeżony.

Dwa obrazy napędzane wyobraźnią, przerobione na film bardzo krótkometrażowy – tylko tyle mu zostało po tej nieznannej prababce, która dla niego od zawsze nie żyła. I jeszcze to sierpniowe południe przy porzeczkach, ich póki co bardziej słodki niż cierpki, podkradany smak.

– Mi jest tak przykro, że ja muszę umrzeć – powiedziała babcia. Wcześniej wymówiła jego zdrobniałe imię, na które od dawna był za dorosły.

W myślach uczył się kulawej stylistyki, aby choć trochę osłabić wydźwięk tych przerażających słów. Nie udało się.

Nie lubił smutku tego pokoju. Tych przyciężkawych nieładnych mebli, wielkiego, zbyt głośnego telewizora, niewygodnych foteli, kiczowatych świętych obrazków, ozdobnych bibelotów o zapomnianych znaczeniach, wyzutych z aktualności fotografii, grubego dywanu magazynującego nieusuwalne pokłady kurzu i wreszcie ozdobnej lampy, która zawsze dawała za mało światła.

Wszystko tu sprawiało wrażenie przygnębiająco starego. Nawet gdy patrzył na własne zdjęcie – nijakie tą nijakością charakterystyczną dla fotografii ze szkolnych legitymacji – sam sobie wydawał się na nim stary. Odkładał ostrożnie ramkę między inne nieco kulawe ramki wiążące wizerunki jego podstarzałych nastoletnich kuzynek i kuzynów. Była tam też jedna czarno-biała fotografia ślubna. Babcia miała ciemne włosy, na które jeszcze długie lata nie kładła farby. Trzymała w dłoniach kwiaty. Ją i jej suknię otulał długi welon. Odślaniała równe zęby w uśmiechu. Gdy przypatrywał się uważnie, widział też uśmiech w jej oczach.

Teraz przypominała stare niemowlę.

Od dawna nie opuszczała łóżka, chyba że własne zamieniała na szpitalne. Choroby czały się na nią z męczącą regularnością. Więcej milczała, niż mówiła. Zastanawiała się głośno, za co tak cierpi. Zaciskała beczynne palce na kołdrze. Całował ją w policzek na przywitaniu. Głaskał po zniszczonych, siwych włosach. Czasem brał jej szorstką zmęczoną dłoń w swoją i długo nie wypuszczał.

Pewnego dnia zapytał ją, czy pamięta, jak zbierali razem czerwone porzeczki u sąsiadów. Pamiętała. Przypomniła jej o widelcach, o jasnoniebieskiej misce, o tym, jak czerwone koraliki znikwały w jego ustach. Zdziwiła się, że i on tyle pamięta. Jej własne dni wtedy były nie do odróżnienia, tak jak teraz, a przecież zupełnie inaczej. Patrzyła na ścianę ozdobioną tapetą z dawno wyblakłym motywem roślinnym. Może myślała o domku letniskowym, którego już nie miała zobaczyć.

Tak, pamiętał. Nigdy więcej nie zrywał porzeczek, więc nie musiał ich później zabierać widelcem z szypulek. Sąsiedzi z tamtych lat sprzedali dom, a nowi wyrwali z ziemi krzaki porzeczki i przeznaczili na opał. Czasem je sobie wyobrażał, jak musiały płonąć, cienkie badyle, szorstkie liście i pajęczyny, których nawet magia sierpnia z dzieciństwa nie mogła zmienić w watę cukrową. Może dym pachniał porzeczkami.

Ostatnio, podczas jednej z przechadzek nowoczesną alejką hipermarketu, wśród kolorowych dóbr natrafił na konfiturę z czerwonych porzeczek. Słoik miał przyjemny dla dłoni kształt, zaprojektowaną przez marketingowców etykietę, w środku skrywał czerwoną cierpką słodycz wzbogacaną konserwantami.

Zatrzymał się na chwilę. Szkło było zimne, ale ogrzał je palcami. Włożył słoik do koszyka między mniej zbędne rzeczy. Podobało mu się, że wiosną będzie jadł porzeczki. Miało to urok dwudziestego pierwszego wieku. Nowe płatanie figła prawidłom czasu. Tym razem nie sptała. Wrócił już spod kas do alejki i odłożył słoik na miejsce. Przypomnił sobie o dacie ważności.

Mógłby podzielić się z babcią tą opowieścią z hipermarketu, wspomnieniem zamkniętym w szkle słoika, ale nie zdążył. Bo ona najpierw powiedziała mu o tym, że jest jej przykro, skoro nadchodzi śmierć.

Nie umiał jej okłamać. Nawet gdyby to był dzień jej urodzin, on nie potrafiłby już zatrzymać dla niej czasu i jak co roku przypisać jej pięćdziesięciu lat. Zresztą i ona już się nie śmiała.

Wiedział, że już niedługo. Że babcia umrze tutaj. Obcy ludzie wyniosą jej ciało przez zamknięte drzwi, a potem starym zwyczajem zastukają trzy razy noszami w próg. A on? Pójdzie na pogrzeb, dziwnie teatralny, jak bywają pogrzeby. Znajdzie się w zimnej kaplicy. Będzie patrzył na profesjonalnie obojętne twarze eleganckich mężczyzn strzegących trumny w trakcie mszy. Od widoku masywnych wieńców uwieńczonych szarfami zrobi mu się duszno. Któraś z sióstr babci zaintonuje różaniec przerywany wiecznymi odpoczynkami. Wbrew sobie będzie dukał kolejne zdrowaśki.

Jeszcze przed mszą podejździe do trumny. Pochyli się nad ciałem babci. W pierwszej chwili jej nie pozna. Spojrzy w zamknięte oczy, zastygła twarz, jakby ulepią z cielistej modeliny. Przypomni sobie, jak niedługo przed śmiercią babcia przebudziła się i, zdumiewająco przytomna, zwróciła się do niego zdrobniałym imieniem. „To ty tu jesteś?” zapytała, a on z całych sił starał się powstrzymać łzy.

Może nad otwartą trumną wyszepcze jedno słowo na koniec, może całe zdanie. Wyznanie. Zapewnienie. Prośbę. Wspomnienie. A potem po raz ostatni dotknie babcinej dłoni, już na zawsze lodowatej.

Nie, nie umiał jej okłamać. Snując się w meandrach wspomnień, próbował odnaleźć te wszystkie słowa babci, których nie zapamiętał. Wiedział, że tych ostatnich nie zapomni, będzie je dźwigał w sobie przez całe lata. Będzie myślał o pewnym ciepłym sierpniu. I czerwonym koraliku porzeczki odebranym od szypułki, spadającym w błękitną, twardą nicość. ■

Zaraza i inne czasy

LUCYNA LEŚNIEWSKA

Leżę w łóżku i próbuję uciec od tego, co słyszę. Natrętnie chrapanie Tadzka, wwierca się w ścianę i robi mi dziurę w głowie. Jest jak mucha, która wpada do mieszkania – brzęczy i denerwuje, podnosząc ciśnienie. Czasem myślę, że go zabiję. Nie wiem jak, ale kiedyś to zrobię.

Nakładam poduszkę na głowę. Próbuję nie słyszeć dźwięków, którymi Tadek traktuje mnie od trzydziestu lat – jutro rocznica, odrzucam pościel na bok i zapalam nocną lampkę. Spoglądam na zegar – piąta piętnaście. Jeszcze mogłabym z godzinę pospać, ale zwlekam się z łóżka i stopami wymacuję pantofle, wychodzę z pokoju.

Włączam światło w kuchni. Jest mała, klaustrofobiczna, jak wiele rzeczy w moim życiu.

Otwieram szafkę i wyjmuję kubki. Wyciągam łyżeczkę, która spada na wykafelkowaną podłogę. Ten brzdęk jest melodią dla uszu po koncercie, jaki dostałam od Tadzka. Podnoszę ją i energicznie zasuwam szufladę. Wlewam wodę do czajnika. Chrapanie Tadzka cichnie. Niemożliwe!

Wyciągam z lodówki jajka. Nie chce mi się ich robić z boczkiem, chociaż wiem, że Tadek takie lubi. Masło rozplwya się po teflonowej patelni jak rozlana woda. Wbijam jajka, zaczynają przyjemnie skwierczeć. Tadek wychodzi z pokoju, ubrany tylko w bokserki. Zapach jajecznicy wabi go, niczym rekina krew.

– Nie mogłem dziś spać. – Przeciąga się. Jego brzuch przypomina bojler, który moja matka miała w łazience. Odwracam głowę i zaczynam energicznie mieszać jajka. Siwiejący zarost kluje mi twarz, kiedy Tadek zbliża się, aby cmoknąć mnie w policzek.

– Ty nie mogłeś spać?! – oburzam się, ale nie spuszczam jajek z oka. Zaraz będą idealne. Nie mogą być za suche. Na szczęście oboje lubimy takie same: kiedy żółtko nie jest do końca zwarte. – Gdyby nie ta cholerna zaraza, umówiłabym cię do lekarza. Musisz coś zrobić z tym chrapaniem – dodaje, ściągając patelnię z kuchenki gazowej.

– A ty myślisz, że lekarz cudownie mnie uzdrowi. Po tylu latach powinnaś się przyzwyczaić.

Odrywa kawałek papierowego ręcznika i wydmuchuje nos. Głuchy dźwięk, wychodzący z jego krzywego nosa, brzmi jak zatkana trąba. Tadek wyrzuca suchy papier do kosza i patrzy na mnie tryumfalnie. Przecież wiem, że nie ma kataru.

– Nie stój tak, tylko podaj talerze.

Kładzie je na niewielkim stole, ustawionym pod oknem. Siadamy naprzeciwko siebie jak para na randce. Stolik jest tak wąski, że talerze prawie stykają się brzegami. Kiedy czajnik zaczyna gwizdać wstaje, aby zalać kawę. Dla siebie zostawiam miejsce na mleko. Śniadanie jemy w milczeniu. Odgłosy wydawane przez sztucce są jak rytm naszego wspólnego życia – przewidywalne i gubiące się w ciszy.

Moja matka powtarzała, że powinnam być „wdzięczna za tak dobrego chłopca”. Oczywiście, że powinnam! Ona nie miała takiej sielanki. Mój ojciec pił alkohol, jak maratończyk wodę. Jego wypłata rozplwyała się wraz z wódką, którą chętnie dzielił się z kolegami. Do dziś zastanawiam się, gdzie byli, kiedy jego ciało zaczynało rozkładać w jednej z opuszczonych kamienic? Wylew przyszedł zniecacka, ale ojciec znieczulony procentami, odszedł bezboleśnie – jestem tego pewna.

Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Powinnam płakać, ale nie uroniłam ani jednej łzy.

Moja matka nie wie wszystkiego o moim małżeństwie, ale nie chcę dziś o tym myśleć. Jutro nasza rocznica ślubu, której i tak nie uczymy, bo zostaliśmy zamknięci w swoich domach jak zwierzęta w klatkach.

– Gdyby nie kwarantanna, zaprosilibyśmy na sobotę mamę i dzieci – mówię.

Tadek mlaszcze. Przeżuwa chleb, jak wielką gumę balono-

wą. Po co pchać tyle do gęby? Jakby nie można mniejszego kawałka. Nie komentuję tego, bo wiem, co odpowie. Że nauczył się tak jeść w wojsku.

– Nic nie zrobimy. Przyjdą, jak się wszystko uspokoi. – Tadek wstaje od stołu, bierze swój pusty talerz i wkłada go do zlewu. Nie myje, bo przecież jak to zrobię. Sięga po kubek z kawą.

– Dzieci tak rzadko nas odwiedzają.

– Kiedy były jeszcze w domu, nie mogłaś się doczekać ich wyprowadzki. – Tadek siorbie gorącą kawę. Tęgo nawyku nie cierpię najbardziej, a po nieprzespanej nocy działa na mnie, jak skrobanie paznokciami po tablicy.

– Skończ! – wyrwa się z moich ust, tak stanowczo, że sama się sobie dziwię.

– O co ci chodzi? Minę masz dziś jakbym ci rodzinę zabił.

– O nic mi nie chodzi! Siorbiesz tę kawę, jak koń wodę.

– Czepiasz się od rana! – Podnosi kubek i wychodzi do salonu. Słyszę jak sięga po pilot i włącza telewizor.

Mam serdecznie dość! Gdyby było normalnie, poszedłby do warsztatu i paprałby się w silnikach. Ja też byłabym prawie cały dzień poza domem. Nie łudzę się, że udałoby nam się za sobą zatęsknić, ale przynajmniej nie podnosilibyśmy sobie ciśnienia swoim towarzystwem.

Wkładam pusty talerz do zlewu. Kiedy odkręcam kran, ciepła woda przyjemnie gładzi moje zimne dłonie. Zmywam po śniadaniu i dostrzegam plamy na białych kafelkach między meblami. Zaczynam je energicznie szorować. Wycieram do sucha, co jest głupie, bo zaraz i tak wszystko się zmoczy. Naczynia ustawiam na suszarce. Kątem oka widzę jeszcze wielkie zabrudzenie na fudze. Bronię się przed tym, żeby nie zacząć jej szorować. Wieszam ściereczkę i idę do łazienki.

Spoglądam w lustro i zamiast swojego odbicia widzę białe kropki po paście. Ja zawsze sprzątam po sobie, więc to Tadek musiał nabrudzić. Walczę z sobą, aby nie przetrzeć lustra. Kieruję się pod prysznicę. Kiedyś nie musiałam codziennie myć włosów, ale tak to już jest kiedy ma się pięćdziesiąt lat. Na co dzień staram się nie myśleć o tym, że życie płynie jak ta woda z słuchawki prysznicowej – intensywnie, nieprzerwanie i bezpowrotnie. Zawsze w jedną stronę. Lubię, kiedy ciepły strumień pieści moje ciało. Odprężam się, a zmartwienia ulatniają wraz z parą, która tworzy się w łazience.

Mój ojciec nigdy nie pozwalał nam marnować wody, dlatego stoję pod prysznicem tak długo, jak mam na to ochotę.

Nakładam szampon – zaczyna się pieniać, jak ciasto po dodaniu sody oczyszczonej. Dawno nic nie pieklam. Tadek i bez mojej pomocy wygląda jak pączek, ale Mariola jest szczupła i może jeść do woli – jej mąż też. Bartek wprawdzie wdał się w Tadzka, ale nie jest jeszcze gruby. Dla nich upiekłabym torcik bezowy, zawsze im smakował.

W przeciwieństwie do swoich koleżanek, nie wyniosłam z domu nic więcej, niż kilka ubrań i frustrację. Kiedy one kartkowały przepisy swoich babć czy mam, ja szukałam inspiracji w książkach kucharskich. Ich torty, przełożone tłustą, zakropioną spirytusem masą, wyglądały ciężko, jak brzemie, które dźwigały. Głupie niewolnice tradycji rodzinnych!

W moich wypiekach była lekkość, świeżość, niepospolita forma. Ale teraz dzieci są na swoim, a Tadek i tak zjadłby wszystko co bym mu pod gębę podsunęła.

– Długo cię jeszcze zejdzie? – Tadek wali do drzwi. – Muszę do toalety.

Niechętnie zakręcam wodę i wychodzę spod prysznicy. Łazienka jest zaparowana i duszna. Wycieram się i zakładam świeże ubranie. Z szuflady wyciągam ściereczkę i zabieram się za sprzątanie. Zrobię to tak, jak zawsze – dokładnie, bez skazy, jakbym zacierała ślady swojego istnienia. ■

Marek Lyszczyna: W jednym ze swoich ostatnich filmów, w *Niebieskich Charach* mówi Pan, że po trzydziestu latach wraca na Śląsk. Jaki to był powrót?

Cezary Grzesiuk: Ja tak naprawdę tego Śląska nigdy nie opuściłem. Przez pięć lat jeździłem w poniedziałek o szóstej rano Górnikiem na moją warszawską „kopalnię”, a potem wracałem na Śląsk w piątek pierwszym możliwym pociągiem. Potem wyemigrowałem na stałe. Dwa, trzy lata temu, zdałem sobie sprawę, że nie jestem pogodzony z tym, gdzie obecnie mieszkam. Nigdy więc tego Śląska mentalnie nie opuściłem.

Czyli Kazimierz Kutz miał rację, kiedy mówił, że miejsce urodzenia to jest taki statecznik, z którego trzeba czerpać siłę, dzięki któremu się nie wywracamy.

Kazimierz Kutz wytłumaczył mi to kiedyś w taki prosty sposób, tak jak to tylko on potrafił, barwnym językiem, z umiłowaniem życia. Byłem wtedy bardzo ożywiony po przyjeździe ze Śląska, w okresie, kiedy razem pracowaliśmy i powiedziałem mu o swoim przywiązaniu do tego miejsca. A on, z niezwykłą celnością powiedział: *jeśli gdzieś pierwszy raz kochałeś, dupcyłeś i tam przeżywałeś „wszystko co najważniejsze”, to nie ma mowy, żeby to z tobą nie zostało do końca życia*. Miałem szczęście, że dla mnie tym miejscem był Śląsk.

Z Kazimierzem Kutzem wiąże się też początek Pana kariery i szczególnie ważny film, *Śmierć jak kromka chleba*.

Tak, był to czas niezwykły, o tyle ważny, że po transformacji 1989 roku, która była bolesna dla śląskiego przemysłu filmowego, w wyniku której wytwórnia na Bytkowie, z tradycją, z fachowcami, z technologią, sprzętem, itd. została zlikwidowana praktycznie z dnia na dzień, a my wszyscy zostaliśmy odstawieni na boczny tor.

Kiedy rozpoczęła się produkcja filmu *Śmierć jak kromka chleba* miałem za sobą prawie dwa lata bezrobocia. Zastanawiałem się, czy będzie szansa na kontynuowanie tego zawodu, mojej pasji. W pewnym momencie otworzyłem nawet na Bytkowie knajpę, gdzie czasem na obiad wpadały panie redaktorki z pobliskiej TVP Katowice... Dzięki akcji społecznej udało się uruchomić produkcję filmu, który nie miał państwowego finansowania. Jak mówił prof. Edward Zajicek, legendarny kierownik produkcji i wykładowca łódzkiej filmówki – *nie dotyka się filmu bez finansowania*. Ja się z tym zgadzam, tak powinno być, ale jestem w tym ambiwalentny. Gdyby kierować się ściśle regułą profesora Zajicka, wiele filmów, w które byłem zaangażowany, w ogóle by nie powstała. Powstały jedynie dzięki pasji, którą często przypląca się zdrowiem, a nawet życiem.

Wróćmy jeszcze do *Śmierci jak kromka chleba*. Sam temat, pacyfikacja kopalni „Wujek”, co dla was znaczył? Jakie emocje towarzyszyły tej produkcji?

To było prawie 20 lat temu (film powstał w latach 1992–94 r.) i było to jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu. Powróciłem do świata filmu po dwóch latach absencji, od razu do takiego tematu i z takim reżyserem! Głowa szalała, serce drżało z przejęcia. Wcześniej pracowałem na małych formatach, na 16 mm, robiłem głównie filmy telewizyjne, a tu realizacja na taśmie 35 mm, nowa technologia, nowy stół montażowy, poruszanie się w nowym nośniku. Dzisiaj, przy kamerach cyfro-



Pociąg jechał dwa razy szybciej i miał skrzydła...

Z CEZARYM GRZESIUKIEM, autorem filmu *Niebieskie chachary*, montażystie filmowym (*Skazany na bluesa*, *Śmierć jak kromka chleba*), współtwórcy filmów dokumentalnych o tematyce śląskiej, rozmawia MAREK LYSZCZYNA

wych, to nie ma znaczenia, ale wtedy były inne realia. W Polsce panował wielki kult taśmy filmowej, dotknięcie 35-tki to była magia!

No i cudowny Pan Kazimierz... ja ile razy oglądam scenę z *Soli ziemi czarnej* jak górnicy biegną w białych koszulach i strzelają im w plecy, a te białe koszule zamieniają się w biało-czerwoną flagę, to mam łzy w oczach. Do tego muzyka Wojciecha Kilara. To jest jedna z najpiękniejszych, najbardziej wzruszających scen w moim kinie.

To był święty czas, czas zawodowego sacrum w moim życiu. W tamtych czasach nie mieliśmy marzeń, człowiek się cieszył, że patrol go nie spałował. Kiedyś wróg był jeden, dzisiaj każdy ma ich więcej, a ten film obnażał starego wroga. Trafiłem pod skrzydła Kutza, który robił o tym film i pokazał prawdę o tamtych czasach. Powtórzę jeszcze raz – ta produkcja to była dla mnie świętość i nie sądziłem, że może się to jeszcze powtórzyć. Tymczasem Kazimierz Kutz, kiedy kończyliśmy *Śmierć jak kromkę chleba*, przyszedł do nas do montażowni i powiedział, *zrobicie ze mną następny film, zarobicie pieniądze, będziecie lepsi dla ludzi*. To taka złota myśl, wtedy nie od razu ją zrozumiałem, ale znowu jak u Kutza – proste słowa oddają wielki sens. Dzięki niemu zawdzięczam to, gdzie jestem. Kutz mnie dostrzegł, odkrył, a kiedy powierzył mi samodzielny montaż *Pulkownika Kwiatkowskiego*, wyrwał mnie ze Śląska na lata.

Potem Śląsk się znowu pojawił w Pana życiu – *Skazany na Bluesa*. To były już inne czasy, inna dekada, ale znowu dotykał Pan wielkiego mitu i legendy – *Ryśka Riedla*.

Jestem wielkim fariarzem, że ten mit był mi bardzo bliski, żyłem z nim ramie w ramie przez parę lat. Film o Ryśku wymyśliłem w 1989 roku, na pięć lat przed jego śmiercią. Zobaczyłem wtedy film w Tadeuszu Nalepie emitowany w telewizji. Film był kolokwialnie mówiąc słaby, było mi przykro, że taka postać, taki muzyk, został sportretowany tak słabo. W ogóle w tamtym czasie muzyka była takim czarodziejskim ogrodem, magiczną wyspą, na którą się chowaliśmy. Cała tradycja śląskiego bluesa, także to, co się działo na świecie. W tamtym czasie ukazał się film *The Wall*, to nas inspirowało, ale oczywiście nie mieliśmy takich możliwości, nie było wtedy rynku na produkcji muzycznych, nie było nawet w Polsce MTV. Dzisiaj powstają liczne, lepsze i gorsze muzyczne filmy dokumentalne i fabularne, ale wtedy, w 1989 roku ten telewizyjny film o liderze *Breakoutu* to był taki wyłom. Wtedy wiedziałem, że chcę zrobić film o Ryśku Riedlu.

Miałem szczęście go poznać. Gdy miałem siedemnaście lat objawił mi się niczym Jezus Chrystus wychodzący z Jordanu. Myślałem, że teraz..., to już wszystko w życiu wiem. Byłem wtedy świeżo po filmie Milosza Formana *Hair*, moje życie zmie-

niło się diametralnie. Dzisiaj mówimy o pewnym micie, ja miałem okazję poznać to dogłębnie, ze wszystkimi smakami takiego życia. Trwało to parę lat, ale Bóg się nade mną ulitował i pomógł wsiąść w porę z tego statku. Miałem wyjątkowe szczęście.

Może po to, żeby po latach o tym opowiedzieć?

Bardzo duże były perypetie tego filmu. Od pomysłu do premiery minęło piętnaście lat. Mógłbym o tym opowiadać do rana... z jednej rzeczy jestem bardzo zadowolony, jest to dla mnie taki stygmat. Mam na myśli zgodę Ryska na film o sobie, którą podpisał 30 czerwca 1994 roku. To ostatni dokument, który Rysiek podpisał własną ręką – trzydzieści dni przed śmiercią, kiedy Rysiek był już wyrzucony z *Dżemu*. Mam go u siebie w domu, bardzo się nim chlubię. Działo się to po pięciu latach, odkąd wpadłem na pomysł zrobienia tego filmu. Telewizja w Warszawie zgodziła się sfinansować produkcję pod warunkiem, że bohater wyrazi zgodę na piśmie. Chwilę potem Rysiek zmarł, a ja zostałem z moim pomysłem zupełnie osierocony, po całej pracy, którą w to włożyłem, mimo trudności wynikających z tematu, kontekstu narkotyków, braku rynku muzycznych dokumentów itp. Dzień po jego śmierci ruszyły produkcje trzech filmów dokumentalnych, zainicjowanych przez TVP Katowice, TVP Łódź i Dwójkę. Wiedziałem, że nie mam prawa w tej żałobie wymagać od Małgorzaty Riedel, by nie brała w nich udziału, to może zrozumieć tylko ktoś, kto stracił kogoś bliskiego. Zostałem filmowym bankrutem, marzenie mojego życia zostało przekreślone. W rok po śmierci Ryska Riedla pojechałem na jego grób, dzień czy dwa po rocznicy. Do grobu praktycznie nie dało się dojść, tyle tam było świeczek. Dotarłem nad płytę i płakałem. I nagle dostałem jakby strzał błyskawicy prosto w mózg: *Czarek, co się masz, to jest przecież film fabularny!* Do dzisiaj opowiadam to moim studentom. Nic nie było jednak proste, zaczęło się kolejne dziesięć lat chodzenia i walki o ten film.

Przypomnia mi to film, od którego zaczęliśmy rozmowę – *Niebieskich chacharów* – nad nim też pracowałeś latami.

Nad *Chacharami* pracowałem ponad jedenaście lat. Ale muszę w tym miejscu zaznaczyć, że ja nigdy nie miałem takiego marzenia, żeby zostać filmowcem. Jestem zlepkim wartości i doświadczeń mojego życia. Moja profesja montażysty rodzila się w okresie, kiedy kino reżyserskie dominowało całkowicie, reżyser był otaczany wielkim szacun-

kiem. Reżyser to konglomerat wielu talentów – literackich, plastycznych, muzycznych, ale też psychologicznych. Można by przytoczyć scenarzystów i operatorów, którzy chcieliby reżyserować, można wymienić kilka światowych nazwisk, którym to się nie udało. Mając wielką pokorę i szacunek do tego wszystkiego, w życiu bym się nie odważył na myślenie o swoim filmie. Jestem ze starszego pokolenia polskich filmowców, w którym dominowało wielkie kino reżyserskie.

Ale moje życie tak się potoczyło, że w wypadku złamałem kręgosłup i mój telefon zawodowy zamilkł z dnia na dzień. Środowisko praktycznie mnie skreśliło, ustały wszelkie propozycje. Trwało to półtora roku, w trakcie tego czasu musiałem postanowić, czy zmienić zawód, czy udowodnić, że potrafię to robić. Alternatywy miałem niewielkie – albo zostać taksówkarzem, albo otworzyć jakiś sklep. Postanowiłem zmierzyć się z reżyserią. Musiałem udowodnić, że potrafię to do-

ciągnąć do końca, znaleźć finansowanie. Montażysta jest na samym dole filmowego łańcucha pokarmowego. Pomogły nowe czasy i świadomość, że kino zaczęło transformować się w stronę kina producenckiego. Mogłem myśleć o tym śmieiej, ale nadal była to bardzo trudna droga. Temat filmu też był niełatwy, bohater filmu był dla niektórych jak trędowaty, do dzisiaj w Katowicach obowiązuje zakaz jego wyświetlania i film nie miał praktycznie na Śląsku premiery.

Ale czy nie taka właśnie jest rola filmowca-dokumentalisty? Powinien poruszać trudne tematy – jeśli kino dokumentalne ma sens i siłę, to tylko taką.

Dlaczego tego nie rozumieją urzędnicy w wydziałach kultury? To ich kompromitacja, ale też moja głęboka rana. Czekalem tego piątkowego pociągu, żeby pojechać do starej kamienicy tu na Śląsku, miałem wtedy rozłożone skrzydła, a pociąg jechał



Ceremonia wręczenia Orłów, 2018 r.

dwa razy szybciej. Raz pędząc samochodem straciłem prawo jazdy w drodze do mojego *heimatu*... Tego filmu nie zrobiłem dla siebie czy z potrzeby bycia dokumentalistą... Zrobiłem go tak naprawdę dla trzech osób. Dla moich rodziców, żeby pokazać im czym dla mnie jest Śląsk i podziękować im za to, czym go dla mnie uczynili. Myślałem nawet nad dedykacją. Moi rodzice umarli w trakcie produkcji, nie doczekali premiery. Potem robiłem ten film dla Kazimierza Kutza, mojego „ojca” w tym zawodzie. Chciałem mu pokazać, że postawił na „właściwego konia”, bo jemu zawdzięczam miejsce, w którym jestem. I wreszcie w filmie pojawia się mój syn, z którym zostałem sam, którego samotnie wychowywałem 11 lat i którego brałem na te wszystkie chacharskie wyjazdy, nagrania i mecze. Kiedy miała miejsce premiera, przeżywałem jednak okres nastoletniego buntu i nie był filmem zainteresowany. Zostałem z tym filmem sam. Chciałem w nim pokazać, jak to na tych stadionach jest naprawdę, nie ma w nim scen inscenizowanych, delikatnie poza jedną, w której zjeżdżamy do kopalni, ale i tam jest tylko podglądanie sytuacji kamerą. To jest dokument w stu procentach obserwacyjny, dziś się takich praktycznie nie robi – bo za drogo, za czasochłonne. Aż do zapalenia się świateł po premierze, nie wiedziałem jaki będzie odbiór. Potem wszystko przyspieszyło – premierę mieliśmy na 34 Warszawskim Festiwalu Filmowym, potem Camerimage, o którym nie marzyłem nawet w snach i festiwalu na całym świecie. *Niebieskie chachary* zostały pokazane na ponad trzydziestu światowych festiwalach, m.in. we Francji, Hiszpanii, Włoszech, Białorusi, Brazylii, Meksyku, Argentynie, Chile, Wenezueli... tylko nie w Katowicach, gdzie wciąż obowiązuje zakaz.

Dziękuję za rozmowę.

fot. arch. aut.



Cezary Grzesiuk podczas pracy nad montażem

„Życ z sztuką”. Porcelana Rosenthal

Dar Wolfganga Domogalli dla Muzeum w Gliwicach

EWA CHUDYBA

Muzeum w Gliwicach ma szczęście do darczyńców. Kilkakrotnie w historii instytucji do jej zbiorów przekazane zostały cenne zabytki. Całkiem niedawno, bo w latach 2017–2019 nasze Muzeum otrzymało wspaniały dar – 400 sztuk wyrobów porcelanowych słynnej wytwórni Rosenthal. Darczyńcą jest pan Wolfgang Domogalla – kolekcjoner urodzony w 1940 r. w ówczesnym Gleiwitz, obecnych Gliwicach, w domu nieopodal siedziby Muzeum – Willi Caro, od prawie 50 lat mieszkający w Niemczech. W swoich wspomnieniach pisze: „Urodziłem się w Gliwicach i czuję się gliwiczanielem. W Polsce przeżyłem 25

bienia białych wyrobów z blisko położonej wytwórni Hutschenreuthera w miejscowości Selb. W 1889 r. Rosenthal przeniósł swój zakład do Selb i tam założył fabrykę porcelany, która w 1891 r. rozpoczęła produkcję, od 1897 r. jako spółka akcyjna, w skład której weszły niebawem inne liczne niemieckie wytwórnie. W latach 1908–1910 powstał w zakładzie oddział produkujący artystyczne wyroby – luksusowe naczynia zdobione i porcelana figuralna. Powstawały także naczynia mniej ozdobne, codziennego użytku oraz wyroby porcelanowe przemysłowo-techniczne. Przed II wojną dla Rosenthala projektowali m.in. Ferdinand Liebermann,

nad 100 krajach na całym świecie, ważnymi rynkami są Europa, Stany Zjednoczone, Rosja, Chiny, Indie.

Podarowane do Muzeum w Gliwicach wyroby porcelanowe niemal wszystkie powstały jako efekt działalności wyżej wspomnianego, wyodrębnionego w 1961 r. w wytwórni Rosenthala oddziału „Studio-Line”. Są to fragmenty zastaw stołowych, serwisów do kawy i do herbaty oraz przykłady edycji limitowanych – miski i talerze dekoracyjne, patery, świeczniki, wazon, wazoniki, wazy do zupy, sosjerki, dekoracyjne obiekty ceramiczne (maski, plakietki, tonda), filiżanki ze spodkami (pojedyncze, numerowane tzw. filiżanki artystyczne), komplety do palenia tytoniu, także nieliczne przykłady biżuterii ceramicznej oraz karafki szklane i szklanki. Ich projektantami byli słynni artyści zapraszani do współpracy przez Philipa Rosenthala juniora, tacy jak: Herbert Bayer, Salvador Dali, Ernst Fuchs, Helmut Andreas Paul Grieshaber, Tappio Wirkkala, Bjørn Wiinblad, Paul Wunderlich, Andy Warhol, Gilbert Portanier, Aldo Rossi, Uta Feyl, Dorothy Hafner, Jasper Morrison, Gianni Versace (dekoracje) i inni. Realizacje „Studio-Line” powstawały jako kontynuacja idei założyciela Philippa Rosenthala seniora o uczynieniu rzemiosła artystycznego, w tym przypadku ceramiki, równoprawną dziedziną sztuki.

– *Zapraszamy Państwa na wystawę, która jest nie tylko zapisem kolekcjonerskiej pasji pana Wolfganga Domogalli, ale też możliwością zetknięcia się z ludzką kreatywnością, różnorodnością form, wynikającą z inspiracji płynących z natury, starożytności, dawnych kultur, współczesności – słowem – nieograniczonej wyobraźni otaczającego nas świata zakłętą w porcelanie. Ofiarodawca chciał przekazać swoją kolekcję do miejsca, które kojarzyło mu się z pięknymi zbiorami, pragnąc podzielić się z szerokim gronem odbiorców swoją pasją, mając również nadzieję, że w tak bogatym środowisku akademickim znajdzie odzew motto Philipa Rosenthala: „Życ z sztuką” – mówią kuratorki wystawy, Anna Kwiecień i Patrycja Gwoździewicz.*



Serwis do kawy „Flash”, projekt Dorothy Hafner, Rosenthal Studio-Line, zbiory Muzeum w Gliwicach, fot. Maciej Głowaczewski

bardzo ważnych lat mojego życia – dzieciństwo i wczesną młodość. Myślę, że ten dar dla Muzeum w Gliwicach może być okazją do podziękowania za wszystko, co od tego kraju cennego otrzymałem”. W sobotę, 13 czerwca 2020 w formie online odbyło się otwarcie wystawy w Willi Caro, której kuratorkami są Anna Kwiecień i Patrycja Gwoździewicz z Działu Sztuki i Rzemiosła Artystycznego Muzeum w Gliwicach. Wystawę – z zachowaniem zasad obowiązujących w stanie epidemii – zwiedzać będzie można do 25 października.

Przypomnijmy, iż historia słynnej wytwórni Rosenthala zaczęła się już w 1879 roku, gdy Philipp Rosenthal założył w zamku w Erkersreuth (Bawaria) zakład zdo-

Albert Caasmann, Karl Himmelstoss, Gustav Oppel i inni. W 1916 r. został zaprojektowany przez Philippa Rosenthala słynny serwis „Biała Maria”, produkowany do dnia dzisiejszego zarówno w wersji białej jak i z barwnymi dekoracjami. w długich seriach o różnorodnych dekoracjach, także barwnych. Firma w Selb posiadała liczne filie, m.in. od 1921 r. w Wałbrzychu (Waldenburg) na Śląsku.

Philipp Rosenthal zmarł w 1937 r. w wieku 82 lat. W 1950 r. firmę przejął jego syn Philip Rosenthal (1916–2001), który ponowił model współpracy ze słynnymi artystami i uruchomił linię artystyczną „Studio-Line”. Do spółki akcyjnej Rosenthal należały liczne zakłady w Niemczech, Hiszpanii, nawet Brazylii. Obecnie wyroby Rosenthal GmbH są dostępne w po-

„Życ z sztuką”. Porcelana Rosenthal. Dar Wolfganga Domogalli dla Muzeum w Gliwicach Kuratorki: Anna Kwiecień, Patrycja Gwoździewicz Wystawa dostępna dla publiczności od 14 czerwca do 25 października 2020 r. Organizator: Muzeum w Gliwicach.



Elementy zestawu stołowego „Il Faro” (dzbanek do kawy, solniczka, cukiernica), projekt Aldo Rossi, Rosenthal Studio-Line, zbiory Muzeum w Gliwicach, fot. Maciej Głowaczewski



Elementy zestawu stołowego „Cupola”, projekt Mario Bellini, dekoracja Kitty Kahane, Rosenthal Studio-Line, zbiory Muzeum w Gliwicach, fot. Maciej Głowaczewski



Kapliczki „Czerwonego” Zagłębia

TADEUSZ LOSTER,
ALEKSANDER BĄBA



fol. ze zbiorów rodziny Brąblików

Andrzej Brąblik (pierwszy od lewej) stawia kapliczkę w Sławniowie, 1951

Ziemie, które zwiemy „Zagłębiem Dąbrowskim” albo – w skrócie – „Zagłębiem”, miały ciekawą historię i jeszcze ciekawszą mitologię polityczną. Naprawdę było to miejsce życia i pracy zwyczajnych ludzi, którzy niekiedy robili coś pod przymusem, a – gdy znaleźli taką możliwość – wyrażali swoje uczucia w nieoczekiwany sposób. O tym opowiemy, ilustrując tekst zdjęciami obiektów, których lokalizacji, a zwłaszcza roku budowy, nikt z nieco dalszych stron by się nie spodziewał.

Dla geograficznego i historycznego porządku trzeba zacząć od – nie dla wszystkich dziś oczywistego – stwierdzenia, że obecne województwo śląskie to jednostka samorządu terytorialnego, położona na obszarze części Górnego Śląska i zachodnich kresów Małopolski w tym Zagłębia Dąbrowskiego, Zagłębia Krakowskiego, Żywiecczyzny i Częstochowy. Przy wyznaczaniu granic uwzględniono aktualne powiązania gospodarcze i komunikacyjne, nie

utrwalając granic historycznych, które i tak zostały zamazane wielkimi migracjami i licznymi małżeństwami.

Granice (pre)historyczne

W roku 1939 Niemcy włączyli Zagłębie Dąbrowskie (Altreich) do Śląska, czyli do Rzeszy. Argumentowano, że tereny te (nie wszystkie) w średniowieczu były częścią Śląska i dopiero w roku 1443 zostały przez księcia cieszyńskiego Wacława I sprzedane za 6 tys. grzywien biskupowi krakowskiemu Zbigniewowi Oleśnickiemu, który z tych obszarów utworzył Księstwo Siewierskie. Teren Księstwa Siewierskiego kojarzony jest często z późniejszym Zagłębiem Dąbrowskim, choć Sosnowiec, Będzin czy Dąbrowa Górnicza leżą tylko częściowo na obszarach dawnego Księstwa Siewierskiego. Za to Czeladź i Wojkowie znajdują się w całości na terenie Księstwa.

Dawna granica Śląska z Rzeczpospolitą jest do dziś widoczna w osobliwy sposób. Wyznacza ją Szlak Orlich Gniazd, czyli ciąg warowni jurajskich, usytuowany na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej. Zamki te miały bronić granic Polski. Końcową warownią była twierdza jasnogórska, kojarzona obecnie raczej z cudownym obrazem Matki Boskiej, a nie z fortyfikacją oddaloną od dawnej granicy o ok. 12 km.

Mimo „jednoczenia” Śląska przez Rzeszę Niemiecką, między Ślązakami a Zagłębiakami istniały antagonizmy, które przetrwały do dnia dzisiejszego, choć (poza stadionami) nie odgrywają już żadnej roli. Dla rodowitego Ślązaka po przekroczeniu rzeki Brynicy rozciągał się „czerwony matecznik”, kraina gdzie uwielbia się towarzysza „Wiesława”,

podziwia się Gierka i z rozrzwinieniem wspomina się sojusz robotniczo-chłopski. Jednym słowem – czuje się nostalgicznie za „prawdziwą” Polską Ludową.

Czerwony matecznik

Czy faktycznie Zagłębie było i jest „czerwonym matecznikiem”? Czy faktycznie jego mieszkańcy należeli do robotniczo-chłopskiej grupy obywateli PRL-u, głęboko uświadomionych politycznie i wierzących tylko w komunistyczny raj na ziemi? Sprawdzmy.

Zawiercie to miasto powiatowe (na prawach miejskich od 1915), leżące na terenie historycznej Małopolski. Mimo swojego położenia zaliczane jest do Zagłębia Dąbrowskiego ze względu na bliskość miast Zagłębia oraz XIX-wieczny rozwój przemysłu włókienniczego, hutniczego, odlewniczego czy szklarskiego. Obecnie miasto ma blisko 50 tys. mieszkańców. W okresie międzywojennym liczyło około 30 tys., a – co ciekawe – olbrzymi przemysł zawierciański w okresie międzywojennym i jeszcze w latach pięćdziesiątych zatrudniał więcej pracowników niż miasto liczyło ludności.

Niedobór robotnika miejscowego uzupełniali chłopi z pobliskich miejscowości, tworząc typową społeczność robotniczo-chłopską. Wszelkie zawirowania historyczne, które dotyczyły miasto (a przede wszystkim przemysł) powodowały, że Zawiercie okresowo nazywano „miastem umarłym” lub „miastem bezrobotnych”. Taki stan zaznaczał się silnym wpływem komunistycznym i tak w roku 1928 komuniści w mieście zdobyli blisko 25% głosów, a PPS około 8%. W tym okresie działaczem komunistycznym w Zawierciu był Towa-

fol. Aleksander Bąba



Były „pomnik wdzięczności” w Pilicy



Kapliczka w Kocikowej, 1945

rzysz „Wiesław” – Władysław Gomułka. W roku 1930 doszło do starć zbrojnych pomiędzy bezrobotnymi a policją. Zginęły trzy osoby, a dzień ten – 18 kwietnia 1930 – nazwano „Krwawym Piątkiem”.

Zawiercie leży w połowie drogi pomiędzy Częstochową a Krakowem, czyli w środku Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Nazywane jest „Bramą do Jury”. Tu rozchodzą się szlaki turystyczne na tereny Parku Krajobrazowego Orlich Gniazd do atrakcyjnych turystycznie obszarów wapiennych ostańców i średnio-wiecznych ruin zamków w Ogrodzieńcu, Bobolicach, Mirowie, Smoleniu czy w Morsku. Najbliższe okolice Zawiercia obfitują także w rezerwaty skalne i przyrodnicze, wymarzone dla miłośników turystyki i wspinaczki, stanowiące największy obszar wspinaczkowy w Polsce.

Pomniki niewyobrażalne

Pasma ciągnących się jurajskich ostańców to również w ich okolicy duża ilość cmentarzy wojennych. Takie ukształtowanie terenu sprzyjało prowadzeniu wielomiesięcznych walk pozycyjnych. Gdzieś tam znajdziemy mogiły powstańcze z roku 1863 oraz – niewyobrażalne, a jednak prawdziwe – pomniki wdzięczności, stawiane po uwłaszczeniu włościan na cześć cara Rosji Aleksandra II (niestety nie znajdzie się ich w żadnym przewodniku turystycznym). Stawiane były przez miejscowych chłopów inspirowanych (tzn. przymuszanych do fundowania) przez carskich naczelników wojennych. Do chwili obecnej przetrwało ich bardzo mało. Kilka z nich zachowało oryginalne dziękczynne napisy. Przykład:

Błogosław Boże Najjaśniejszemu, ALEKSANDROWI II, Cesarzowi Wszech Rosyi, Królowi Polskiemu, Za nadanie nam Prawa, W dniu 19 lutego/2 marca 1864 r. Wdzięczni Włościanie – Za bytności, naczelnika wojennego, Uczastka Pileckiego,

porucznika A. Kmit, 1866 r.

Na szczycie pomnika w kształcie prostokątnej korony widoczny jest monogram cara Aleksandra II – stylizowana litera „A”, zwieńczona koroną wpisaną w okrąg ułożony z liści laurowych, otoczony napisem: *POD TWOJEM BERŁEM SZCZĘŚCIE POLSKI* (wszystkie napisy przytaczamy tu w ortografii oryginalnej).

Pomnik taki z czytelnym napisem zachował się w powiecie zawierciańskim tylko w Chlinie Dolnej. Na większości monumentów po roku 1918 napisy te zostały skute, a niektóre z nich, jak np. na pomniku w Pilicy, zostały przerobione. W miejscu, gdzie znajdował się kiedyś „dziękczynny” napis, zamontowano orła oraz wykuto nowy napis o treści: *NA PAMIĄTKĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI XI/1918 – XI/1927 r.*

Znane pomniki wdzięczności wykuto się z kamienia wapiennego. Z uwagi na identyczną wielkość i kształt musiały być wykonane w tym samym warsztacie kamieniarskim. Na ich szczycie osadzony został krzyż o charakterystycznym kształcie. Krzyże te wykonywane były w fabryce w Białogonie pod Kielcami. Wiadomo, że wykonano ich 200 sztuk.

Trwałość formy

Zwiedzając okolice powiatu zawierciańskiego, można natknąć się na kapliczki, które do złudzenia przypominają opisane „pomniki wdzięczności”, ale wyrażają treść zupełnie inną. Jest ich około czterdziestu. Usytuowane są przy drogach, na skrzyżowaniach dróg oraz na terenie prywatnych posesji. Na tym terenie utrwaliła się pewna – wymuszona przez zaborcę – forma, ale treść tworzyła się już spontanicznie. Nowi budowniczowie nie przeglądali światowych katalogów. Wznosili ta-



Kapliczka w Pomrożycach, 1951, fot. A. Bąba



Kapliczka w Gieble, 1949

kie obiekty, jakie – ich zdaniem – były normą w okolicy.

Tego typu pomniki-kapliczki stawiane były na solidnym, cementowym fundamencie, na którym osadzono podstawę wymurowaną z jurajskiego kamienia wapiennego. Na tak przygotowanej podstawie ustawiony jest górny betonowy segment w formie prostopadłościanu zwieńczonego stylizowaną koroną, na której ustawiony jest betonowy krzyż. Na widokowej stronie segmentu wypisane są sentencje o różnych treściach. Obok nich wryto daty wystawienia kapliczek – co ciekawe – przeważnie z okresu propagowanego w „Czerwonym Zagłębiu” ateizmu. Na niektórych kapliczkach, w tylnej ich części, wypisane jest nazwisko wykonawcy: „A. Brąblik, Kocikowa”.

Andrzej Brąblik urodził się w roku 1890 w Kwaśniowie koło Klucza. W roku 1913 zamieszkał w Kocikowej koło Pilicy. Był chłopem, prowadził małe kilkunastohektarowe gospodarstwo. Praca na roli nie wystarczała Brąblikowi, założył więc kuźnię, miał także warsztat kamieniarski. Rozpoczął produkcję wyrobów cementowych oraz otworzył sklep. Wnuczka Brąblika, Stanisława Żyła, wspomina go jako człowieka uczciwego i dobrego o pogodnym usposobieniu, bardzo religijnego. Może dlatego jeszcze podczas wojny w 1942 roku wybudował kapliczkę-pomnik przy drodze do Biskupic, a zaraz po zakończeniu wojny wybudował kapliczkę przy swoim drewnianym domku. W roku 1946 Andrzej Brąblik wraz z Antonim Wnukiem postawili podobną w Ryczowie przy drodze leśnej do Pilicy, a w 1949 – na Górcie przy wjeździe do Kocikowej. Wszystkie te cztery kapliczki przypominały wyglądem starsze od nich pomniki „wdzięczności”. Dzieła Brąblika podobały się okolicznym mieszkańcom, a do jego zakła-



Kapliczka przy szosie nr 790, rok 1953

du zaczęli zgłaszać się klienci, zamawiający budowę „takiego samego” pomnika.

Kapliczki przydrożne

Nowe kapliczki kamieniarz budował dla fundatorów z okolicy Zawiercia przeważnie w miejscach drewnianych krzyży. Nowe kapliczki stawiano na terenach oddalonych od warsztatu o nawet kilkadziesiąt kilometrów. Na wybrane miejsce przywożono piasek, cement z pobliskiej cementowni WIEK w Ogrodzieńcu, a także polne kamienie. Z tego materiału powstawał fundament oraz dolny segment kapliczki. Na tak wybudowanym postumencie montowano górne segmenty. Były to gotowe elementy, wykonane wcześniej w zakładzie Brąblika.

Dekoracje i zdobienia elementów betonowych wykonywano w odpowiednio przygotowanych formach drewnianych. Tekst inskrypcji – omawiany i zatwier-

dzany przez fundatora – wydrapywany był w betonie jeszcze przed jego utwardzeniem. Kapliczkę zwieńczał betonowy krzyż, osadzony w otworze górnego segmentu. Pod krzyżem montowano betonowe „pudło” o łukowym sklepieniu, w którym można było umieścić gipsową lub porcelanową figurkę. W ten sposób postawiona kapliczka miała blisko 4 metry wysokości. Obiekty były do siebie podobne, jednak nie identyczne, co pokazujemy za zdjęciami. Niektóre z nich, w zależności od zasobności fundatora, są okazańsze i bogatsze w ozdoby, napisy i zewnętrzny wystrój.

Sentencje niezwykłe

Jedna z najwcześniejszych wybudowanych kapliczek (przy domu Brąblików) nosi napis: JEZUS MARYJA NIECH WAM BĘDZIE CZEŚĆ I CHWAŁA ZAWSZE I WSZĘDZIE FON. A. i B. BRĄBLIKOWIE, KOCIKOWA ROK P. 1945.

Pomrożyce to wieś oddalona od Kocikowej o ponad 20 km, tutaj stoją dwie kapliczki wybudowane przez Brąblika w roku jak najbardziej stalinowskim: 1951. Obydwie zostały ufundowane przez mieszkańców Pomrożyc. Na jednej z nich jest napis: O JEZU POKORNIE CIĘ BŁAGAMY, NIECH POKÓJ SERCA I DUSZY W TOBIE MAMY. FUNDATOROWIE GROMADA POMROŻYCE ROK P. 1951.

Bzów – obecnie dzielnica Zawiercia – to dawny zaścianek szlachecki. Tutaj przy ul. Konopnickiej została postawiona kapliczka w roku 1959, a na jej licu widnieje napis: BOŻE BŁOGOSŁAW WSZYSTKIM, KTÓRZY CIĘ WZYWAJĄ. STRZEŻ I ZACHOWAJ OD ZŁEGO, KIEDY W TOBIE UFAJOM, ROK P. 1959.

Trudno opisać wszystkie sentencje umieszczone na blisko 40 kapliczkach. Odnotujmy dwie charakteryzujące okres, w którym były stawiane. To kapliczka w Gieble przy ul. Częstochowskiej, wybudowana w roku 1949 w miejscu starego drewnianego krzyża, datowanego na rok 1843. Na kapliczce tej widnieje sentencja: BOŻE BŁOGOSŁAW PRACY ROLNIKA. GIEBŁO DN. 15. IV. ROK P. 1949.

I jeszcze jedna kapliczka, okazalsza i większa od innych, wystawiona przy szosie nr 790 prowadzącej do Giebła. Ta kapliczka została postawiona w miejscu szczególnym, obecnie na skrzyżowaniu ulic Edukacyjnej z Zawierciańską, gdzie w tamtych czasach był przystanek przewozu pracowniczego. Chłoporobotnicy, dojeżdżający do przystanku z dalszych odległości na rowerach, pozostawiali je do czasu powrotu u zaprzyjaźnionego miejscowego gospodarza. Podczas rozmów w oczekiwaniu na przewóz pojawił się pomysł wybudowania w tym miejscu kapliczki. Pomysłodawcy wyczuwali potrzebę polecenia się opiece boskiej na

czas pracy. Finansowanie budowy przez robotników wsparli mieszkańcy pobliskich zabudowań. Tak w 1953 roku rozpoczęła się budowa kapliczki na posesji Kazimierza i Franciszki Cichorów. Przy budowie pomagał Brąblikowi murarz z rodziny Cichorów. Na wystawionej kapliczce wypisano sentencję:

PÓJDŹCIE DO MNIE WSZYSCY, KTÓRZY PRACUJECIE I OBCIĄŻENI JESTEŚCIE, A JA WAS OHLÓDZĘ. CHWAŁA NA WYSOKOŚCI BOGU, A NA ZIEMI POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI. – BUDOWA TEJ FIGURY Z DOBROWOLNYCH OFIAR ROBOTNIKÓW GIEBŁA I KIEŁKOWIC. – NA CZEŚĆ CHRYSYTUSOWI W HOŁDZIE ROBOTNICZY 1953.

W treści tej sentencji jest ukryty obraz i dużo prawdy, jacy byli ROBOTNICZY 1953 roku – na pewno inni niż pisała, mówiła i chciała PRL-owska propaganda. Już sama ortografia świadczy, że „figurę” zbudowano bez inspiracji, a nawet bez wiedzy władz kościelnych czy jakichkolwiek innych.

Mówi się, że jeśli nie ma opiekuna jakiegoś obiektu, to jest on własnością „każdego”, a do opieki... niczyją. Dlatego warto wspomnieć opiekunów kapliczek, które w większości są zadbane. Trudno opisywać i wymieniać wszystkich, może przykładowo tych od kapliczki „robotniczej”. Postawiona na posesji rodziny Cichorów była przez nich doglądana do 1992 roku przy wsparciu sąsiada Jarosława Guzika. Opiekę nad kapliczką przejęła ich córka Kazimiera wraz z mężem Jerzym Jarosem. Obecnie od 2005 roku kapliczką opiekuje się wnuk Antoni Jaros z żoną Urszulą. W maju 2020 kapliczka ze szczególną starannością została odnowiona przez Urszulę Jaros.

Andrzej Brąblik zmarł w lutym 1978 roku. Ostatnia jego kapliczka (już po jego śmierci) została postawiona w Cisowej w roku 1980 w miejscu, gdzie stał drewniany krzyż z czasów powstania styczniowego. W 1974 roku właściciele posesji, państwo Rochowie, zdecydowali, że na miejscu dawnego krzyża, ufundują kapliczkę. Do Andrzeja Brąblika pojechał Franciszek Roch i złożył zamówienie. Jednak przywieziona na miejsce w elementach kapliczka nie została postawiona z uwagi na „brak zezwolenia administracyjnego na budowę”. Wyleżała się na placu do roku 1980. Wraz z gospodarzami wymurował ją i złożył murarz ze Smolenia, Jan Sikora. Na postawionej kapliczce wypisana jest sentencja: JEZUS MARIA, MY SIĘ ZAWSZE WASZEJ OPIECE POLECAMY ROK P. 1974. W 1981 roku w nowej politycznej rzeczywistości, w okresie „Solidarności” podczas obrzędu poświęcenia pól w Cisowej kapliczkę poświęcił proboszcz parafii św. Jana Chrzciciela w Pilicy ks. Kanonik Mieczysław Zaława.



Kapliczka w Cisowej, 1974

– Nie wyobrażam sobie świata bez prasy drukowanej! – stwierdził Adam Daszewski, redaktor-wydawca „Dziennika Zachodniego” w rozmowie z Julią Suberlak, członkinią Koła Dziennikarskiego GOK w Mierzęcicach. Młodzi dziennikarze z warsztatów dziennikarskich prowadzonych przy mierzęcickim Gminnym Ośrodku Kultury, czy przy Muzeum Miejskim „Szttygarka” Dąbrowie Górniczej są dociekliwi, mają wiele pasji i chętnie mierzą się z gatunkami prasowymi, które wymagają dobrego warsztatu literackiego. Młodzi reporterzy widzą swoją przyszłość w mediach.

Na pytanie o to, co jest najciekawsze w pracy dziennikarskiej, uczestnicy warsztatów odpowiadają bez zastanowienia, że spotkanie ciekawych ludzi i poznawanie ich. A młodzi ludzie potrafią drążyć temat, być kreatywnymi i pełnymi wrażliwości. W bardzo dojrzały sposób podchodzą też do kwestii pisania. Są staranni i posługują się ładną polszczyzną. Tworzą reportaże, wywiady prasowe, felietony i eseje.

– „Kiedy otwieram okno?” – zastanawia się w swoim tekście Maria Pieczarka uczestniczka warsztatów dziennikarskich Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej. – „Gdy jest chłodno okna w domach raczej są zamknięte, większości ludzi wystarcza światło wpadające przez szybę. (...) Tylko że człowiek nie potrafi żyć w ułudzie rzeczywistości, potrzebuje rzeczy prawdziwych. Relacje między ludźmi są tego najlepszym przykładem, gdzie media społecznościowe są tylko wygodną szybą”

Nie wyobrażam sobie świata bez prasy drukowanej!

Trudno o lepiej oddający „dziennikarskość” czyli spotkanie autora tekstu i rozmówcy, zadawanie pytań, poszu-



Członkowie Koła Dziennikarskiego GOK Mierzęcice, wycieczka do redakcji Dziennika Zachodniego, czerwiec 2017 r.

fot. Agnieszka Zielińska

Młoda scena dziennikarska

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

kiwanie odpowiedzi) gatunek dziennikarski, niż wywiad. Młodzi dziennikarze mieli okazję zmierzyć się z nim rozmawiając np. z Ewelina Kosalką-asią, reporterką Polskiego Radia Katowice, czy z Adamem Daszewskim, wieloletnim redaktorem-wydawcą „Dziennika Zachodniego”, scenarzystą, kolekcjonerem pocztówek marynistycznych. Z dziennikarką radiową rozmawiały: Paulina Flacha, Małgorzata Płatek i Nadia Winek z Koła Dziennikarskiego GOK Mierzęcice (wywiad odbył się w październiku ub.r., został opublikowany na fanpage’u na Facebooku „Medialny świat”). Padały pytania o charak-

terystrykę pracy w radiu, kwestię tremy, dziennikarskie wyzwania i plany. Dziewczyny chciały też wiedzieć, która ze sławnych osób, z którą przeprowadzała wywiad Ewelina Kosalka, szczególnie zapadła jej w pamięć.

– Jest to dla mnie trudne pytanie – odpowiedziała reporterka. – Może dlatego, że rzadziej rozmawiam z postaciami sławnymi, niż ze zwykłymi ludźmi. Ostatnio jednak przeprowadzałem wywiad z aktorką Anną Dereszowską. Osobą doskonale znaną młodym ludziom. Jest rodowitą mieszkanką Śląska, pochodzi z Mikołowa. Spotkałyśmy się w Mysłowicach i zrobiła na mnie miłe wrażenie, ponieważ jest przesympatyczna i skromna. Powiedziałabym, że nawet była onieśmielona, pojawieniem się mikrofonu, co mogłoby wydawać się dziwne, ponieważ od wielu lat pracuje przed kamerą. Mimo to cały czas ma w sobie skromność i dystans do samej siebie. Bardzo mi to zaimponowało, że można być sławnym, a zostać normalnym.

Jeśli chodzi o wywiad przeprowadzony z Adamem Daszewskim, Julia Suberlak, (także Koło Dziennikarskie GOK Mierzęcice) zapytała m.in. o przyszłość prasy drukowanej.

– Nie wyobrażam sobie bez niej świata – podkreślił redaktor Daszewski. – Jestem zresztą osobą, która przez ostatnich 30 lat pracowała w „Dzienniku Zachodnim”! Sadzę, że w internecie trudno oddzielić ziarno od plew, bo wiem nawet ktoś, kto sprawia bardzo solidne wrażenie może publikować treści wysane z palca. Już nie mówię

fot. Agnieszka Zielińska



Młodzi reporterzy Koła Dziennikarskiego przy Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej oglądają drukarskie minimuzeum w drukarni „Polska Press” w Sosnowcu, maj 2019 r.

o plotkach i jawnym oszukiwaniu ludzi. W prasie papierowej tego nie będzie, tak jak nie będzie w telewizji, czy w radio. Wiadomo jak kończą się sprostowania internetowe, że niewiele z nich tak naprawdę wynika. Prawo prasowe jest jednoznaczne. Jeśli „Dziennik Zachodni” napisze coś nieprawdziwego, będzie musiał to natychmiast sprostować, albo czeka go proces sądowy. Myślę, że prasa (nie mówię tu już o tygodnikach opinii, które nie mają żadnych problemów), także codzienna, będzie nobilitować. (...) Gazeta papierowa przetrwa na pewno.

Kochajmy zwierzaki

Uczestniczki warsztatów z SP nr 1 w Mierzęcicach im. Tadeusza Kościuszki (Natalia Kaziród, Julia Jasic, Martyna Czapla, Amelia Majerczak, Antonina Koszuta, Oliwia Klusa i Katarzyna Krzyżanowska) na swojego rozmówcę wybrały weterynarza – Macieja Dydaka z Mierzęcic (wywiad został przeprowadzony w 2018 r. w całości znajdujemy go w portalu „Medialny świat”). Padły pytania o to, jak dbać o psy i koty latem, jak roztoczyć opiekę nad szczeniakiem i o... najbardziej zaskakujące wizyty lekarskie.

– Po pierwsze musiałem poskładać złamaną łapkę gekona lamparciego. Było to trudne, bo zwierzę w całości ma długość zaledwie 15 cm – relacjonuje dr Dydak. – Musiałem też wykonać badanie ultrasonograficzne... samicy geparda w zoo w Chorzowie, aby sprawdzić, czy zwierzę nie jest w ciąży. Ge-



Uczestnicy warsztatów dziennikarskich w Radiu Katowice, 2019 r.

pard był oswojony i nieagresywny, ale proceder był niebezpieczny, ponieważ nie można było zwierzęciu podać środków uspokajających, ani usypiających. Wszystko skończyło się dobrze i badanie wykonałem. Składałem też połamane kończyny lamom. W Mierzęcicach pomagam właścicielom psów i kotów, ale nie tylko. Także osobom, które mają chore gołębie, świnki morskie czyli kawi domowe (zgodnie z nowym nazewnictwem), fretki. Zgłosiła się do mnie również właścicielka papugi, która nie mogła znieść jajka, co zagrażało życiu ptaka. Udało się ją uratować.

Maciej Dydak w rozmowie zwrócił też uwagę, co młode reporterki podkreśliły

w swoim tekście, że – zwierzę zasługuje na naszą miłość i szacunek, ponieważ jest wobec człowieka bezbronne i bezgranicznie nam oddane.

– Tym bardziej wszelkie zachowania bestialstwa wobec zwierząt wymagają piętnowania i karania. Jeśli mamy wiedzę o przypadkach znęcania się nad zwierzętami powinniśmy to zgłosić policji – podkreślał rozmówca.

Warto śledzić losy młodych dziennikarzy, bo z pewnością to oni są przyszłością śląskich mediów. W dobie pandemii warsztaty dziennikarskie w formie on-line prezentuje muzeum „Szttygarka” na stronie internetowej i można je obejrzeć na FB w „Medialnym świecie” ■



Uczestnicy warsztatów dziennikarskich i finaliści konkursu dziennikarskiego GOK Mierzęcice przy ławeczce Stanisława Ligonia, założyciela radia Katowice, październik 2019.

Książka dziwnie rzadka. „Catalogus ducum...” Teodora Zawackiego

JAN MALICKI

Edycja kolejnego zbioru wizerunków królów i książąt polskich, z roku 1609, raczej nie mogła zaskoczyć czytelników. Wszak od momentu ukazania się, bodaj, czy nie największego bestselleru renesansowej literatury historycznej, jakim były „*Zywoty królów i książąt polskich*” Klemensa Janickiego, i to opublikowanego dopiero w 20 lat od momentu śmierci poety, do czasu ukazania się dziełka Zawackiego, Janicjuszowa edycja doczekała się aż 9 wydań w kraju i w Europie.

A przecież były również dostępne zbiory innych twórców o podobnej tematyce: Jana Achacego Kmity, Bartosza Paprockiego, Jana Głuchowskiego, Sebastiana Fabiana Klonowica, po sławnej edycji Arnolda Myliususa „*Regum Polonorum imagines*” z 1594 roku.

Nie mogła też zadziwić i tematyka. Cała kultura staropolska, szczególnie w okresie jej sarmatyzacji, zapatrzona

była w przeszłość. I to w tę możliwie najdalszą. Szczególnie zaś biografistyka historyczna stanowiła domenę szeroko rozumianej wiedzy o przeszłości; a opowieści o władcach naszego kraju należały wręcz do kanonu, zbioru stałych elementów wypowiedzi pisarskiej, do topiki inkrustującej każdą wypowiedź, każdy tekst retoryczny.

Były argumentacją, współtworzącą zasób silnie skonwencjonalizowanych form wypowiedzi paraliterackiej. Szczególnie zaś mit początku narodu i topika lechicka.

Co więcej, historyzm stanowił od czasów XV-wiecznych uczonych Jana z Dąbrowki i Jana Długosza ważny składnik uczoności; niezbywalny wskaźnik erudycji każdego wychowanka Akademii Krakowskiej, ale i wiedzy obiegowej, zasadzającej się właśnie na znajomości faktów z dawno już minionych czasów.

Zywiół historyzmu ogarniał i kreował więc ogromną przestrzeń myśli i słowa, od najprawdziwszej prawdy, poprzez migotliwe prawdopodobieństwo, po najzwyczajszą fikcyjność z bohaterem w tle. Ale celem zawsze było sprawienie czytelnikowi przyjemności estetycznej, zaskoczenie, nade wszystko zaś pouczenie.

Cała wiedza historyczna zasadzała się bowiem na retorycznym pouczeniu; traktowaniu przeszłości jako swoistego exemplum, przykładu, ale i znaku dla współczesnych. Dodajmy od razu – przykładu i znaku, interpretowane w kategoriach etycznych: dobra i zła.

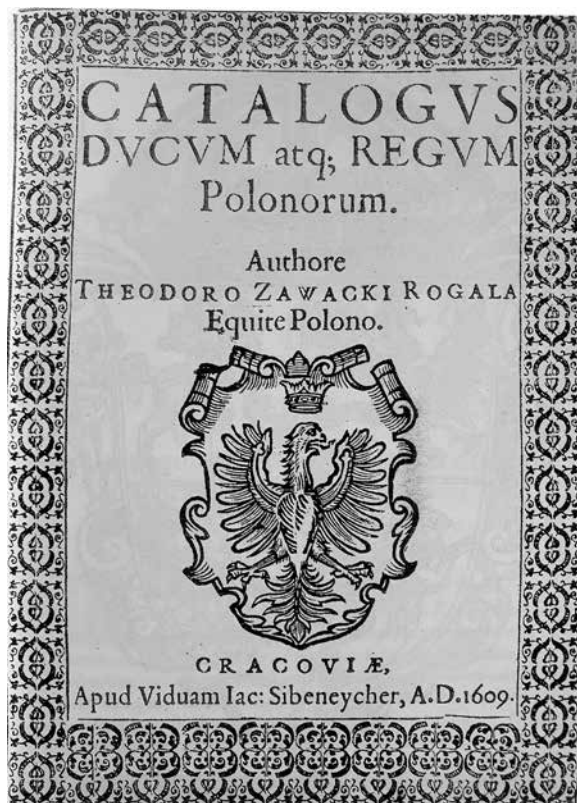
Taki był zresztą zamiar Teodora Zawackiego. Pisał: „Zadbaliśmy w nim („Katalogu” – JM) z wielkim staraniem, aby przedstawić

to, co ma największy wpływ na kształtowanie szlachetnego postępowania i pielęgnowania dobrych obyczajów oraz polecić to, co wpłynęło na odwagę i wielkoduszność książąt i królów polskich”.

Z pewnością również i szata graficzna nie mogła się przyczynić do uatrakcyjnienia i oceny w stopniu najwyższym owego dziełka. Ikonografia w nim zamieszczona nie odbiegała bowiem od innych przekazów historycznych czy historyograficznych. Co więcej, i to jest ogromne zaskoczenie, jest identyczna z drzeworytami wykorzystanymi w innych drukach; u Joachima Bielskiego, Jana Paszkowskiego, Jana Głuchowskiego i Aleksandra Gwagnina. Owe powiązania zdradza identyczne pęknięcie klocka drzeworytniczego, dostrzegalne w niektórych wizerunkach; np. w drzeworycie przedstawiającym Wacława Czeskiego, między innymi u Głuchowskiego i Zawackiego, ze zmienionymi jedynie ramkami okalającymi wizerunek władcy, czy zamianę przedstawianych postaci, jak to się stało z wizerunkiem Zygmunta Luksemburskiego (Zawacki) i Władysława Łokietka (Głuchowski). Czyżbyśmy dotykali tajemnic warsztatowych impresorów krakowskich?

Skąd zatem wzięły się uwagi przez całe dwa stulecia podkreślające atrakcyjność edycji katalogu Teodora Zawackiego, niezwykle popularnej wśród czytelników, wprost przez nich zacytanej? Skąd opinie wybitnych koneserów i znawców literatury: Tadeusza Czapskiego („dzieło rzadkie”), Kazimierza Chodynickiego („dzieło nadzwyczajnej rzadkości z najlepszych dzieł opisów polskich zebranych” – sic), Józefa Andrzeja Żałuskiego („Książka dziwnie rzadka”; a przy okazji dodając: „Wessel, biskup inflancki dał za egzemplarz 50 dukatów”). Mamy więc do czynienia z dziełem niezwykle, zaskakującym i przyciągającym uwagę każdego czytelnika. Współczesnego również.

Autorem owego dziełka był człowiek, który pieczętował się herbem Rogala. Był więc szlachcicem; należał do szlachty nowej, niedawno nobilitowanej, bo za-

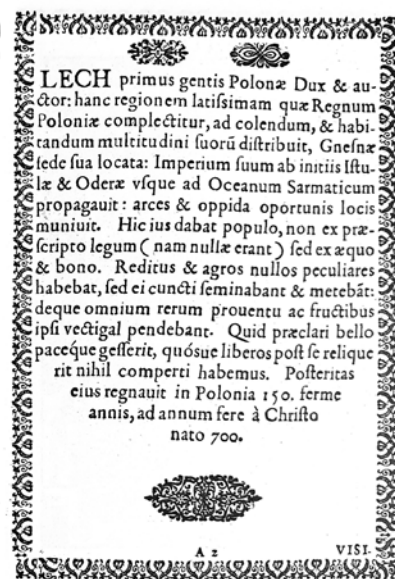


ledwie w pokoleniu rodziców Teodora, dokładnie w 1572 roku. Tę szlachtę będzie opisywać Walerian Nekanda Trepka w swoim dziele „Liber Chamorum”. Ale rodziny Zawackich w nim nie znajdujemy. O wiele więcej informacji o rodzie Zawackich, zwłaszcza o ojcu Teodora – Stanisławie z przezwiskiem Picus, profesorze Akademii Krakowskiej, spotykamy u współczesnemu mu wybitnego pisarza i heraldyka Bartosza Paprockiego (ok. 1543–1614), autora wydanych (w roku śmierci Jana z Czarnolasu) „Herbów rycerstwa polskiego”. Zasłynie on nie tylko funkcjami akademickimi; był rektorem, ale nade wszystko ostrymi polemikami z jezuitami, w momencie przejmowania przez nich Akademii oraz niezwykłą twórczością literacką.

Teodor urodził się w drugiej połowie XVI stulecia. Nie wiemy dokładnie kiedy. Nie zachowały się żadne szczegółowe informacje o jego dzieciństwie i wieku młodzieńczym. Nie wiemy nawet, gdzie się kształcił. Zapewne w Krakowie, być może w Akademii. Ale czy pod okiem ojca? Wiemy natomiast, iż szlakiem wielu humanistów wędrował po Europie. Przebywał we Francji, Włoszech, Niemczech. Podróżował też przez Śląsk, zapewne przez stołeczny Wrocław. I być może wtedy zetknął się z niezwykle silnym środowiskiem intelektualnym, skupiającym grono niezwykłych humanistów, które z czasem wyda słynną barokową szkołę śląską.

Z owych peregrynacji przywiezie do głębną znajomość prawa, skoro w 1602 roku ukazuje się *Formula processus iudicarii*. W cztery lata później osiada w Krakowie, na stałe poświęcając się działalności prawniczej. I wydaje.

Powstaje cały zbiór rozpraw z zakresu prawodawstwa, wielokrotnie przedrukowywanych do połowy XVII stulecia zarówno w Krakowie, jak i stołecznej Warszawie. Nic więc dziwnego, iż po-



stać jego rychło znalazła się w „Setniku pisarzy polskich, albo pochwałach i żywotach stu najznakomitszych pisarzy polskich” (Frankfurt 1625; Wenecja 1627; Frankfurt 1644).

Przywołajmy zatem słowa Szymona Starowolskiego: „Pelen wdzięku autor piszący prozą i wierszem. Był także biegły w nauce prawa i historii wszystkich wieków, wszystkich narodów, szczególnie własnego. Pisał dzieła z obu tych dziedzin, częścią po polsku, częścią po łacinie. Dzieła jego: *Proces sądowy w Rzeczypospolitej Polskiej*, *Compendium, to jest krótkie zebranie praw*, *Porządek książy i królów polskich*, *Przewodnik prawa cywilnego i kościelnego*, *Księga kwestii politycznych* i wiele innych, drobniejszych, pisanych prozą lub wierszem.

Dzieła te łatwiej mogłyby go uczynić sławnym, gdyby znalazł się ktoś, kto przyszedłby mu z pomocą pieniężną. Inaczej cnota człowieka niskiego stanu z trudnością może się wybić. Podobnie winna latorość; jeżeli nie oprze się na tytce lub na jakimś drzewie, i które zaczepia się gałązkami, pnąc do góry, pozostanie na ziemi, zdziczeje i nie będzie mogła wznieść się ponad ciemność swego otoczenia. Z tego właśnie powodu ludzie, którzy pragną służyć Rzeczypospolitej, nie tylko na dworze lub na publicznych urządach, lecz nauką lub piórem, często wpadają w niedostatek, a imieniem nie dorównawszy obcym, doznają wzgardy i lekceważenia, gdy brak im opiekunów, którzy by chcieli poprzeć ich wysiłki.”

Uwaga wybitnego polihistora, mimo ogólności, ukazuje kondycję, w jakiej się znajdował Zawacki. Zmarł ok. 1637 roku. Jednak pozostał w pamięci następców jako „wielkiego ojca synem był wielki Zawacki”. To słowa Jana Jascroviciusa. Ale także jako popularyzator historii. Miał tego świadomość, pisząc: „Jeśli

chcesz rzecz poznać dokładniej zajrzyj do Kromera, który jako pierwszy wydo był nieujawnione przez długi czas przykre sprawy i ubrał w piękne frazy i pełne powagi zdania. Jeśli chcesz poznać to, co najważniejsze polecamy Herburta; jeśli pokrótce – proponujemy Gwagnina; jeśli najbardziej pobieżne, dajemy ci ten oto katalog.” (przekł. Ł. Tofliński).

W wierności źródłom, zetknięści autorskiej i potrzebie chwili upatrywałbym atrakcyjności owego dzieła. Jednak nie na tym kończy się historia egzemplarza ze zbiorów Biblioteki Śląskiej. Biorąc go do ręki dostrzegamy, że nie ma oryginalnej oprawy; jest on na nowo oprawiony, zapewne gdzieś – wolno przypuszczać – w XVIII wieku, z dodanym na odwrocie ekslibrisem nie byle kogo, bo Andreasa Comesa Hadika de Futak (1710–1790), austriackiego feldmarszałka, który zasłynął na Śląsku z walk z Prusakami pod Nysą (1740–1748), a nade wszystko ze zdobycia Berlina w wojnie siedmioletniej.

Była to „najsynniejsza akcja huzarska w historii”. Ale też z wojskami, którymi dowodził gen. Esterhazy, wkroczył do Polski w roku 1774. Na rok też został gubernatorem Galicji.

I oczami wyobraźni widzę, jak przeglądając po przeszło 170 latach od momentu publikacji dzieła; on lub jego bibliotekarz, wkleja ekslibris, wpisuje nr 208 i tytuł „Theodori Zawacki Catalogus Ducum atq Regum Polonorum. Cracovia 1609”. ■



Pustelnia parmeńska Stendhala Powieść „to the happy few”

JERZY PASZEK

Zasadniczym problemem jest zaliczenie czytanego dzieła do właściwego kanonu lektur. Henryk Markiewicz w wywiadzie udzielonym Magdalenie Miecznickiej („Dziennik” 2006, nr z 7 XI) sugeruje, iż można wyodrębnić nawet sześć takich kanonów: „Inny kanon obowiązuje czytelnika o wykształceniu podstawowym, inny np. intelektualistę, a jeszcze inny kogoś, kto ma się zajmować zawodowo literaturą. W każdej z tych kategorii rozróżnić też trzeba kanon minimalny i kanon maksymalny”. Nie jest ta fundamentalna wskazówka lekarstwem na każdą wątpliwą sytuację kontaktu czytelnika z wybranym przezeń utworem. Albowiem na tę siatkę nakłada się jeszcze – moim zdaniem – inny podział: można oddawać się lekturze „po bożemu”, czyli czytając „na zdrowy rozum”, zgodnie z oczekiwaniami autora, ale częstokroć ostatnio zdarza się, iż odbiorca patrzy na konkretny tekst z bardzo dziwnej perspektywy, np. na *Murzynka Bambo* jako wyraz poglądów kolonialnych czy nawet rasistowskich! Do *Ferdydurke* można podejść, zgodnie z hasłami zwrotu analnego, jako narracji, w której Syfon wcale nie jest ksywą kogoś pysznego (skojarzenie z butelką do napojów gazowanych), ale ukrywa subwersyjnie jakoweś rury kanalizacyjne (zob. T. Kaliściak: *Gombrowicz od tyłu. Projekt krytyki analnej na przykładzie powieści „Ferdydurke”*, „Śląskie Studia Polonistyczne” 2016, nr 1-2, s. 75).

Dociekania historyków literatury coraz mniej przypominają XIX-wieczne prace biograficzne, psychologizujące czy filologiczne, stając się popisem konfabulacji, mieszania faktów i fikcji. W Polsce można wspomnieć choćby o tomach Jarosława Marka Rymkiewicza (*Aleksander Fredro jest w złym humorze, Juliusz Słowacki pyta o godzinę, Żmut czy Baket*). Markiewicz we wspomnianym wywiadzie mówi o Rymkiewiczu: „Jako lektura jest to rozkoszne, jako nauka – broń nas Panie Boże, żeby wszyscy mieli tak pisać!”

Krzysztof Rutkowski (rocznik 1953, polonista i romanista) wydaje serię swoich oryginalnych opracowań literackich pod nazwą *przepowieści bądź pasaż*. Do takich przepowieści zalicza studium pt.

Zakochany Stendhal. Dziennik wyprawy po imię (Gdańsk 2005, skrót: R). O tej libelli – bogato ilustrowanej, m.in. podobizną przedpotopowej Wenus, co najmniej sprzed 31000 lat, odkrytą w roku 1995 w grocie Chauveta – chcę tu pisać. Tadeusz Komendant w świetnej recenzji owej książki („Twórczość” 2006, nr 10) powiada, iż Rutkowski stwarza portret Stendhala fantazmatycznego.

Otóż można *Pustelnię parmeńską* z roku 1839 czytać jako narrację pełną przygód i romansów, czyli tak, jak gdyby należała do kanonu lektur czytelnika o wykształceniu podstawowym i zaliczała się do zbioru maksymalnego (literatura popularna o pewnym poziomie, gwarantowanym przez nazwisko twórcy arcydzieła pt. *Czerwone i czarne*). Ale po zapoznaniu się z narracją z pogranicza fikcji i faktu, jaką nam proponuje Rutkowski, kontakt z *Pustelnią parmeńską* radykalnie się zmienia! Czytamy, by sprawdzić, czy można wybitny i obszerny (dwa tomy, s. 418) utwór napisać w ciągu niecałych dwu miesięcy (dyktowanie od 4. listopada do 26. grudnia 1838; R 8 i 42). Badacz przekonuje czytelnika, iż „dzieło H. [Stendhala] wzywa do lektury **paradygmatycznej**, ponieważ liniowe następstwo wydarzeń ustępuje oczywistym powinowactwom pomiędzy całymi utworami, czyli relacjom homologicznym. Dzieło H. wymaga więc lektury polifonicznej, wertykalnej, lektury zwielokrotnionej” (R 353-354, podkr. K.R.). O co chodzi? Otóż czytelnik kanonu dla znawców oraz zbioru maksymalnego powinien sobie zdawać sprawę z jednolitości stylowej całości dzieła i notatek, czy przypisów Stendhala; uświadamiać sobie fakt, że istnieje „starannie wypracowany super-tekst, stanowiący *ne varietur* [wersję bez wariantów, błędną] dzieła. To wszystko, co naznaczyło pióra Beyle’a (lub jego laska, lub jego scyzoryk, lub Bóg raczy wiedzieć co) jest Stendhalem, bez różnicy i hierarchii” (R 345, cytat z G. Genette’a: *Figures II*, Paris 1969). To samo inaczej: „Georges Blin przed prawie pół wiekiem zauważył, że odkrycie nowych tekstów H. w niczym nie zmieni »Stendhala« danego, lepiej – zadanego, bo on cały jest obecnym w każdej istniejącej karcie” (R 9).

Giuseppe Tomasi di Lampedusa w swoich wykładach o literaturze francuskiej mówił, iż można sądzić, że dzieła Stendhala „zostały zapisane, by tak rzec, w dwóch kolumnach równej wielkości: jedna z nich wyraża wrażenia przekazane za pomocą pisma, druga – przekazuje je wyłącznie za pomocą wymownego milczenia czytelnikowi zdolnemu do uważnego nadstawienia ucha” (R 372). Podam dwa przykłady takich przemilczeń w/z relacji wydarzeń erotycznych. Kontakt seksualny więźnia i Klelii w więzi Farnese jest niemal niezauważalny: „Była tak piękna, w połowie odziana i w tym stanie ostatecznej namiętności Fabrycy nie mógł się powstrzymać przed ruchem prawie mimowolnym. Żadnego oporu” (R 355). Księżna Gina oddaje się władcy Parmy podobnie bezsłownie jak Klelia: „Ośmielił się [Ernest V] pojawić za trzy dziesiąta. O dziesiątej i pół diuszesa wsiadła do karocy i ruszyła do Bolonii” (ib.). A oto przykład dziwnych przemilczeń w kwestii śmierci głównego bohatera *Pustelni parmeńskiej*: „Słowem, utrzymywała ona [hrabina Mosca] wszelkie pozory szczęścia, ale bardzo niewiele przeżyła Fabrycego, którego ubóstwiała, a który spędził tylko rok w swojej pustelni” (ib.).

Do podobnych zjawisk komponowania fabuły przez Stendhala zaliczają się „elipsy narracyjne” (R 358), czyli autorские rezygnacje z opisywania nieciekawych dla czytelnika fragmentów z życia bohaterów: „Prześlizgnijmy się po dziesięciu latach postępu i szczęścia, od 1800 do 1810” (Stendhal: *Pustelnia parmeńska. Lamieł*. Przeł. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1982, s. 16; dalej skrót PP); „Dzieje czterech następných lat trzeba by wypełnić dworskimi anegdotami, równie błahymi jak te, które opowiedzieliśmy przed chwilą” (PP 111); „Tu prosimy o przeskoczenie, bez jednego słowa, lat trzech” (PP 414). Nie jest to kłopotliwe – mam nadzieję – dla czytelnika, gdyż bywa przyzwyczajany w XX i obecnym wieku do najbardziej dziwnych niespodzianek, zgotowanych mu przez powieściopisarzy. Stendhal zresztą „osładza” odbiorcy tę gorzką kawę przez zabiegi antycypacyjne i często wprowadzane motywy przewodnie czy perse-

weracje. Przykładem niech będzie nieoczekiwane spotkanie dwojga bohaterów – Fabrycego i Klelii – już w piątym rozdziale: „» To byłaby urocza towarzyszka więzienia – rzekł sobie Fabrycy – co za szlachetne i myślące czoło! Ona umiała by kochać!« [...] – Która z tych pań nazywa się Klelia Conti?» (PP 72). Jest tu antycypacja pobytu młodego del Dongo w więzieniu i niezwykłych losów kochanków, aż po śmierć ich syna w rozdziale ostatnim.

Uwięzienie bohatera zapowiedziane zostało już w tytule, a potwierdzone przez złowrogą wróżbę, dotyczącą wymarszu Fabrycego na wojny napoleońskie w ubraniu zmarłego w kozie huзара: „Wszedłem w jego osobowość... i to mimo woli, nie przeczuwając czegoś podobnego! To pachnie więzieniem!... Wróżba jest jasna: czeka mnie dużo złego w więzieniu” (PP 34). I rzeczywiście, Fabrycy spędzi 10 miesięcy w cytadeli parmeńskiej, ale – po brawurowej ucieczce z wysokiej wieży więziennej – znów powróci do tego samego miejsca odosobnienia, by być bliżej ukochanej Klelii; już ta „pętla” czy „przewrotka” fabularna jest atrakcją dla czytelnika, a w końcu okaże się, iż po rezygnacji z kariery kościelnej bogaty del Dongo (po śmierci starszego brata, Askaniusza, delatora, dostaje po nim spadek) ponownie „schronił się w Pustelni parmeńskiej” (PP 418), tym razem w ostatnim roku swego życia. Innymi istotnymi motywami przewodnimi są m.in. odwołania do Napoleona (rozdział pierwszy zaczyna się zdaniem: „15 maja 1796 roku generał Bonaparte wszedł do Mediolanu na czele młodej armii” PP 8; na końcu powieści dewotki, słuchające kazań Fabrycego, „Wymyśliły, że był jednym z najdzielniejszych żołnierzy Napoleona”, PP 400), do Woltera i Russa (jako pisarzy niebezpiecznych politycznie), do Dantego i Petrarcki, a także modnej na początku XIX wieku sonetomanii: sonet Petrarcki, wydrukowany na chusteczce do nosa, był najcenniejszą pamiątką Klelii po kochanku z rodu del Dongo. Naczelnym leit-motivem powieści jest nuda: nudzą się władcy w pałacu (stałe bale i baliki, improwizowane spektakle teatralne, karciarstwo, miłośćki i intrygi) i mieszkańcy ksiąstewka Parmy (stąd ich wielkie oczekiwanie na powieszenie na szubienicy Fabrycego – za zabójstwo aktorki Giletiego w obronie własnej – i ich gniew, iż bohaterowi udało się uciec z więzienia!). Stendhal zdołał wykreować znakomite słowa skrzydlate swej powieści w apozycji: „nieubłagana pląga małych miast i małych dworów: nuda” (PP 215).

Z aluzjami do antycznej i średnio-wiecznej literatury nadchodzi duży dyskomfort lektora nie uzbrojonego w detaliczne wyjaśnienia edycji „Biblioteki Narodowej”. Bohaterowie mówią cytatami lub naśladują styl m.in. Tacyta czy Cy-



Stendhal, właśc. Marie-Henri Beyle

cerona. Arcybiskup Parmy, na pytanie ministra Moski o księdza Dugnanię, odpowiada: „Mały umysł, a wielka ambicja [...] mało skrupułów, a wiele potrzeb; no i grzeszków bez liku”. Mosca: „Tam, do kata! [...] Wasza Wielbność maluje jak Tacyt” (PP 244); „cyceroński styl” listu arcybiskupa, „sążniste zdania w stylu Cycerona” w liście Fabrycego (PP 177, 179). Narrator częstokroć bywa nieco tajemniczy: „Musimy wyznać, iż za przykładem wielu poważnych autorów zaczęliśmy historię naszego bohatera na rok przed jego urodzeniem” (PP 15). Główną postacią jest Fabricio Valserra, marchesino [syn markiza] del Dongo, czyli Fabrycy, a wśród tych „poważnych autorów” znajduje się Laurence [Wawrzyniec] Sterne, twórca zabawnej biografii pt. *Żywoć i myśli J. W. Pana Tristrama Shandy*. Hrabina Mosca przez księcia Ranucego lub Ranucjusza Ernesta IV nazywana jest Armidą, czyli heroiną z *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa (PP 245), a jej ukochany bratanek, Fabrycy, „Wyzbywał się kolejno marzeń o rycerskiej i szczytnej przyjaźni, jaka łączy bohaterów *Jerozolimy wyzwolonej*” (PP 46). Jako motto rozdziału 2. cytowany jest 10-wersowy fragment poezji Ronsarda, zaś w rozdziale 24. odczyta-

na została bajka Lafontaine’a pt. *Ogrodnik i jego pan* jako argument diuszesy Sanseveriny w dyskusji z Ernestem IV i jego matką (PP 358-359).

Niekiedy aluzje literackie Stendhala bywają wieloznaczne i przewrotne. Oto prehistoria rodu del Dongo: „Wespażan del Dongo jedzie; ale płynąc przez jezioro przypomina sobie starą grecką powiastkę, jako że był uczony. Otwiera list swego dobrego pana i znajduje rozkaz do komendanta twierdzy, aby go natychmiast uśmiercił” (PP 148). Autor wskazuje czytelnikowi na dzieła Homera, zapominając jednak o Wergiliuszu, poecie popularyzującym przysłowie o darach Danaów (Greków): „Lękam się Danaów, nawet gdy składają dary” (*Eneida*, ks. II, wers 49); a mógł przecież napomknąć tu o przygodzie Hamleta, choć Szekspir nie był czytany zapewne przez uczonego Wespażana. Także tłumacz, Tadeusz Żeleński, dodaje trzy grosze do gier literackich: przekładając słynną frazę ze sztuki Moliera – „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dandin” (PP 397) – zapomina o swoim dawniejszym przemianowaniu bohatera (i to w tytule utworu) na Dyndalę! To tak, jak gdyby „dyndanie” wiązał tylko z kaźnią: „Minister policji powi-

nien by się tym zająć, aby autor podobnych bezceństw [satyrycznych sonech] zadyndał na szubienicy” (PP 407).

Zabawna jest wiara hrabiego Moski w erudycję literacką. Zatrudnił bowiem kucharza Francuza, „najweselszego człowieka pod słońcem, wielkiego amatora kalamburów; otóż kalambur i morderstwo – to się nie godzi z sobą” (PP 364). Bo kalambur jest francuskim sposobem na pointę, podsumowanie kłopotliwej sytuacji (PP 372). I rzeczywistość: gra słów bądź słówek i półsłówek bywa nasycona i zdominowana przez dwuznaczności (typu: zawistna baba = za wist nababa; grubasek woja = gruba sekwoja itp.). A to ulubiona dyscyplina Stendhala, którego styl błyszczą metaforycznymi apozycjami, oksymoronami, peryfrazami czy zeugmami. Oto kilka przykładów takich manipulacji syntaktycznych: „pieniądz, narzędzie próżności” (PP 94); „dwór, ziemia obiecana bałwanów” (PP 96); „Czy komu kiedy przyszło do głowy biadać na niedorzeczność reguł pikiet [gry w karty]? A przecież skoro się raz do nich włożyć, miło jest dać przeciwnikowi pik-repik i kapotę” (PP 89); „Proszę o miesiąc [...] abym się mógł pożegnać z panią C... w Nowarze, i co jeszcze trudniejsze, z zamkami na łodzie całego życia” (PP 104-105); „W mgnieniu oka znalazł się na dziedzińcu i na koniu” (PP 63); „był pod urokiem ogromnych bokobrodów i pańskiej arogancji młodego hrabiego” (PP 184); „szacunek, jaki mu wszędzie zapewniał ogromny majątek, **błękitna krew** i trzydziestu tęgich lokajów” (PP 185, podkr. Boya). Trzeba się dziś nieco zastanowić nad peryfrazą „armia togi i peruki” (PP 214), a oksymorony typu „słodczy więzienia” (PP 259) lub „grzechni mordercy” (PP 268) zbliżają nas do psychiki bohatera i realiów społeczeństwa początków XIX wieku.

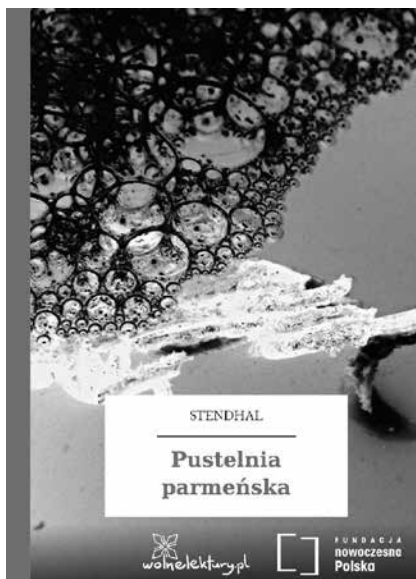
Bo styl Stendhala lśni atrakcyjnymi zderzeniami francuskich, włoskich

i łacińskich słów, a także ironicznymi intonacjami głosu i dykcji: „San-Felice, mimo jej dwudziestu pięciu lat i urody, **powieszono troszczkę**” (PP 115, podkr. J.P.); „może nogi popuchłyby ci [...], wówczas **obcięto by ci je schludnie**” (PP 147, podkr. J.P.); minister policji o Fabrycym mówi, że się „umknął łasce wspaniałomyślnego księcia”, czyli nie dał się otruć w wieży Farnese (PP 331 i 332). Księżna Gina, widząc rysunki pałacu gubernatora, wykonane przez bratanka, ironizuje: „Brakuje jedynie – rzekła uszczypliwie – abyś zrobił z pamięci portrecik tego miłego gubernatora, który **chciał cię tylko otruć**” (PP 329, podkr. J.P.). Niekiedy pisarz podpowiada etymologię nazwy miejscowej: „księżna wynajęła domek w Belgirate, uroczej miejscowości, dotrzymującej wszystkiego, co przyrzekało jej miano (piękny zakręt jeziora)” (PP 337-338). Kiedy indziej zdumiewa nas informacją, iż Klelia studiuje dwie różne edycje dzieł św. Hieronima, by zapoznać się z zapiskami swojego kochanka, tworzącymi „dzień po dniu pamiętnik miłości Fabrycego” (PP 331). To się nazywa uczenie „kolecjonowanie tekstów”!

Przekład Boya ma już prawie 100 lat, gdyż polska *Pustelnia parmeńska* wyszła w roku 1923 (zob. B. Winklowska: *Tadeusz Żeleński (Boy). Twórczość i życie*, Warszawa 1967, s. 191). Stąd pojawiają się w tej translacji nieużywane słowa, a nawet staroświeckie idiomy. Oto kilka przykładów wyraźnie przebrzmiałych słów: absces (‘ropień’), cyfra Klelii (‘inicjał Klelii’), gromochron (‘piorunochron’, słowo używane w prasie pozytywistycznej), gronie (‘grosze’), herytiera (‘bogata, posażna panna’, słowo znane Orzeszkowej), mantyka (‘zrzęda’), mener (‘agitor’), nowinkarz (‘czytelnik najnowszych numerów prasy’), odjeść się (‘dobrze się odżywiać’), pój (‘wodopój’, słowo używane przez Staffa), reak (‘wstecznik’, słowo z utworów Dygasińskiego), rozplą-

cić się (‘umieć rozsądnie uiścić zapłatę’), tartynka (‘kanapka’, słowo użyte przez Reymonta). A oto przestarzałe frazeologizmy: chory na piersi (‘gruźlik’), przedajny sędzia (‘sędzia sprzedajny, przekupiony’), ramię wytknięte (‘ramię wywinięte’), strzelić baka (‘popęlnić gafę’), ujrzał się sam (‘pozostał sam’), zmacanie gruntu (‘wybadanie gruntu’). Takie obroty pióra tłumacza powodują wrażenie stylizacji archaicznej na czasy początku XIX wieku, choć pewnie nie taki był cel Żeleńskiego! Nowe edycje powieści Stendhala powinno się – moim zdaniem – wyposażyć w rozbudowane leksykony, bo trudno oczekiwać od czytelników z wykształceniem podstawowym, iż będą sięgać po wielkie słowniki wyrazów obcych lub po 11 tomów *Słownika języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego!

Dysponujemy trzema wersjami listu dziękczynnego Stendhala, skierowanego na adres Balzaka. Autor *Komedii ludzkiej* opublikował w roku 1840 w „Revue Parisienne” artykuł omawiający na 70 stronach *Pustelnię parmeńską* (Stendhal: *Korespondencja. Wybór*. Przeł. H. Szumańska-Grossowa, oprac. I. Wachlowska, Warszawa 1963, s. 510-524). Wszystko byłoby w porządku, gdyby Balzak nie zapomniał pochwalić stylu Stendhala: „niedopieszczony” czy „roszczeniowy” autor zamierza wysłać recenzentowi interfoliowaną edycję powieści o Fabrycym, by wielki pisarz na dołączonych białych kartach poprawił czy skrócił tekst pierwotny; chyba jednak ani edycja interfoliowana, ani list w trzech wariantach nie doszły do rąk Balzaka! A szkoda, bo Stendhal, kończący powieść wymowną dedykacją („To the happy few”, PP 418), pewnie zaliczał twórcę *Ojca Goriot* do tych szczęśliwych wybrańców, którzy byli godni – wyprzedzając pokolenia z okresu 1880 i 2020 roku (zob. R 12) – tak wspaniałej lektury! ■



To jedno co zostanie, podbite niczym słowa

KSIĄŻKI

PIOTR SKOWRONEK



Krzysztof Siwczyk

Osobnik

Komentując *Martwe punkty. Antologię poezji Na dziko* (1994–2003) Dariusza Pawelca, Anna Kałuża dostrzegła dominanty młodej poezji na Śląsku w jej relacji „z niczym”, w rozpięciu między obecnością i nieobecnością, „obrazami umierania, odchodzenia, zanikania”. Wśród udziałowców grupy poetyckiej *Na dziko* był wówczas Krzysztof Siwczyk, którego świeży tomik poetycki *Osobnik* właśnie trafił na półki księgarskie. Tytuł i szata graficzna okładki biorą nas w cugle od pierwszego rzutu oka i myśli. Zdjęcie na Joanny Helander *Trzy dziewczynki* zapowiada świat na opak, który tak samo nam się przygląda, jak my jemu, a *Osobnik* grę w słowie i słowem, jego rozciąganie, szatkowanie, zniewalanie i zniewalanie nim, ale absolutnie nie rodem z Białoszewskiego, a raczej z neolingwistycznych poszukiwań autora *Łąki*. Siwczyk swoje światy komponuje na granicy prozy poetyckiej i solilokwium, o ile takowa istnieje. Przy czym przy pierwszej lekturze, a trzeba z tą poezją trochę pobyc, odnosimy wrażenie przemyślanej i zaskakującej gry, która niczym rozmyślanie Kanta, co do istoty poznania, każe nam skupić się na jego podstawowym narzędziu – języku, który staje w wyrażonej opozycji do klasycznej przejrzystości odsłaniającej to, co nazywa. Tutaj moglibyśmy raczej mówić o procesie wykluwania językowej rzeczywistości, której kierunek, czasem przewrotnie, jak w tytule tomiku, nadaje tytuł wiesz. Utwór – formalnie rzecz ujmując – jest zatem ciągiem ewokacji pozornie swobodnych, nad którymi, może nawet nieco perwersyjnie „się panuje”, obrazu przechodzącego w obraz, myśli w myśl, słowa w jego przeciwieństwo. „Donikąd postawione lustro,/ znikąd nadzieźda erka, załamana/ symetria, w biegu łapią jeszcze czapki, lecą do góry, na złamanie karku, miały służyć/ innym winom, innych miały wyglądać par/ butów” – to początek słownego opisu/zapisu wypadku samochodowego. Przerzutnie, gry frazeologiczne, epitety i przenośnie często mieszane z językiem potocznym usytuowanym w nowym kontekście sprawiają, że materia słowna staje się gęsta i lepka od znaczeń, a jej spłot zacieśnia się na tyle, aby odbiorca stawał się bardziej niż uważny. Wiersz czytany za każdym razem puszcza nowe soki, a deklamowany – warto spróbować – zmienia charakter odbioru. Słowa zaludniają wówczas nasze myśli, stając się na moment naszymi i wymagają jakiejś wewnętrznej decyzji – zgody bądź oporu,

bo *język wie/ gdzie podział oczy*. Kto podjął trop musi zwracać uwagę na każdy językowy zaułek, pozornie ślepą uliczkę, bezdroże. To mężczy, ale po pewnym czasie wyczuła wyobraźnię, jak w wierszu *Pierwszy raz* dedykowanemu Robertowi, w którym sytuacja liryczna odwołująca się do poprzedniej epoki *zajeżdżają suk* pieczętowana jest polemiką z Herbertowskim heroizmem moralnym z „poprzedniej epoki”: „dociera do ciebie teraz, gdy powtarzasz/ stare zakłęcie i tak już nie ma nic do odkrycia”. Czyżby zatem aluzja tchnęła nihilizmem i pozostało nam „mydło dni” i „stęchła przyszłość”? Siwczyk zdaje się tego nie przesądzać. Pozwała nam zmierzyć się z marazmem rzeczywistości, której ślad widoczny jest w tkance języka niczym lisaż na płótnie. Tak myślimy, zdaje się mówić lub odwrotnie. Czas i przestrzeń, trochę jak w surrealistycznej optyce Dalego zaczynają topnieć. Nawet tak afirmatywne zdarzenia, jak poród, staje się „osobnieniem z jeziorem brunatnej krwi i pomrokiem” dość osobliwym słowem-kłuczem, które słownik tłumaczy jako: „coś, co powoduje trudność w zrozumieniu, poznaniu czegoś”. Utwór, który by zbudować napięcie wypada przytoczyć we większym fragmencie, jak nożem obcina potoczny zwrot, przywołując czytelnika do porządku: „choć dzieliła nas jarzeniówka i pomroka/ wody i łądy schodziły się w słowa, których nikt nie użył – spokojne, bezzasadne/ sny szukały źródła, podniósł cie/ cudzoziemiec, wybuch płaczem/ na nic zdało się tłumaczenie:/ został pan”. Co interesujące, tekst zdaje się nieco pulsować, nabierając egzystencjalnego oddechu nowego życia. Kim jest zatem Pan Osobnik, w którego głowie siedzimy? Obserwatorem odchodzenia, konania, niebytu? Kolekcjonerem lęków? Tropiciele paradoksów? Miłośnikiem „nieradości pisania”? Co dotyka jego zmysłów? Co przeswituje z drugiej strony płót na? – *Każdy dzień* [po którym] „Opatuleni jak larwy, w kokonach kołder, zapadnięci już do wewnątrz urojenia, tam gdzie spoczywa spokój odpłynięcia po każdym dniu tu”. Co ma nam do powiedzenia wpuszczający nas do swego wnętrza *Nerd*, czy obserwator *Montemagno*, który trawi je w swoim języku, zapisując obraz fajerwerkami wyrafinowanych asocjacji, ścieraniem decorum na miał profanum. Czy obrazoburca chce nam powiedzieć, że świat z nas kpi, że on i my jesteśmy pomyłką? Ze wszystko, co zapisane w wielkich księgach ludzkości, jest jedynie

Wydawnictwo a5

podniszczałym dagerotypem naszych omamów, bo „Clerestorium trawi żar, zżęte suszą kwiaty/ sną jak ryby, co patrzą w bielmo nieb/ polykanych przez kloakę powszechnych ust./ Gwiazdy to granulat światła bez źródła,/ ze światów został jeden, który się przełknie/ jak peletkę, żachnie się, ale słowem to nic”. Tyle pytań, efemerycznych obrazów, wędrówek w kierunku „księgi nie(u) rodzaju”, a *Prawda obiektywna* dedykowana Ewie Lipskiej ma się pojawić dopiero „po”, kiedy dowie się „jak to było dalej”...

„Szereg spraw do niezałatwienia,/ stoją szare postulaty, w pierwszym rzędzie czarne,/ marne zaranie, jeden promyk zaledwie bez nadziei,/ poza tym chmurne nieba skłony, do ziemi, na kolana,/ twarzą do włazu, bez mózgu na ostatku, olstro skóry,/ dziura w otwartych ustach, w niej ryk ryje na wieki wieki”. Bożena Chrzastowska definiując poezję religijną odwoływała się do trzech jej rodzajów. Pierwszy czerpał z doświadczenia religijnego, drugi z systemu wartości, trzeci był zaś wyraźną kontestacją dwóch pierwszych i z takim najwyraźniej możemy spotkać się w utworach Siwczyka. Egzystencjalny zamęt znalazł „nowe życie”, chyba nie tracąc go nigdy w nirwanach i modernizmach. Nowy język Wertera łączy świeżością, połykają „czytniki tożsamości”, łypią okiem egzystencjalne porównania, a „język ciśnie się na usta, sam się prosi o wybaczenie, którego płomiennie nie udziela”. Ze banalizuję i upraszczam? Owszem, ale spacer po „nowym świecie” polecam, zawsze przecież chcemy dowiedzieć się czegoś o sobie. Warto zajrzeć także na chwilę do inkubatora *W POMROCE* (mini-dramacie kończącym tomik) gdzie OSOBNIK OGÓLNY I OSOBNIK POSZCZEGÓLNY o doczesnej godzinie mają swoje „5 minut”, tak jaki i my. Na koniec zaś proszę odwrócić tomik do góry nogami, a trzy kariatydy z fotografii Helander zaczną znówu podtrzymywać świat stojąc na niczym. Przecież to tylko i aż poezja... ■

Krzysztof Siwczyk: *Osobnik*, Wydawnictwo a5, Kraków 2020, 84 s.

To nie kres literatury, to kres czcionek

KSIĄŻKI

PIOTR MOSAK

Żyjemy w czasach, w których nie ma już Boga, nie ma Człowieka, nie ma nawet Literatury. W tak tragicznej sytuacji najnowszy tomik poezji Szczepana Kopyta obwieszcza kolejną śmierć – czcionki!

Twórczość Kopyta, pomimo (mniej lub bardziej) szczerego zaangażowania w aktualne problemy społeczno-polityczne, jest dowodem uświadomienia sobie własnych ograniczeń. Dlatego też poeta stara się wpłynąć na różne grupy społeczne, nie tylko na czytelników poezji (których – dobrze o tym wiemy – jest w Polsce niewiele). Przykładem wyjścia do szerszego grona odbiorców są projekty muzyczne. Sam Kopyt wyznaje, że: „Odbiera to więcej osób niż kartki papieru”. Autor tomiku *sale sale sale* zawsze jednak pozostaje ironistą. Dzieje się tak również w jego najnowszym zbiorze wierszy pt. *Na giełdach nadprodukcji pikują akcje przetrwania*, w którym Kopyt modyfikuje popularne, stosowane w publikacjach poetyckich, rozwiązania typograficzne, polegające na zmianie wielkości czcionki w konkretnym tekście. Nie jest to jednak zbyt rewolucyjne rozwiązanie graficzne. Kopyt w ten sposób bardziej obnaża niezdolność współczesnego poety do wyróżnienia swoich utworów spośród innych pisanych tekstów. Obwieszczany wsząd kryzys literatury staje się widoczny przez kryzys czcionki, która nie jest w stanie „upoetyzować” utworu. Wręcz przeciwnie, gdy wykorzystuje się w poezji rozwiązania graficzne, mające na celu podkreślenie nieprzeźroczystości sposobu zapisu utworu, to skutek może być odwrotny – autor zostanie skoligacony z popularnymi w sieci płytkimi sentencjami, w których wykorzystuje się wymyślne czcionki do „udziwnienia” tekstu (z tzw. memami, demotywatorami itp.). Kopyt zdaje się świadomie balansować na granicy kiczu, czego przykładem jest fragment utworu o *niszczonych maszynach i słowach*: „przecież mamy równość / przecież mamy penisa i kolesi z kropidłami / i memy / dla naprawdę smutnych pięknych osób” (s. 33).

Ponadto, w najnowszym tomiku Kopyta można dostrzec, tak charakterystyczną dla tego poety, krytykę konsumpcjonizmu i nierówności społecznych. Przejawia się ona praktycznie w każdym wierszu, a swoje apogeum osiąga w utworze *masy*, rozpoczynającym się od słów: „bezprzedmiotowe masy utaplane w błocie głodu / godność upakowana w worek demokracji i drutów głodu” (s. 11). Konsumpcjonizm poeta po-

strzega jako zjawisko towarzyszące kapitalizmowi. Szczególnie to drugie w oczach Kopyta wydaje się z gruntu złe i przeciwne prawom natury: „wyobraź sobie / zmuszasz ludzi do wyciągania z ziemi / trucizny która zabija ich na równi z kosmiczną zbrodnią / kapitalizmu i formacji burżuazyjnej / kosmiczne błędy i zaniechania” (s. 27–28). W wierszu *ostatni biały nosorożec twarzą kampanii na erekcję* Kopyt określił natomiast przedmiot swojej krytyki: „zapisz sobie / nie nienawidzisz siebie / nienawidzisz lewiatana / nienawidzisz podmiotu”. Interpretator zauważył, iż w twórczości autora *kiru* tańiec i śpiew stanowią praktykę wyzwalającą społeczeństwo z przeróżnych ram i ograniczeń, ale również uwalniająca je od „afektów smutnych”, takich jak gniew, strach czy przynębienie, przez które potęguje się poczucie lęku i zagrożenia.

Czy zatem „na giełdach nadprodukcji” tańiec i śpiew pełnią funkcje określone przez Kujawę, czy stanowią alternatywę dla szkodliwego kapitalizmu? Co najciekawsze, wydaje się, iż Kopyt porzucił wizję polityki wspólnotowej, zdolnej do wyzwolenia pozytywnej *potentia*. W utworze *pamięć tańczy się w schronie*: „techno w schronie / ostatnie techno w schronie” (s. 26). Apokalipsa jest wszechobecna: bogaci ludzie, żeby przeżyć, chowają się w schronie, a muzyka jest zapisywana „gdzieś na dyskach [...] lewaków”, którzy zapewne odeszli już z tego świata: „[...] a powiedzmy coś o techno / w końcu ono przetrwa gdzieś na dyskach / tę resztę lewaków przed którą / kryła się reszta burżujów / w ostatnich miejscach zdanych do życia” (s. 26). Jakie miejsce zajmuje śpiew w takiej sytuacji? Cenne informacje możemy odczytać z wiersza pt. *kiedy śnisz się innym nie masz swoich snów*: „adeptko adeptcie / nie śpiewajcie sto lat / bo czas jest bliski” (s. 28).

Szczepan Kopyt stał się bez mała prokiem końca cywilizacji. Poezja, która zawsze łączyła się u niego z bachicnością, z tańcem, ze śpiewem, która wyrażała pozytywne aspekty tworzenia wspólnoty, aktualnie zanika i służy tylko obronie humanistycznych wartości. Dzieje się tak w ostat-



nim utworze zbioru pt. *one*, gdzie tańiec tajemniczych kobiecych postaci przypomina swego rodzaju współczesny *danse macabre*, w którym dawna równość wobec śmierci została zastąpiona równością wobec procesów przekształcających ciepło i biomasę w energię. Dehumanizacja sięga tu zenitu, ludzkie ciało zostało sprowadzone do wartości opalowej surowców naturalnych. „stworzone / nie zrodzone / w trybie walki / będą szukały optymalnych źródeł / energii a przy spadku krytycznym / przerobią dla swoich potrzeb ciepło i biomasę zwierząt / tak jak my / takich jak my” (s. 36–37). Tajemnicze kobiety obserwują nas „milionami oczu” (s. 37), a jedynym miejscem, w którym można się przed nimi ukryć, jest poezja: „bronimy się jeszcze tu / w wierszach” (s. 37).

Czym dla Kopyta jest właściwie poezja? Zadając to pytanie, wracamy do początku moich rozmyślań. Twórca, stwierdzając, iż „zapis jest nieatrakcyjny”, wydaje się sugerować, że współczesne sztuki poetyckie muszą odnaleźć dla siebie nową przestrzeń. Może nią być muzyka, film czy rzeczywistość wirtualna, jednak nie tradycyjne tomiki poetyckie, gdyż są one już dla autora „martwe”, tzn. nie mają prawie żadnego potencjału kulturotwórczego. Kopyt, wydając tomik poetycki nawiązujący do eksperymentów typograficznych z czasów wynalezienia czcionki drukarskiej, sugeruje nam, że tradycja literatury jest już nie do wskrzeszenia. Żeby uciec od tajemniczych kobiet z wiersza *one*, żeby wynaleźć nowe formy życia społecznego, żeby sztuka poetycka stała się znowu żywa, trzeba zrobić coś więcej. Co takiego? Kopyt wydaje się nadal szukać odpowiedzi na to pytanie. Autor *kiru* nie odnalazł jeszcze formy artystycznej, która z jednej strony mogłaby afirmować życie samo w sobie, z drugiej – stanowić element emancypacyjnej polityki wspólnotowej. Wydaje się również, że sytuacja związana z pandemią COVID-19 sprawi, iż apokaliptyczny ton obecny w *Na giełdach nadprodukcji...* zadomowi się na stałe w twórczości Kopyta. ■

Szczepan Kopyt: *Na giełdach nadprodukcji pikują akcje przetrwania*. WBPiCAK, Poznań 2019, 40 s.

Etyka pamięci i kultury

KSIĄŻKI

PAWEŁ MAJERSKI

Wojciech Kudyba



PAMIĘĆ I GODNOŚĆ
O poezji Jana Polkowskiego



STOWARZYSZENIE
WSPIERANIA
PROMOCJI
KULTURY
NARODOWEJ

frise

INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oto moment „uklasyfikacji”: w 2017 roku zostały opublikowane książki „*Gdy Bóg się waha*”. *Poezje 1977–2017* oraz „*W mojej epoce już wymieram*”. *Antologia szkiców o twórczości Jana Polkowskiego (1979–2017)*. Kto chce, może podjąć próbę „wypośrodkowania” ról Polkowskiego, wszak objawiał się nam jako poeta, prozaik, publicysta, redaktor podziemnych wydawnictw i pism (m.in. *Krakowska Oficyna Studentów, ABC, „Sygnał”, „Arka”*), człowiek wielkiej sceny politycznej. Dysponując solidną już bazą materiałów krytycznych i interpretacyjnych, Wojciech Kudyba – świadomy istnienia godnych zagospodarowania w kolejnych pracach „pól możliwości” opisu – postanowił zmierzyć się z jego dorobkiem poetyckim. Przedstawia dziś monografię i, zamkniętą wyborem z *Pochodu duchów* (2018), antologię tekstów lirycznych.

W 1980 roku ukazał się debiutancki tomik Polkowskiego *To nie jest poezja*, potem pojawiły się: *Oddychaj głęboko* (1981), *Ogień. Z notatek 1982–1983* (1983), *Wiersze (1977–1984)* (1986), *Drzewa. Wiersze 1983–1987* (1987), *Elegie z Tymowskich Gór i inne wiersze* (1990). Drugie skrzydło dokonań Polkowskiego dostrzegliśmy dopiero po dwudziestu latach obserwacyjnej „przerwy”, gdy usłyszał „inną niż wcześniej muzykę świata”. Czytelnym znakiem powrotu okazała się w 2009 roku książka *Cantus*, potem pojawiły się kolejne publikacje z debiutem prozatorskim włącznie (*Ślady krwi. Przypadki Henryka Harsynowicza*, 2013). Te twórcze fakty są oczywiście przypomniane, gdy powracamy do lektur z lat minionych i czytamy aktualia „podręcznikowego” przeciw autora *Prześlania pana X*, będą i w przyszłości odnotowywane, rejestrowane, katalogowane, gdyż wyznaczają interesujące momenty twórczej biografii mocno osadzonej we współczesnej, „polaryzowanej” historii.

Kudyba rozpoczyna od informacji recepcyjnych, nie podejmując jednak próby naszkicowania jakiegoś większego, wielowymiarowego ujęcia recenzji, komentarzy, polemik (we wspomnianej przeze mnie antologii szkiców znajduje się, na przykład, część *Wokół pewnego sporu* z tekstami Dariusza Pawelca, Mariana Stali, Krzysztofa Koehlera, Marcina Świetlickiego). Od początku korzysta z firmowanego przez Piotra Legutkę wywiadu-rzeki *Ryzyko bycia Polakiem*, który w trakcie przygotowywania książki nie był jeszcze wydany. Polkowski opowiada o swoich „niezależnych” początkach, Kudyba natomiast sygnalizuje problem politycznej „etykietyzacji” i schematyzujących uproszczeń odbioru. Rzecz całą wyłuszcza jed-

nak nazbyt szybko, jakby zbyt krótko, tym bardziej, iż podejmujemy lekturę twórczości, która jest – tu pełna zgoda – „istotną częścią historii polskiej poezji”, wezwaniem do oglądu „bezbiasnego i syntetycznego”. Przywołuje zresztą szkic Wojciecha Ligęzy, zwracającego wcześniej uwagę na osobność i osobowość poety „kultury niezależnej” („solidarnościowca”, „diagnosty ducha polskiego”, ale i „wędrówcy metafizycznego”), który „od samego początku [...] wymykał się konwencji wyrażania sprzeciwu, odrzucał repetycje wezwań i hasel”. Tak, liryczne enklawy form i metafor Polkowskiego, głosy niezgody i sugestywne kontemplacje znaczone wyraźną sygnaturą odrębności, można dostrzegać w rysie komplementarnym. Przy pierwszych lekturach towarzyszyli nam choćby: Jan Błosiński, Tadeusz Nyczek, Marian Stala, Leszek Szaruga; w drodze do określenia sytuacji „liryka powracającego” pomagali: Tomasz Burek, Andrzej Franaszek, Paweł Próchniak; pod piórami Zofii Zarebianki, Stanisława Gawlińskiego, Jacka Trzadla, Józefa Marii Ruszara, Bogdana Zelera powstawały interpretacje konkretnych wierszy.

Swoje analizy i interpretacje Wojciech Kudyba postanowił problematyzować, nie podając się bezwzględnie chronologii, jakimś „ewolucyjnym” nakazom opisu – chce, gdy sięgniemy po tomik *Cantus*, wprowadzić nas najpierw ku „miejscom autobiograficznym”. Interesują go najpierw wiersze *Podróż do Święcian* oraz *Pniowo*, świadectwa podróży w rodzinne strony i karty z katalogu pamięci – przywołam formułę autora książki – „depozytariusza rodzinnej opowieści”. To ważna uwaga, powracająca w innych fragmentach *Pamięci i godności*: „[...] Polkowski z uporem i konsekwencją buduje w swej twórczości obraz podmiotu, który staje się sobą, przekraczając siebie, podmiotu poszerzającego swoją własną tożsamość dzięki interioryzacji wzorów bycia, zapisanych w mitach przechowywanych przez wspólnotę rodzinną i szerszej – narodową i kulturową”. Kolejne utwory, „nowohuckie” i „krakowskie”, będą rozpatrywane w perspektywie problematyki tożsamości, inkluzji, wykorzenienia i trwałości zasad. Poeta mierzy się z konsekwencjami doświadczenia totalitarnego, wpisane w tragiczne plany XX wieku, oddala i zbliża sfery intymności, które pożera Wielka Historia. Dawno temu, a to dobry dowód na nowofalowe koincydencje poetyki interwencyjnej, notował: „Czy metafory przeżyją / areszt nie załamią się / i kiedyś popatrzymy sobie w oczy?” („*Przedmioty mające związek z przestępstwem*”), „Nie pisz nic. Niech mó-

wią inni” (wiersz bez tytułu), „Bawiliście się poeci zapominając że z czułością / i bólem trzeba stwarzać świat („*Co nie jest wymówione, zmierza do nieistnienia*”).

Ważne miejsce w prowadzonych przez Kudybę rozważaniach zajmuje część *Pokonać nicłość*, niezbędna w toku lekturowego zbliżania się do istoty niestabilnego, dezintegrującego świata „zatrzymywanego” przez Polkowskiego właściwie od początku literackiej drogi w poetyckich kadrach pamięci/ wyobraźni/ egzystencjalnego weryfikatora. Wiąże się z tym nasza sytuacja niezadomowienia, ingerującej ciemności, chłodu, upadku, moment poddawania w wątpliwość sensu. „Poczucie samotności i słabości, bezsilności i wątpliwości są w omawianej twórczości stałym komponentem ludzkiej egzystencji” – pisze monografista, formułując, co zwykle cenne w interpretacyjnych zbliżeniach, wiele pytań szczegółowych dotyczących fragmentów wierszy i kontekstów. Bywa, że pozostawia je bez odpowiedzi, a my ruszamy dalej, pamiętając o niepewności pewnych (to znaczy nieznoszących sprzeciwu) rozstrzygnięć. Polkowski opowiada się – czytamy w interesującym mnie rozdziale – po stronie „moralnej powinności”, jest za „napięciem woli skierowanej ku wartościom”, a w realiach dotyku nicości – przypominał Marian Stala na łamach „Tygodnika Powszechnego” w 1989 roku – nie wolno zasnąć, bo jest to równoznaczne z istnieniem niepełnym, kalekim”. Ostatecznie w świecie traumy i ofiary dla Polkowskiego liczy się aksjologiczny azymut, kanon bowiem wyznacza etyka „pamięci i kultury”.

Wojciech Kudyba spojrzal jeszcze na poetyckie dialogi autora *Gorzkiej godziny* ze Zbigniewem Herbertem i Tadeuszem Różewiczem. Widać, że kolejne okna dialogowe Jana Polkowskiego warto dziś otwierać. ■

Wojciech Kudyba: *Pamięć i godność. O poezji Jana Polkowskiego*. Instytut Pamięci Narodowej, Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, Warszawa 2019, 272 s.

Poskładane życiorysy

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Rozmówcy Patrycji Dołowy, którzy zostali zaproszeni do współtworzenia książki *Wróć, gdy będziesz spała. Rozmowy z dziećmi Holocaustu*, mają świadomość, że Zagłada była w ich życiu specyficzną formą cezur. Podzieliła ich życiorysy na dwie części, a także spowodowała rozchwianie tożsamości. Poza tym sprawiła, że utracili poczucie stabilności. Jedni poszukiwali korzeni i próbowali nawiązać kontakt z dalszymi krewnymi, inni problem żydowskiej tożsamości traktowali jako składawą tożsamości, której trzeba chronić w momencie zagrożenia: „Dla mnie żydostwo to sprawa pamięci, czasem sumienia, honoru – gdy trwały antysemickie protesty w całej Polsce, chodziłam z wielką gwiazdą Dawida na szyi i mówiłam, że jestem Żydówką. Powtarzałam po swoim mężu: jestem Żydówką wtedy, gdy biją Żydów. Na co dzień nie jestem Żydówką. Nie mam do tego instrumentów. Nie czuję tego” (s. 251).

Wielu rozmówców relacjonuje prywatne śledztwa podejmowane w celu ustalenia jakichkolwiek szczegółów dotyczących śmierci rodziców lub okoliczności własnego ocalenia. Okazuje się, że dzięki determinacji można ustalić kilka cennych informacji i dotrzeć do ludzi, którzy mieli swój udział w ocaleniu rozmówcy, jednak równie wielu ocalałych nie może liczyć nawet na fragmentaryczne i niepełne poznanie historii ocalenia: „Chciałbym opowiedzieć coś o mamie, ale nic nie wiem. Nic nie mam. Móc kiedyś złapać tę lodyżkę, ten korzonek – to moje jedyne marzenie” (s. 200). Sytuacja tych drugich jest nieporównywalna z żadnym innym stanem, ponieważ Zagłada spowodowała zerwanie wszelkich więzi, destrukcję rodziny i geograficzne przemieszczenie, przez co ich pozycja jest diametralnie inna od ludzi, którzy dotrwali do wyzwolenia wraz z matkami. Co prawda, matki te były nadopiekuńcze, sprawowały niemal dyktatorską opiekę nad swoimi dziećmi, jednak ta żelazna dyscyplina wynikała z doświadczeń wojennych.

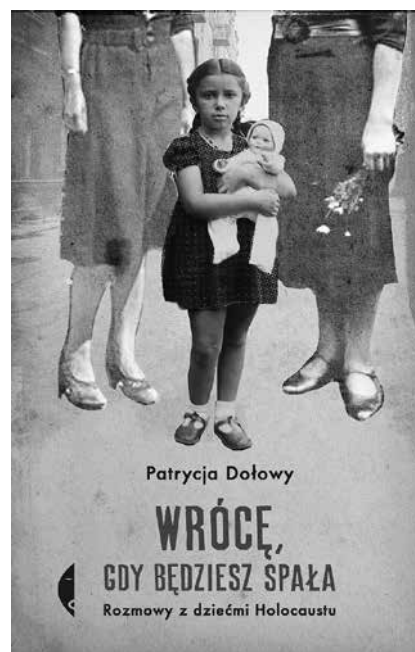
Wszyscy rozmówcy zgodnie podkreślają, że zarówno matki, jak i opiekunki były postrzegane przez nich jako bohaterki, ponieważ przejmowały rolę przewodniczek i nawigatorów w czasie okupacji. Nie wszyscy rozmówcy mieli szczęście pozostać po wojnie z matkami. Wielu wciąż je oplakuje, jednak w niemal wszystkich rozmowach w momencie pojawienia się konieczności określenia, kto powinien zasłużyć na lojalność ze strony uratowanego dziecka pada odpowiedź: opiekunowie, którzy wychowali: „Bo moi przybrani rodzice to byli prawdziwi rodzice. Nie chciałam, żeby myśleli, że w to zwątpiłam” (s. 210). Rozmówcy muszą liczyć się z faktem, że nigdy nie odnajdą rodziców, a także, że nie poznają ich nazwisk,

więc wdzięczność tym, którzy poświęcili własne życie, okazuje się najważniejszą strategią. To nie jedyny dylemat ocalałych. Innym okazuje się osąd zachowań z porządku czasu abisalnego. Jedną z krańcowych sytuacji, które wiążą się z doświadczeniami granicznymi, jest konieczność zdecydowania, kto zostanie oddany na przechowanie, a kto zostanie z zagrożonymi rodzinami. Decyzja o popelnieniu przez rodzica samobójstwa odbierana jest po latach przez dzieci jako samolubna (podobnie jak oddanie pociechy).

Wybory, o których mówią dzieci ocalałe z Zagłady, pozostają poza osądem, jednak moment sieroctwa wspominają jako doświadczenie gorsze niż sam strach, lecz u boku ukochanej matki: „Moja mama wymyśliła scenariusz mojego ocalenia. Miałam dziewięć lat i wypełniałam go krok po kroku – przeżyłam. Dziś, po latach, myślę, że nie powinna była ratować tylko mnie. Powinna była raczej zrobić wszystko, byśmy ocalały obie. Sieroctwo naprawdę jest okrutne. Jest trudniejsze niż żydostwo” (s. 100). Inny rozmówca dodaje: „Co dziecko obchodzi, że rodzic właśnie ratuje mu życie? Dziecko obchodzi, że rodzic je porzuca. I to wspomnienie porzucenia jest czasem silniejsze niż racjonalna wdzięczność za życie” (s. 88). Niektóre dzieci przechowują wiedzę o tym, do czego zdolny jest człowiek w sytuacji zagrożenia życia. Matki morderczynie podejmowały decyzje, które w innych warunkach otrzymany by inna kwalifikację; w czasie wojny nie były to morderstwa, lecz rozpisana na wiele etapów pomoc. Większość decyzji była pod względem moralnym podejrzana, lecz podejmowaniu ich sprzyjała nadzieja na ocalenie: „To straszne, że matka musi zadusić własne dziecko. Kiedy rozpatrujesz wojnę w liczbach zabitych, widzisz to zupełnie inaczej. A teraz wyobraź sobie, że ty byś musiała być tą matką” (s. 92).

Książka Dołowy wpisuje się w nurt literatury późnych świadectw, a także krąg problemów związanych z feministycznymi badaniami Zagłady. Świadectwa składane przez ocalałych, którzy dorośli, świadczą o tym, że matki poddawane były innemu rodzajowi opresji, ponieważ ciążył na nich obowiązek wychowawczy. To, że większość rozmów dotyczy relacji z matkami świadczy o niezmiennych (mimo wojennych okoliczności) zadaniach przyporządkowanych każdej z płci. Można oczywiście wskazać momenty zmiany paradygmatu (szczególnie w gettach), jednak opieka nad dzieckiem wciąż była w czasie okupacji domeną kobiet, stąd tylko kilku rozmówców wspomina swoje relacje z czasem wojny z ojcami, którym w czasie wojny przypadł inny los.

Publikacja Dołowy nie pozwala formułować optymistycznych wniosków doty-



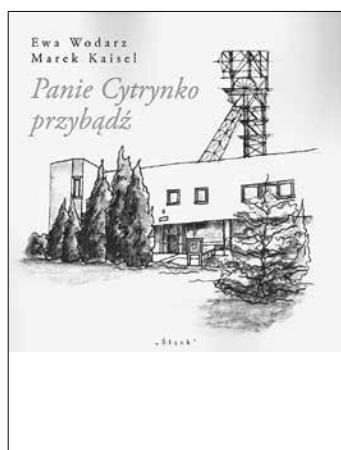
czących okoliczności przeżycia i ceny, jaką przyszło zapłacić matkom za oddanie własnych dzieci obcym. Podstawową zasadą, która wyłania się z rozmów Dołowy z dziećmi Holocaustu, jest zanegowanie opowieści o ocaleniu, oszczędzającej dzieci i pozwalającej sądzić, że to, co się stało wpłynęło na ich życie w nieznacznym stopniu. To właśnie Dołowy udowadnia, że w czasie ludobójstw los dzieci okazuje się bez porównania gorszy, niż okupacyjne losy dorosłych. Oczywiście twierdzenie to należałoby poprzeć odpowiednim materiałem źródłowym, jednak historie powierzone Dołowy łączy przekonanie o utracie dzieciństwa: „Jak ktoś nie miał dzieciństwa, to potem nadrabia” (s. 286). Dorośli ocalali z Zagłady znajdują w szczęśliwym dzieciństwie punkt oparcia, który pozwala im przepracować doświadczenia ukrywania, przemocy, zagrożenia i denuncjacji. Nie są obciążone brzemieniem osób bez przeszłości i bez własnej historii. Natomiast rozmówcy Dołowy wiedzą, że zostali pozbawieni tego, co składa się na szczęśliwe dzieciństwo. Musieli także szybko dorosnąć: „Z tym wszystkim człowiek szybko dojrzał” (s. 285). Ich rozumienie wierności okazuje się kategorią, która w czasie Zagłady traciła znaczenie, ponieważ nadrzędnym celem było ochronienie dziecka. Po latach uświadamiają sobie, że w starciu z powinnością pozostania razem i obowiązkiem ochrony nowego życia rozwiązaniem matek żydowskich były wyborami najważniejszymi, nawet za cenę ostracyzmu rodziców, który przyjmuje formę imperatywu kategorycznego: „Przecież matka poszłaby za dzieckiem nawet do piekła” (s. 197). ■

Patrycja Dołowy: *Wróć, gdy będziesz spała. Rozmowy z dziećmi Holocaustu*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, 293 s.

KSIĄŻKI NADESŁANE



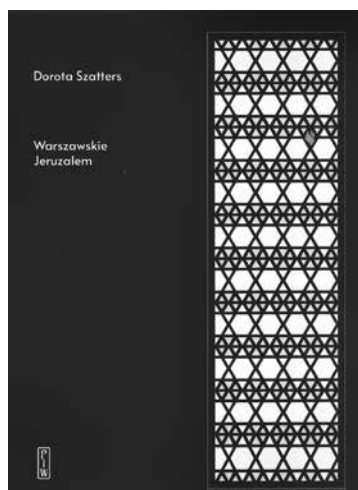
Bogdan Dzieciol, *Sławkowanie. Wielki Powrót*. Wydawca: Grupa Image sp. z o. o., Warszawa 2014.



Ewa Wodarz, Marek Kaisel, *Panie Cytrynko przybądź*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



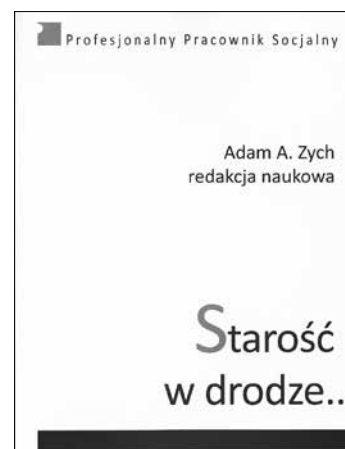
Arkadiusz Frania, *Grupa Literacka Profile. Zjawisko, poeci, wiersze*. Wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2020.



Dorota Szatters, *Warszawskie Jeruzalem*. Wydawca: Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020.



Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka. 1/2020. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice.



Adam A. Zych, *Starość w drodze...* Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Michał Fałtynowicz, *Witajcie w moim Betlejem!* Biblioteka „Toposu”, t. 180. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2020.



Stanisław Dłuski, *Oda do próchna*. Biblioteka „Toposu”, t. 181. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2020.

W 2012 roku ukazała się książka Henryka Bzdoka zatytułowana *Z życia wzięte. Katowickie środowisko artystyczne oczami grafika*. Ten mistrz skrótu graficznego, ciętej riposty oraz subtelnej syntezy osobowości opisywanej postaci, portretowanej w przyjaznej karykaturze od 2005 przez wiele długich lat na łamach miesięcznika „Śląsk” dokumentował życie i styl funkcjonowania regionalnego, katowickiego środowiska artystycznego na przełomie wieków.

Jak we Wstępie do wspomnianej książki pisze Wiesława Konopelska „Czy po latach może okazać się, że kogo nie ma w Anegdotach, nie istniał w ogóle? (...)”. Z biegiem lat ulatują nazwiska, zacierają się twarze, znikają miejsca i adresy.

Henryk Bzdok integrując słowo i obraz zapisał wówczas historie kilkudziesięciu wymienionych z imienia i nazwiska twórców wędrujących ulicami Katowic i pobliskich miast, niosących swoją legendę i twórczość w zwyczajnych i nadzwyczajnych okolicznościach codziennej, czasem szarej, a kiedy indziej bardzo kolorowej i wesołej rzeczywistości.

Dzięki wspomnieniom m. in: Aleksandra Widery, Bolesława Lubosza, Henryka Bzdoka i innych kronikarzy kolejne pokolenia będą mogły spotykać się z zapamiętanymi przez artystę bohaterami minionych lat i wydarzeń.

Lecz dziś możemy obserwować wybór przez tego twórcę zupełnie innej techniki komunikacji z potencjalnym odbiorcą. Zachowując swoją kronikarską pasję twórca sięga po aparat fotograficzny i zatrzymuje w kadrze chwilę stawania się współczesności, która już za moment, za kolejną chwilę będzie tylko mglistym wspomnieniem niewielu z nas.

Obiektem jego zainteresowania staje się otaczający nas świat *in statu nascendi*.

Przyroda, rzeczy, budowle, zakamarki, ulice, rzeki swoją migotliwą brzydotą lub pięknem urzekają fotografa starającego się utrwalić, zatrzymać na wieki moment powstawania świata przemijającego, nietrwałego. Kiedyś – ale przecież i dziś jeszcze to czyni – w dowcipnej anegdocie słowem i rysunkiem rejestrował historie przemijających ludzi i ich działań.

Teraz sięga także po realistyczny obraz, ale użytkując nie kreskę i grafikę, lecz fotografię jako to medium, które we współczesnej kulturze ikonograficznej jest najbardziej perswazyjną formą komunikacji, pozornie najbardziej prawdziwą i obiektywną. Więzy w ten sposób swoją refleksję i niemalże romantyczne unie-



Henryk BZDOK: grafik i fotografik

TADEUSZ SIERNY

sienia w trwałej formie, zamkniętej na wieki.

Henryk Bzdok nie jest fotoreporterem, nie jest dziennikarzem spisującym się za wydarzeniami, goniącym eventy i bohaterów jednego dnia, jednego dziennika lub jednej kolumny gazety. Sięga po tematy skłaniające do refleksji i zastanowienia się nad kruchością otaczającego nas świata. Nie wzdryga się przed pokazaniem ciemnych, po prostu brzydkich stron i stanów naszej siermiężnej rzeczywistości, ale oglądający te fotogramy widz dostrzega także w każdym z nich poszukiwanie piękna, więc i w konsekwencji prawdy o rzeczywistości przedstawionej, tej stawającej się i nieoczekiwanie dla niej samej uchwyconej w mgnieniu oka – przez fotografa.

Jeśli z sympatią portretował swoich znajomych, bliskich, przyjaciół, dlaczego miałby bez empatii dokumentować otaczającą go rzeczywistość? To jest i jego, i nasz przecież jedynie dostępny świat.

Katowice, Będzin, Zabrze, Bytom i wiele innych śląskich miast zostało sportretowanych w cyklach fotografii wykonanych przez Henryka Bzdoka.

W naszej galerii pokazujemy zaledwie kilka z nich, ten wybór nie jest na pewno reprezentatywny, ale pokazuje ścieżki poszukiwań, jakimi porusza się fotograf, selekcyjując tematy swoich prac i poszukując najbardziej adekwatnych do nich technik fotograficznych. Ar-

tyzm i rzemiosło, dostrzegane piękno i niestety wszechobecna brzydota, stanowią zintegrowane źródło utrwalonej w fotografii prawdy o otaczającym nas świecie w pracach Henryka Bzdoka. ■

Henryk Bzdok: *Z życia wzięte, katowickie środowisko artystyczne oczami grafika*. Katowice 2012. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, s. 176.



fol. Henryk Bzdok



fol. Henryk Bzdok



fol. Henryk Bzdok



fol. Henryk Bzdok



for. Henryk Bzdok



for. Henryk Bzdok



fot. Henryk Bzdok

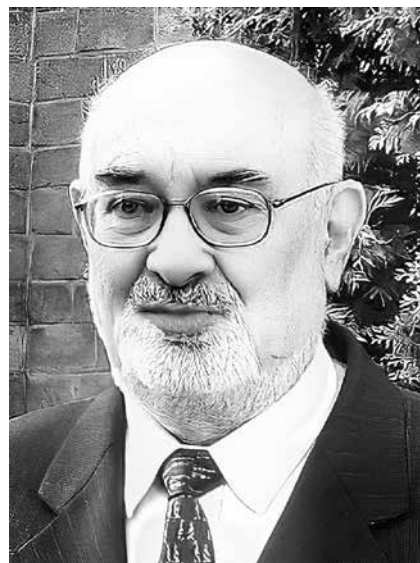


fot. Henryk Bzdok



Kompozytor, eksperymentator, pedagog

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



for. Jacek Sz

Ryszarda Gabryśia (ur. w 1942 r.) da-
rzę podziwem, odkąd po raz pierw-
szy przeczytałem jego tekst jeszcze przed
poznaniem autora. Była to analiza języka
harmonicznego *Święta wiosny* Igora Stra-
wińskiego, którą wydrukował w piśmie
„Res facta”. Umiał on dowieść syntetycz-
nie, zrozumiale i zajmująco wyjątkowość
tej epokowej kompozycji w sferze organi-
zacji materiału dźwiękowego. Nadal uwa-
żam jego artykuł za jeden z najlepszych
polskich tekstów teoretycznych jakie do-
tychczas powstały. Widać tu szkołę anali-
tycznego myślenia pierwszej klasy – młody
Ryszard miał szczęście studiować teorię
muzyki pod kierunkiem Jana Gawłusa
i Adolfa Dygacza, uzyskując dyplom w 1966 r.

Potem poznałem go jako kompozyto-
ra. Również w tym przypadku wzbudził
moje uznanie: od razu wydał mi się ar-
tystą poszukującym, który bez wahania
rzucił się w przepaść eksperymentu, jak
my wszyscy z różnym skutkiem, ale czę-
sto zwycięsko.

Nie wolno wszakże jego twórczości mie-
rzyć jedną miarą, gdyż w katalogu dzieł
Ryszarda Gabryśia łatwo wyodrębnić kilka
równoważnych nurtów. Jeszcze przed
ukończeniem w 1972 studiów kompozy-
torskich w katowickiej Państwowej Wyż-
szej Szkole Muzycznej (dziś Akademii)
u Bolesława Szabalskiego, skomponował
dużo dzieł, w których jak gdyby nakreślił
plan swojej wielotorowej twórczości. Są
tam młodzieńcze utwory, głównie z forte-
pianem, utrzymane w konwencji tradycy-
nej (wszystkie one powstały w latach 1955–
1958): *Wyspy szczęśliwe* na tenor i forte-
pian; *Funèbre* na fortepian, także fortepia-
nowe *Przed burzą* oraz *Impresja*; *Pieśni na
głos męski i fortepian* do słów polskich po-
etów romantycznych.

Inną kategorię reprezentują tytuły chó-
ralne, często religijne, w których nierząd-
ko wykorzystuje kompozytor folklor swego
regionu, Śląska Cieszyńskiego: *Brońże
nas, Panie, na wieki* na tenor solo, chór
mieszany i orkiestrę (lub organy) (1959);
Śpiewy ludowe na chór mieszany a cappella
(1960); *Kto się w opiekę* na głosy solo-
we, chór mieszany i chór męski, all'antico

(1960); *Psalm CL* w dawnym stylu na chór
mieszany (1960); *Lamentoso* na tenor, chór
mieszany, klarnet, skrzypce i wiolonczelę,
all'antico (1960); *Psalm 56* na chór miesza-
ny, all'antico (1961); *Psalm 27* w dawnym
stylu na sopran, tenor, 2 chóry mieszane,
skrzypce, klarnet i organy (1961) albo póź-
niejsze *Trzy cieszyńskie pieśni ludowe* na 3
równe głosy żeńskie (1980).

Uderzają tu twórcza płodność – zdol-
ność pisania muzyki szybko, pewną ręką;
predylekcja do idiomu wokalnego ujmowa-
nego w serie podobnych kompozycji;
umiłowanie, jako się rzekło, rodzimego
folkloru; umiejętność odnajdowania się
w dawnych stylach (bardzo rzadka umie-
jętność, inaczej mielibyśmy dziesiątki sym-
fonii w stylu Mozarta); praktyczne podej-
ście do zagadnień wykonawstwa chóralne-
go – muzyka chóralna to po większej czę-
ści domena zespołów amatorskich, w czym
Śląsk zawsze przodował; biegłość w wyko-
rzystaniu jedyńskich dostępnych środków,
a więc chóru, klarnetu, skrzypiec, wio-
lonczeli, organów – takie siły wykonaw-
cze miał do dyspozycji i wykorzystywał je
w swoich utworach. To była świetna szkoła
klasycznego rzemiosła kompozytorskiego.
Na przełomie dekad piątej i szóstej ubie-
głego stulecia (nie zapominajmy, że kom-
pozytor liczył sobie dopiero siedemna-
ście-osiemnaście lat!) pojawia się kolejna
kategoria, nazwijmy ją współczesno-eks-
perymentalną: *Voices* na solą, chór śpie-
wający, chór sonorystyczny, trąbki i kon-
trabasy (1959); *Introdukcja* na klarnety,
trąbki i smyczki (1960); *Studium* na for-
tepian (1960); *Symetrie* na skrzypce, obój
i wiolonczelę (1962); *Trio dodekafoniczne*
na wiolonczelę, fortepian i organy (1963) –
jakiż to oryginalny skład!; *Dwie miniatury*
na trio smyczkowe (1963); *Dwanaście
kształtów* na klarnet i fortepian (1964); *Na-
uczka I* na zespół instrumentalny (1965).

Okręś studiów w klasie Szabalskiego za-
owocował poszerzeniem wachlarza zainte-
resowań teoretycznych i twórczych w po-
staci rosnącej liczby artykułów oraz inten-
sywnej pracy popularyzatorskiej (setki
wykładów, audycji radiowych i telewizy-
yjnych), a także kompozycji: z udziałem

elektroniki (*Charles Ives in memory song*
na sopran, puzon, kontrabas i taśmę mag-
netofonową z 1970); multimedialnych
tj. łączących muzykę z warstwą ruchową
oraz projekcją wizualną (*Metamuzyka II*
na zespół kameralny, z przeźrocami i grą
światła z 1971; *Choreodram* dla tancerki,
3 śpiewaczek, statystów, z taśmą magne-
tofonową i filmową z 1972); z pogranicza
teatru i muzyki, tzw. teatru instrumen-
talnego (*Przesłanie*, scenariusz dla akto-
ra-wiolonczelisty z 1971).

Co charakterystyczne, w latach siedem-
dziesiątych poczyna Ryszard Gabryś jako
jeden z pierwszych tworzyć utwory w sze-
rokim kontekście folkloru i natury, w któ-
rych nowatorsko traktowany materiał ludo-
wy spotyka się nieraz z dźwiękami środo-
wiska naturalnego (np. nagrany w cza-
sie wędrowek górskich): *Kadencje* na głos
żeński i trombitę (1971–73), *Muzyka gór-
ska* na sopran, biały głos żeński, puzon i trą-
bę owczarską (1973–74), *Doliny II* na głos,
instrumenty ludowe i taśmę (1985), *Etnos-
fera* dla ludowego śpiewaka-instrumenta-
listy (1986). O tym ostatnim utworze pisa-
łem w lutym 1987 na łamach warszawskiej
„Kultury”: „*Etnosfera*” [to] folklorystyczna
koncepcja Ryszarda Gabryśia, bardziej zna-
nego jako teoretyka, obdarzonego kolosalną
wiedzą i erudycją. „*Etnosfera*”, której frag-
ment kreował Józef Broda, muzyk beskidzki,
posługujący się typowym w tym regionie in-
strumentarium, to nie jest utwór folklorem
inspirowany. To próba stworzenia nowego l
u d o w e g o ujęcia tradycyjnej problematy-
ki, próba udowodnienia, iż folklor, kojarzo-
ny najczęściej z upiornymi wprost przedsię-
wzięciami tzw. zespołów ludowych i różnych
działaczy potrafi otrząsnąć się ze skostnie-
nia. Józef Broda, człowiek nawiedzony, za-
grał to wszystko pięknie, dając oryginalne
misterium, kojarzące się momentami z te-
atrem instrumentalnym.

Na Śląsku, mimo że znany jako nie-
znużony popularyzator kultury regio-
nu, kompozytorsko jest Ryszard Ga-
bryś osamotnionym eksperymenta-
torem. Nie umniejsza to jednak w ni-
czym jego prawdziwej wielkości. ■

WKatowicach pomiędzy Piotrowicami a Kostuchną, w domu przy ul. Stabika 50 w latach 1979–1986 mieszkała mistyczka obdarzona cudownymi stygmatami.

Katarzyna Szymon urodziła się 21 października 1907 roku w Studzienicach koło Pszczyny w ubogiej i wielodzietnej rodzinie Jana i Anny z domu Mazur. Gdy ukończyła pierwszy rok życia, zmarła jej matka, a ojciec niebawem ożenił się powtórnie. Druga matka miała dwoje swoich dzieci i dla Katarzyny była bardzo niedobra. Od najmłodszych lat ciężko pracowała w gospodarstwie spotykając się z wrogością macochy. Pozwolono jej ukończyć tylko 3 klasy szkoły podstawowej, gdyż praca w gospodarstwie była ważniejsza od nauki. Po śmierci macochy i ojca, bratowa wypędziła ją z domu rodzinnego. Przed wojną i podczas wojny pracowała jako służąca u gospodarzy w Studzienicach i Porębie. Po wojnie pracowała jako służąca w Pszczynie, a od 1976 roku mieszkała w Łaziskach Rybnickich.

W 1979 roku mistyczka zamieszkała w Katowicach-Piotrowicach na ul. Stabika 50, będąc pod opieką Marty Godziek. Opiekę sprawowała przez ostatnie lata życia Katarzyny Szymon aż do jej śmierci.

Pierwsze rany stygmatyczne pojawiły się na jej rękach i boku w marcu 1946 roku, w pierwszy piątek Wielkiego Postu. Na początku stygmaty były bardzo małe i ukrywała je przez kilka lat. Od pojawienia się pierwszych stygmatów mistyczka zawsze w Wielkim Tygodniu bardzo cierpienia, przeżywając ekstazę Męki Pańskiej.

Podczas modlitwy 24 lipca 1954 roku we Frydku koło Pszczyny objawiła się jej Matka Boża Królowa Wszechświata, która poleciła przyczynić się do wybudowania kościoła w tym miejscu. Tak się też stało, za jej przyczyną i modlitwą powstała w 1985 roku Parafia NMP Królowej Wszechświata we Frydku, należąca do dekanatu Miedzna. Stygmatyczka z otrzymanych od różnych ludzi darów, przekazała wiele pieniędzy, na budowę tego kościoła. Według opisu zapamiętanego wyglądu Matki Bożej Królowej Wszechświata, rzeźbiarz Franciszek Masorz z Rybnika wykonał figurę, która w 1987 roku została umieszczona w wybudowanym z jej inicjatywy kościele we Frydku.

Opiekunka jej ostatnich lat życia, pani Marta Godziek relacjonuje, że stygmatyczka najwięcej czasu poświęcała modlitwie, zaś jej rany krwawiły zawsze w środy i piątki. W piątki przeżywała pasję Chrystusa. Podczas ekstaz krwawiła z oczu i ran stygmatycznych. Podobnie jak inne stygmatyczki, między innymi Teresa Neumann, zdarzało się, że w ekstazie otrzymywała łaski cudownego przyjęcia Eucharystii. Zmaterializowana Święta Hostia pojawiała się na języku Katarzyny bez interwencji kapłana, którą następnie przyjmowała. Zjawisko wydarzyło się na oczach wielu osób, nawet i konsekrowanych. Czasami w przeżywanych ekstazach kontaktowała się z świętymi, a nieraz z duszami zmarłych. Podczas ekstaz przemawiała w imieniu niektórych świętych,



Śląska stygmatyczka Katarzyna Szymon

STEFAN GIERLOTKA

czy nawet Maryi. Choć była analfabką w ekstazach mówiła literacką polszczyzną, a nawet zdarzało się jej mówić obcymi językami. Wypowiedzi były logiczne, bardzo moralizujące i na wysokim poziomie teologicznym. Potrafiła przenikać duszę odwiedzających ludzi i czytać ich życiowe problemy. Niektó-

ry nawet Maryi. Choć była analfabką w ekstazach mówiła literacką polszczyzną, a nawet zdarzało się jej mówić obcymi językami. Wypowiedzi były logiczne, bardzo moralizujące i na wysokim poziomie teologicznym. Potrafiła przenikać duszę odwiedzających ludzi i czytać ich życiowe problemy. Niektó-

re prywatne wypowiedzi dotyczyły stanu przyszłości. Już w 1974 roku wspominała o wyborze papieża Polaka, który nastąpi. W 1983 roku, podczas spotkania chorych z papieżem Janem Pawłem II w katowickiej katedrze, Ojciec Święty podszedł do niej, uściśnął i ofiarował jej różaniec. Podczas spotkania z mistyczką papieżowi towarzyszył biskup Bednorz.

Za jej życia odwiedzali ją ludzie całego świata, w tym różni księża i biskupi. Przybył nawet ks. Stanisław Kotowski, sekretarz Prymasa Stefana Wyszyńskiego, ofiarując Katarzynie obraz. Pobral jej krew i zawiózł do Warszawy.

Chodziła skromnie ubrana w tradycyjnym stroju pszczyńskim zwanym „po chłopsku”. Ukrywała swoje rany, nosiła bluzki z długimi rękawami. Dużo chorowała i ostatnie lata swego życia spędzała w łóżku. Posiadane stygmaty widoczne były na rękach i nogach oraz na głowie. Stygmaty na zewnętrznej części dłoni miały średnicę około 3 cm, natomiast na wewnętrznej części były trochę mniejsze. Rany na głowie były w kształcie korony cierniowej. Rany nigdy się nie goiły, jedynie lekko zasklepiały, żeby w kolejne dni znowu spływać krwią. Oprócz stygmatów miała też wizje przyszłości, rozmawiała ze świętymi i zmarłymi.

Zmarła 24.08.1986 roku w 79 roku życia. Cieszyła się, że odchodzi i przewidywała, kiedy to nastąpi. Po śmierci krwawiące stygmaty zanikły, a strupy odpadły. Podobne zjawisko zaniku stygmatów po śmierci występowało u innych uznanych przez Kościół stygmatyków, między innymi u św. Franciszka z Asyżu. W dniu pogrzebu zauważono, że ze stygmatu na prawej ręce oraz na nogach wyszła się krew. Prawdziwość tego potwierdziła powołana protokołem czterosobowa komisja lekarska, która stwierdziła również brak stężenia pośmiertnego

zwłok. Ciało było wiotkie i pachnące. Pogrzeb odbył się 28 sierpnia 1986 roku na cmentarzu przy parafii Trójcy Przenajświętszej w Katowicach-Kostuchnie. W pogrzebie uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, w tym ok. 40 kapłanów.

Stygmaty te były badane przez dwie komisje lekarskie. Na polecenie biskupa Herberta Bednorza w 1980 roku powołano komisję pod przewodnictwem prof. Franciszka Kokota. Po badaniach profesor Kokot przyjechał prywatnie ze swoimi synami odwiedzić Katarzynkę.

Moje osobiste spotkania z stygmatyczką Katarzyną Szymon, jeszcze w latach osiemdziesiątych, stwierdzają jej sceptycyzm do niektórych zmian wprowadzonych przez II Sobór Watykański. Obawiała

się, co często podkreślała, że niektóre wprowadzone przez Sobór udogodnienia doprowadzą w konsekwencji do rozpasania dyscypliny praktyk religijnych naszego kościoła. Wprowadzenie języków narodowych do kultu było jej obawą o zaistnienie kościołów narodowych, co rozbije jedność kościoła powszechnego. Gdy na spotkaniu byli księża, mówiła o ich nieprawidłowościach w postępowaniu. Nie zadawała jej chodzenie klebru bez sutanny na terenie sprawowania kultu religijnego. Krytykowała wspólne wyjazdy urlopowe proboszczów z kucharkami oraz szercząc się alkoholizm w duchowieństwie.

W 1984 roku powołano drugą komisję lekarską dla wykonania szczegółowych badań medycznych, którą zlecił ówczesny kanclerz kurii ks. Wiktor Skworec. Cały okres Wielkiego Postu w 1984 roku z inicjatywy kurii była na badaniach. Jej opiekunka Marta Godziek informuje, że przeprowadzano na Katarzynie różne eksperymenty medyczne, dla zaintrygowania badających lekarzy. Po powrocie z badań przez kilka miesięcy była ciężko chora i cały czas leżała w łóżku.

W sprawie prawdzi-



fot. arch. aut.

wości ekstaz, stygmatów, fenomenów jej mistycznych przeżyć Kościół jednoznacznie nie wypowiedział się. Dopiero po jej śmierci Kuria w Katowicach w 1988 roku orzekła, że rany na ciele nie miały charakteru nadprzyrodzonego. Mimo tego kult „Katarzynki” nadal trwa. Do jej grobu przybywają różne, bardziej lub mniej liczne pielgrzymki. Na jej grobie są zawsze świeże kwiaty.

Pokój na piętrze w domu pani Godziek, w którym zamieszkiwała, pozostał od jej śmierci bez zmian. W każdą pierwszą sobotę miesiąca o godz. 15:00 w domu p. Marty Godziek zbierają się wierni modlący się o beatyfikację Katarzyny Szymon. Wniosek o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego złożyła opiekunka Marta Godziek w 2001 roku w katowickiej kurii. Dołączono kilka tysięcy relacji osób, które opisały spotkanie z Katarzyną Szymon. Sprawa złożonego w Kurii wniosku pozostaje nadal otwarta.

Osoba wierząca może stygmaty rozważać w kategoriach cudu. Stygmaty są świadectwem szczególnej relacji z Bogiem i występują w miejscach ciała, które odpowiadają ranom zadany Jezusowi w czasie męki.

Kto widział na własne oczy stygmaty u Katarzyny Szymon ten wierzył. Potwierdzenie stwierdzonego charyzmatu u Katarzyny Szymon udokumentowało 3056 osób. Wiele osób potwierdziło otrzymanie szczególnych łask za pośrednictwem Katarzyny Szymon.



fot. arch. aut.

K S A L S

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Artyści fotografii cyfrowej

CZĘSTOCHOWA. Rozstrzygnięcie XXIII Międzynarodowego Konkursu Cyfrowej Fotokreacji „Cyberfoto 2020” było inne niż poprzednie. I w tym roku organizacją zajmował się Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie pod patronatem Prezydenta Miasta Częstochowy i honorowym patronatem Marszałka Województwa Śląskiego, jednak termin nadsyłania prac zbiegł się z wprowadzaniem obostrzeń spowodowanych COVID-19. Zgodnie z regulaminem zgłoszenia miały napłynąć do 17 marca br., by dwa dni później mogły się odbyć obrady jury. Stało się jednak inaczej.

Jury w składzie: dr Krzysztof Jurecki (przewodniczący), dr Wojciech Sternak, Arkadiusz Ławrywianiec oraz Sławomir Jodłowski, ustaliło werdykt 7 maja br. Oceniono 145 prac nadesłanych przez 39 autorów i wybrano 88 zdjęć na wystawę. Wśród zakwalifikowanych znalazło się kilku częstochowian: Małgorzata Kozakowska, Karina Pała, Piotr Cieślak i Mateusz Kozera.

Zwyciężyła Kamila Rosińska z Natalina cyklem *Nigredo (Nowe Pompeje)* poszukującym istoty życia, ale także zapisującym rozpad postaci. Kolejne nagrody zdobyli: Agnieszka Kot z Brania za cykl *Planta*, definiująca kobiecość z wykorzystaniem świata roślin, oraz Krzysztof Strzoda z Katowic za cykl *Out of reality, collage triptych*, odnoszący się do tradycji fotografii i możliwości rytuału. Wyróżnienia otrzymali:



Natalia Rex



Natalia Rex, Mirosław Iskra, Jakub Pietrzak. Przyznano także nagrodę specjalną Dyrektora Regionalnego Ośrodka Kultury, dostała ją Małgorzata Kozakowska, oraz nagrodę specjalną przewodniczącego jury dla Joanny Borowiec z Rumii.

Partnerami w organizacji wydarzenia byli: Narodowe Centrum Kultury w Warszawie, Śląski Oddział Związku Polskich Artystów Fotografików, Fotoklub Rzeczypospolitej Polskiej Stowarzyszenie Twórców.

Poświatowska skończyła 85 lat

CZĘSTOCHOWA. Z okazji urodzin Haliny Poświatowskiej 9 maja Zbigniew Myga opowiadał o losach rodziny od dwudziestolecia międzywojennego począwszy, a przede wszystkim o znanej siostrze. Nagrania dokonano w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej przy ul. Jasnogórskiej. Wydarzenie odbywało się w ramach akcji *Czas na miasto, czas na Muzeum*.

Opowieść Zbigniewa Mygi dotyczyła życia znanej poetki, ale również ówczesnej polityki i medycyny. Pojawił się w niej również wątek spotkań z miłośnikami talentu siostry.

Myga spędził z Haską 16 lat. Znał jej adoratorów i znajomych, wśród nich oczywiście Adolfa Poświatowskiego, malarza, fotografa, studenta łódzkiej filmówki, z którym poetka wzięła ślub w 1953 roku. Szwagier namalował chłopcu wielki okręt i opowiadał bajki o wielkoludzie.

Dla Zbigniewa Mygi Haśka jest przede wszystkim siostrą, która z powodu choroby koncentrowała na sobie uwagę mamy. Rwał dla niej pokrzywy, łapał deszczówkę, pomagał wchodzić pod górę. Z kolei ona uczyła młodszego brata ortografii, dyktując mu wymyślone przez siebie teksty – o hrabim Hilary, który potknął się na hipopotamie. Zapoznała go również z dziełami Szekspira.

Haśka miała doskonałą pamięć. W ciągu pół roku opanowała język angielski. Uczyła się w Smith College, a po udanej operacji serca otrzymała stypendium na Uniwersytecie w Kalifornii. Tęskniła tak bardzo za domem, że wróciła do Polski. To wydawało się podejrzane ówczesnej władzy. W domu odbyło się kilka rewizji, a gdy nie znaleziono nic podejrzanego, próbowano pozyskać ją jako szpiega.

Podczas wirtualnej prezentacji Zbigniew Myga pokazywał wybrane tłumaczenia wierszy siostry, które są dostępne w ponad 200 językach, m.in. po norwesku, czesku, białorusku, ukraińsku, bułgarsku, persku, chińsku, japońsku, wietnamsku, pendzabsku, w języku kannada (używanym w Indiach) czy urdu. Istnieje też strona poświęcona Halinie Poświatowskiej w języku pasztu. To pokazuje niezwykłą popularność wierszy kruchej kobiety, która zapisywała w nich swoje doświadczenie życia.

Wspomnienie zimy w OPK Gaude Mater

CZĘSTOCHOWA. Od połowy maja można wracać do instytucji kultury, by w przestrzeniach wystawowych oglądać przygotowane prezentacje. I tak w OPK Gaude Mater wciąż można było zobaczyć ekspozycję Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza. Znalazły się tu prace powstałe w czasie pleneru zimowego trwającego między 12 a 19 stycznia 2020 w Złotym Potoku. Spotkanie, w którym wzięło udział czternaście osób, odbywało się pod hasłem „Z zimą na ty”. I choć śniegu w tym roku nie było wiele, artyści pokazali, jak powinny wyglądać pejzaże w śnieżnej scenarii. Kuratorką wystawy była Teresa Malczewska.

Stowarzyszenie działa od 1981 roku, więc w przyszłym roku będzie świętować 40-lecie istnienia. Aktualna prezes stowarzyszenia, Ewa Powroźnik, zapewnia, że członkowie są dla siebie prawie jak rodzina, dlatego lubią razem spędzać czas. Nic dziwnego, że podczas pleneru przygotowano wiele dodatkowych atrakcji, takich jak spacer, zwiedzanie, spotkania, czy turniej wiedzy o sztuce.

Kultura w czasie epidemii

CZĘSTOCHOWA. Maj był trudnym miesiącem dla częstochowskiej kultury. Z powodu stanu epidemicznego zrezygnowano z kilku ważnych imprez w mieście. Nie od-

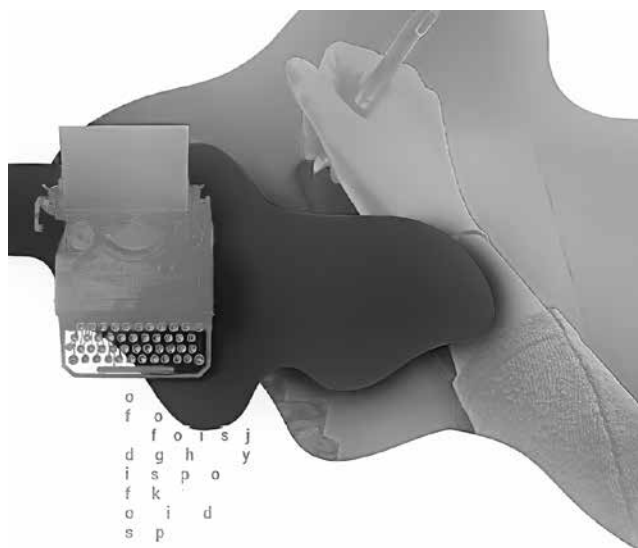


była się ani trzydziesta edycja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej Gaude Mater, ani Dni Samorządu Terytorialnego, które w tym roku miały być połączone z Festiwalem Retro. XVI Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego Hot Jazz Spring 2020 przesunięto na rok następny. Zmieniono też terminy nadsyłania prac na konkursy organizowane przez częstochowskie instytucje kultury – Międzynarodowe Biennale Miniatury (OPK Gaude Mater) czy Legendy Jury (ROK).

Najtrudniejsza sytuacja wciąż panuje w teatrze oraz filharmonii, ponieważ nie mamy jeszcze terminu wznowienia ich działalności w formach znanych sprzed pandemii. Instytucje zwiększają jednak swoją aktywność w sieci. Muzycy Filharmonii Częstochowskiej i członkowie chóru Collegium Cantorum spotykają się na próbach, a nagrania udostępniają melomanom za pomocą zdalnych narzędzi. Natomiast teatr częstochowski prezentuje archiwalne nagrania, a jednocześnie rozpoczyna prace nad kolejnymi spektaklami. Będzie to m.in. polska prapremiera *Falshu* holenderskiej autorki Lot Vekemans, w reżyserii André Hübner-Ochodlo. Możemy jedynie mieć nadzieję, że efekty prób i prac zobaczymy jak najszybciej.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

KATOWICE. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich swoją śląską historię rozpoczęło 9 kwietnia 1990 roku, kiedy to zatwierdzono powstanie oddziału w Katowicach. Jego przedstawiciele pojawili się niedługo później, 9 i 10 czerwca tegoż roku, na zjeździe warszawskim. W 30. rocznicę tamtych wydarzeń ukazała się publikacja: „Trzy dekady. Antologia



TRZY DEKADY

ANTOLOGIA XXX-LECIA
STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH
ODDZIAŁU ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH

XXX-lecia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Śląskiego w Katowicach”, wydana nakładem Biblioteki Śląskiej. Redaktorzy Paweł Majerski i Jan Strządała przedstawiają literackie wizytówki 33 autorów. Są to zarówno prezentacje aktualne – odsłaniające pisarskie „tu i teraz”, jak i wybory tekstów z różnych lat. Każda prezentacja literacka została poprzedzona notą o autorze, zawierającą podstawową faktografię.

Katowice przygotowały raport o stanie miasta

KATOWICE. Od ubiegłego roku, w związku z nowelizacją ustawy o samorządzie gminnym, każdą gminę obowiązuje konieczność opracowywania tzw. raportu o stanie miasta. „*Raport o stanie miasta Katowice 2019*”. Dokument jest podsumowaniem działań miasta podejmowanych w zeszłym roku, w szczególności dotyczy realizacji polityk, programów i strategii, a także przyjętych uchwał rady miasta oraz budżetu obywatelskiego.

Autorzy Raportu twierdzą, że w 2019 roku w Katowicach wzrosła jakość życia: poprawiła się jakość powietrza, powstały nowe drogi rowerowe i stacje wypożyczania jednośladów, przybyło miejsc w żłobkach, przekazano mieszkańcom kolejne lokale w ramach programów miejskich, a o ponad 17% wzrosły wydatki na realizację programu współpracy Miasta Katowice z NGO w przeliczeniu na 1 mieszkańca. Zeszły rok upłynął także pod znakiem wzmocnienia pozycji Katowic na arenie międzynarodowej, m. in. dzięki organizacji kolejnej edycji Intel Extreme Masters, czy Światowej Konferencji Antydopingowej, a także pozyskaniu możliwości organizacji kolejnego wielkiego wydarzenia jakim będzie Światowe Forum Miejskie. Realizowana jest w mieście polityka trzech filarów polegająca na: wysokiej podaży atrakcyjnych miejsc pracy, zapewnieniu zdywersyfikowanej oferty mieszkaniowej oraz wysokiej jakości życia.

W raporcie wymienione zostały także nagrody i wyróżnienia, które otrzymały Katowice w ubiegłym roku. Były to m. in. tytuł najbardziej ekologicznego miasta w Polsce w rankingu magazynu „Forbes”, certyfikat „Lider Samorządowej Edukacji”, pierwsze miejsce w rankingu fDi Magazine oceniającym atrakcyjność miasta dla bezpośrednich inwestycji zagranicznych, trzecie miejsce w rankingu Fundacji Schumana w kategorii „Miasto dla Młodych”. W raporcie uwzględniono także współczynniki obrazujące bardzo dobrą kondycję finansową Katowic.

Katowice stają się coraz bardziej obywatelskim miastem – w 2019 wzrosło zaangażowanie w sprawy lokalne. W 2019 roku katowiczanie złożyli najwięcej projektów w historii budżetu obywatelskiego (388, w 2018 r. – było ich 345), jednocześnie zanotowano rekordową frekwencję w głosowaniu, która sięgnęła 18,89%, co oznaczało wzrost o 12,4% w porównaniu do 2018 roku. Warto dodać, że katowicki budżet obywatelski kolejny raz był największy w Polsce per capita wśród miast wojewódzkich. Rok 2019 był okresem rozwoju metropolitalnego oraz turystyki biznesowej. W ubiegłym roku po raz pierwszy liczba uczestników wydarzeń biznesowych przekroczyła milion osób! W mieście pojawili się nowi inwestorzy z różnych sektorów gospodarki, w tym także na rynku hotelarskim, zwiększyła się liczba odwiedzających miasto uczestników spotkań konferencyjnych i wydarzeń biznesowych. Wraz z rozwojem popytu na spotkania rozwija się baza noclegowa w mieście (oferująca w 2019 roku w 22 hotelach 2206 pokoje, w tym 1129 pokoje w 6 hotelach skategoryzowanych na cztery gwiazdki).

Katowice są jednym z największych ośrodków gospodarczych w Polsce, co potwierdza m. in. raport ABSL. Miasto ma bardzo niski wskaźnik stopy bezrobocia. Według stanu na 31 grudnia 2019 r. wynosił rekordowo niski niespełna

1%. Katowice charakteryzują się także wyższym niż średnia krajowa przeciętnym miesięcznym wynagrodzeniem brutto w sektorze przedsiębiorstw 5 311,15 zł (kraj 5 169,06 zł).

Niestety, o kulturze i instytucjach kultury niezbyt wiele w tym Raporcie się wspomina.

Katowice Business Run w nowej formule. Zapisy od dziś

KATOWICE. Od kilku lat w pierwszą niedzielę września pracownicy śląskich firm i korporacji stają na starcie Katowice Business Run – biegu biznesowego, który aktywność fizyczną i integrację pracowników łączy z charytatywnym celem. Również w tym roku organizatorzy nie rezygnują z imprezy i zapraszają na pomaganie przez bieganie w nowej, bezpiecznej odsłonie. Zapisy wystartowały 27 maja.

Katowice Business Run odbywał się do tej pory siedem razy. W ubiegłym roku limit 4 tysięcy miejsc na charytatywną sztafetę wyczerpał się po 18 minutach od startu rejestracji. Katowicka impreza jest częścią ogólnopolskiej inicjatywy – zawody odbyły się tego samego dnia także w 8 innych miastach Polski, m. in. Krakowie, Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu, gromadząc łącznie ponad 27 tys. osób.



Tegoroczny bieg z konieczności będzie wyjątkowy – pod względem miejsca i formuły. Zapisy dla uczestników z Katowic i innych miast ruszą 27 maja i potrwać będą do 10 czerwca.

– Choć nowa rzeczywistość postawiła nas przed koniecznością zmian, nie składamy broni. Nadal chcemy integrować środowisko biznesowe w słusznym, charytatywnym celu, by nie zostawić naszych podopiecznych bez wsparcia. Dlatego też potwierdzamy zapowiedzianą na 6 września datę biegu. Tego dnia jak zwykle 5-osobowe zespoły pobięgną w Poland Business Run 2020, m. in. w Katowicach. Tym razem jednak, mając na uwadze zdrowie i bezpieczeństwo uczestników, nie zgromadzimy biegaczy na liniach startu w każdym mieście – tłumaczy Marta Hernik, dyrektor Fundacji Poland Business Run, organizator biegu.

Biegacze pokonają dystans 4 km sami lub w kilku-, kilkunasto – czy kilkudziesięcioosobowej grupie w zależności od zasad dotyczących zgromadzeń, które będą obowiązywać we wrześniu. Nie będzie też wyznaczonej trasy, każdy może wytyczyć wymagany odcinek samodzielnie i w wybranej lokalizacji – w jednym z katowickich parków, wzdłuż Muchowca czy po okolicznych leśnych ścieżkach. Nie trzeba jak dotychczas biec konkretnie w Katowicach, ale w dowolnej miejscowości, w kraju lub poza jego granicami. Główne hasło sztafety, czyli „**Pobiegiesz – pomożesz!**” pozostaje bez zmian. Fundacja pragnie, by mimo nowej rzeczywistości i zakazu organizacji imprez masowych, pomoc otrzymało jak najwięcej potrzebujących po amputacjach i z innymi dysfunkcjami narządów ruchu. W ubiegłym roku, dzięki zaangażowaniu katowickich biegaczy, pomoc otrzymało 14 osób ze Śląska. Dofinansowano 4 protezy, 2 wózki aktywne i 11 turnusów rehabilitacyjnych. ■

W numerze 4 (295) z miesiąca kwietnia 2020 miesięcznika „Śląsk”, na str. 16 i na 17 opublikowane zostały wiersze Adama Wagi. Niestety, do tekstów wkraady się przykre błędy, dlatego poniżej ponownie zamieszczamy poprawne wersje obydwu utworów:

Principium

Córce

*Nie szukaj przyczyn.
Jest ich nadmiar
Same przynoszą swoje skutki
Szukaj praprzyczyny.
Skąd życie?
Nie wiadomo, choć wiadomo,
że prowadzi się znikąd donikąd.
Skąd Bóg?
Czy stworzył sam siebie?
Kto zatem stworzył stwarzającego?
A kto miałby stworzyć tego,
który stworzył stwarzającego?
Stop
Nie popełniaj błędu logiki.
Wycofaj się z nieskończoności absurdu.
Niech ci wystarczy nieskończoność tautologii:
JAM JEST, KTÓRY JEST.*

Ona nie mówi nic.
Ona mówi wszystko.
Z nią dojdiesz wszędzie.
Nawet gdy wszędzie może znaczyć donikąd.

Odpowiedź przyjacielowi

Nie pytaj o sens.
Nie pytaj o cel.
Sensu jest tyle,
ile bezsensu.
Celu jest tyle
ile bezcelu.
Może ten remis utrzymuje świat
W chwiejnej równowadze.

Autora i Czytelników Redakcja miesięcznika serdecznie przeprasza.

W numerze 2 (292) z miesiąca lutego 2020 miesięcznika „Śląsk” na str. 34 oraz w numerze 3 (294) na stronach 69-73, w Galerii prezentującej prace z wystawy „Made [in] Ready”, wydrukowane zostały fotografie wykonane przez Krzysztofa Morcinka, udostępnione nam przez Galerię Bielską BWA.

Pana Krzysztofa Morcinka za pominięcie jego nazwiska pod opublikowanymi zdjęciami Redakcja bardzo przeprasza.

Zwykło się mawiać, że Dolny Śląsk to taka Polska Dolina Loary, gdzie praktycznie na każdym kroku spotkamy przepiękne rezydencje dawnych władców tych ziem. Fakt, tereny te były zamieszkiwane przez bogate rody, dysponujące znacznymi funduszami, a ich siedziby były wznoszone z większym lub mniejszym rozmachem, na ile pozwalała zasobność portfela.

Cel pozostawał jednak zawsze ten sam – budowle miały podkreślać znakomitość rodów właścicieli, być wizytówką świadczącą o przynależności do wyższych sfer. O wyglądzie decydowała też ówczesna moda architektoniczna, dlatego niektóre z pałaców urzekają subtelną prostotą, inne natomiast oczekają zdobieniami i tryskają mnogością form oraz kształtów, w których dawni architekci najwyraźniej się prześcigali. Oczywiście, wiele tych zacnych rezydencji poddawano przebudowom, dlatego niejednokrotnie w jednej budowli możemy doszukać się kilku stylów architektonicznych. Efektem tego jest niepowtarzalność, bo choć możemy spotkać podobne pałace – to nigdy nie dwa takie same. W tym architektonicznym panteonie form na wysokim poziomie należy umieścić pałac w Wiśniowej, który dzięki swej oryginalności jak najbardziej przypomina wspomniane wyżej zamki w Dolinie Loary.

Historia tego miejsca zaczyna się w XVI wieku, kiedy to wzniesiono renesansowy dwór dla właściciela Wiśniowej – Hansa von Mühlberg, w kolejnych latach jego stan własności się zmieniał, właścicielami majątku byli Ulrich von Strachwitz, rodzina von Gellhorn, Fredrich von Litwitz oraz Bernhard von Netz. Po bardzo tragicznym dla majątku okresie wojny trzydziestoletniej, w czasie której praktycznie cały uległ zniszczeniu, wszedł w posiadanie Hansa Ernsta von Schweinichen, niestety ten nie udźwignął finansowo ciężaru odbudowy i sprzedał majątek na rzecz pruskiego generała Ernsta von Sommerfeld und Falkenhayna. Kolejni wzmiankowani właściciele to Cladius Theodor von Le Beau de Nantes, Heinrich Zimmer i bardzo majątna jak na tamte czasy rodzina von Zedlitz und Leipe posiadająca liczne majątki na terenach księstwa świdnickiego. To właśnie za sprawą tego rodu Wiśniowa przeżyła największy rozkwit.

W latach 1872–1885 pałac przeszedł pierwszą znaczącą przebudowę, w tym okresie wybudowano część główną z ryzalitem wejściowym i okrągłą wieżą w północnym narożniku oraz mniejszą wieżyczką od strony zachodniej. Rok 1899 przyniósł kolejną przebudowę, dzięki której obiekt zyskał skrzydło w południowo-zachodniej części. Nie zabrakło też zdobień takich jak boniowane lizeny, pilastry, gzymsy, opaski wokół otworów okiennych, nadokienniki, nad wejściem głównym umieszczono kartusz herbowy von Zedlitz z gryfem trzymającym różę. Przyglądając się wszystkim zdobieniom oraz dość skomplikowanej bryle pałacu trzeba przyznać, że największe wrażenie robi cylindryczna wieża, która sprawia, że cały pałac wygląda jakby jego budowa była inspirowana dziecięcą bajką.

W rękach rodziny von Zedlitz pałac został do wybuchu II wojny światowej, podczas działań wojennych zdeponowano w nim przywiezione z Berlina Archiwum Statystyczne Niemiec. Obiekt przetrwał wojnę bez większego uszczerb-



Śląskie tajemnice cz. 29

Pałac w Wiśniowej

JULIA MONTEWSKA

ku, jednak w znacznym stopniu został rozgrabiony przez czerwonarmistów. W powojennych latach pałac przekazano Zakładom Wytwórczym Aparatury Precyzyjnej, które zawiadywały obiektem do 1960 roku, a w kolejnych latach przeszedł on, jak zresztą większość tego typu obiektów, pod panowanie miejscowej Rolniczej Spółdzielni Pro-

dukcyjnej. W pałacu utworzono biura administracji, a w latach 80-tych mieszkania. W pałacowych piwnicach funkcjonował też niewielki sklepik, a na początku lat osiemdziesiątych podjęto próbę remontu, niestety przerwana w 1982 roku. Obecnie pałac jest własnością prywatną, zachodnia część jest zamieszkała. ■

Julia Montewska – inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.



for. Julia Montewska



for. Julia Montewska

„Życ z sztuką”. Porcelana Rosenthal.

Dar Wolfganga Domogalli dla Muzeum w Gliwicach

14 czerwca – 25 października 2020 r.

sobota,
13 czerwca 2020 r.,
godz. 17.00

WERNISAŻ ON-LINE

Szczegóły:
www.muzeum.gliwice.pl



Wazon „Leones”, projekt Javier Mariscal, Rosenthal, zbiory Muzeum w Gliwicach, fot. Maciej Głowaczewski

**MUZEUM
W GLIWICACH**

ul. Dolnych Wałów 8a
44-100 Gliwice
tel.: 32 231 08 54
www.muzeum.gliwice.pl
e-mail: info@muzeum.gliwice.pl



Organizatorem
Muzeum w Gliwicach
jest Miasto Gliwice

Partnerzy medialni:

artinfo.pl

CCM
radio

**DZIENNIK
ZACHODNI**

nowiny

**RYNEK
SZTUKA**

SLASK